



VICTORIA REDEL

**PRZED
WSZYSTKIM**

Prószyński i S-ka

VICTORIA REDEL

**PRZED
WSZYSTKIM**

Przełożył Jan Hensel

Prószyński i S-ka

Dla Nancy i dziewczyn

Cześć im i chwała, jak je [życie] kochali, gdy mogli.

Adrienne Rich

KONIEC MARCA 2013

1

PO PROSTU

Pod koniec marca, w dniu, w którym czuło się już błotnisty smak wiosny, Anna otrzymała wyniki nowego badania tomografem. Wtedy, chociaż dotąd radziła sobie tak dobrze – zaliczyła nawet parę cudów w walce z chorobą – powiedziała po prostu: „Nigdy więcej”.

ROZGWIAZDY

Anna nie pamięta, jak się znalazła w salonie, ale teraz siedzi na kanapie i wszystkie tu są – Helen, Ming, Caroline, Molly – jej najstarsze przyjaciółki. Kiedy przyszły? Kto je powiadomił? Nie odbierała codziennych telefonów od Helen, zostawiając je poczcie głosowej. Chociaż nie, oczywiście, odebrała, myśląc, że to któreś z dzieci. A to była Ming. Anna opowiedziała jej o wszystkim – od nowego nawrotu po opiekę paliatywną. Nie zostawiła miejsca na żadne pytania.

– Przekaż to pozostałym.

– Daj spokój. – Zadrżała, słysząc od Ming te słowa: – Przyjadę. Oczywiście wszystkie przyjedziemy.

I teraz tu były, jej paczka z czasów dzieciństwa. I fajnie, że zgromadziły się w jej salonie. Dobrze było posłuchać, jak Caroline opowiada historyjkę o swojej starszej siostrze Elise, która zawsze łąduje się w kłopoty. I opisuje kolejny epizod z życia Elise, ale tak, jak zwykle, zabawnie, z lekką rezygnacją, lecz bez sarkazmu, bo Caroline nigdy nie jest ironiczna, za to zawsze mówi ze swego rodzaju stonowanym rozbawieniem.

Jak one wszystkie tu się znalazły? Anna wiedziała, że przyjechały – z Great Barrington, Manhattanu, Arlington, Larchmont – ale cały ten ruch wydawał się niemożliwy. Samo wyjście z domu sprawiało wrażenie czegoś niemożliwego. A potem jeszcze splątane nici szos, bramki poboru opłat na autostradzie, zjazdy na stacje benzynowe, wyciąganie portmonetek z torebek szeroko otwartych na fotelu pasażera. Bardziej jeszcze niż sam wysiłek cały ten świat w niepowstrzymanym ruchu zdawał się czymś niewykonalnym, splotem nie do rozsąpania, wymarłym schematem, który kiedyś rozumiała.

– Mów głośniej! – zawołała Ming, która była w kuchni i robiła zupę. – Nie chcę niczego przegapić.

Anna śledziła tę historię. W każdym razie w dużym stopniu. Śmiała się razem z innymi. Helen zanosila się tym swoim głośnym optymistycznym rechem, a Molly chichotała z cicha, jakby się dławiła, i łzy stawały jej w oczach. Caroline,

opowiadając, tak zabawnie gestykulowała, wymachiwała rękami, cięła dłońmi powietrze, poruszała brwiami.

Tak bardzo się śmiały, wszystkie pięć, że udało im się przejść ze śmiechem nawet przez to, co zupełnie nieśmieszne.

Zabawne, że nawet teraz, słysząc potrójny tryl śmiechu Ming z kuchni, Anna widziała dziewczynę, nie kobietę – widziała drobne nastoletnie ciało, a nie krągłą, bardziej przysadzistą sylwetkę wieku średniego. I w jej wyobraźni Ming wciąż miała tamte lśniące włosy do pasa, czarną kurtynę, a nie profesjonalnie wycieniowane warstwy szpakowatej fryzury, przycinanej co sześć tygodni.

– Nie za mocno, Anno? – spytała Helen, masując jej stopy i nogi.

Przesunęła spojrzeniem wzdłuż ciała, ku grubym palcom Helen na swojej łydce.

Zawsze żartowała, że Helen ma łapska robociarza, a nie malarki. Georgia O’Keeffe o eleganckich smukłych palcach – ta to miała dłonie artystki. Mimo to dobrze było czuć ręce Helen na swoim ciele. Dobrze było poczuć czyjś dotyk. Sama nigdy by nie zgadła, że tego pragnie, ale pragnęła, więc gdy ruch palców Helen stał się wolniejszy, położyła na jej kolanach drugą nogę, podsuwając ją pod dłonie przyjaciółki. Na nogach Anny, dawniej mocnych i wyćwiczonych, nie ostał się żaden mięsień. „Zaopiekuję się tobą”, bezgłośnie ruchami warg powiedziała Helen. Helen, która zawsze starała się pomóc. Która ponad czterdzieści lat temu obiecała, że będzie dla niej najlepszą przyjaciółką, i nigdy nie złamała danego słowa. Anna wyciągnęła rękę, by dotknąć jej dłoni.

Molly w napięciu wychyliła się do przodu, oparła łokcie na kolanach. Tak właśnie słuchała. Całym ciałem. I zupełnie zgodnie z przewidywaniami Anny przekrzywiła głowę i lekko uniosła brodę z dołączkiem pośrodku ku głosowi Caroline.

Anna nie była tu, w salonie, od wielu dni. Znajdowało się tu może aż za wiele rzeczy do podziwiania. Wszystkie ściany obwieszane dziełami sztuki, które kupiła albo dostała. Tu, na stole, w misie z niebieskiego szkła setki drobnych rozgwiazd zebranych na przylądku Point Reyes. Tam, na ścianie, rzeźba ze złomu, którą kupiła w Provincetown. Na jednej z półek mnóstwo słoików z bukietami purpurowych piór kardynałów. Wiele godzin poświęciła na ich układanie. Tyle przykładów piękna – jak jej się udało zebrać i ułożyć to wszystko? Mnóstwo poszukiwań i krzątania. I starań o piękno.

Anna zamknęła oczy. Słuchała. Tak dobrze znała kadencję i melodykę głosów przyjaciółek. Nawet pauzy, gdy Caroline szukała w myślach bardziej precyzyjnego słowa, brzmiały znajomo. Nie była w stanie wyjaśnić, jak to się dzieje, że z taką łatwością i swobodą przychodzi jej słuchanie przyjaciółek. Nie mogłaby sobie tego wyobrazić. Część owej łatwości wynikała właśnie stąd, że wyobraźnia była już zbędna.

STARE ZNAJOME

Pod koniec szóstej klasy oficjalnie przybrały tę nazwę. Zaczęło się od żartu pewnego popołudnia, ale spodobało im się brzmienie. To tak na zawsze. Stare Znajome. Deklaracja, że bez względu na to, kto zjawi się w ich życiu, czy w przyszłym roku, czy później, w szkole średniej, ktoś nowy i ciekawy, może nawet stanie się kumpelą na całe życie, nie będzie jednak należeć do Starych Znajomych. Nie, żeby zaraz wypisywały to sobie na koszulkach czy ogłaszały wszem wobec przy fanfarach lub wiwatach. Ale podobało im się, jak to brzmi. Jak nazwa kapeli rockowej. Albo tytuł serialu. Dzięki temu, zgadzały się całą piątką, to po prostu fakt. I coś ich własnego, na zawsze.

TAJEMNICA

Wiele dni przedtem jej najstarszy syn był z nią sam w pokoju.

– Mamo. – Wziął ją za rękę.

Kiwnęła głową, żeby dać mu do zrozumienia, że nie śpi.

– Mamo, chciałbym się podzielić z tobą pewną tajemnicą.

Uśmiechnęła się. Był jej pierwszym dzieckiem. Teraz dorosłym mężczyzną. Ech, tyle lat niepotrzebnie martwiła się o Juliana. Nieśmiałego chłopca, który bawił się w narożniku szkolnego dziedzińca, gdzie chodnik ustępował miejsca chwastom i chaszczom; chłopca, który wbijał patyki w ziemię, poważny i zadowolony, i nie przejmował się ganiającą obok dzieciarnią. „Berek!” – wrzeszczały dzieci, ciągnąc za ramię, ale nie jego. Kiedy przychodziła go odebrać, ze ściśniętym sercem podpatrywała, jak się bawił w samotności. Chciała, żeby był w centrum uwagi, żeby wybierał drużyny, był kapitanem.

A teraz stał przy niej, łagodny, wciąż cichy, o chłopcym, przerywanym śmiechu, i nadal był najszczęśliwszy w lesie, gdy szukał smardzów i dzikiego czosnku.

– Mamo – powtórzył Julian. – Mam tajemnicę.

Pokiwała głową.

– Możesz otworzyć oczy?

Dla niego zrobiłaby wszystko. Powieki miała takie ciężkie, jak nikłowe łuski, nawet cięższe niż chemia, którą dostawała, ciężkie od czegoś gęstego, co zdawało się zalegać jej w kościach, we krwi.

Otworzyła jednak oczy.

Był taki piękny. Miał twarz jak zdjętą z ojca i tę aureolę ciemnych kręconych włosów. Patrzyła na niego pod światło. Za nim zobaczyła koronki firanek, a w ich prześwitach drzewa na podwórzu. Jej koronki, jej okno z jej kryształem wiszącym na żyłce i podwórzu, gdzie przed laty bawiła się trójka jej dzieci. Teraz to wszystko już w tak nikłym stopniu jej.

– Tak, kochanie?

Powiedział:

– Będziemy mieli dziecko – powiedział.

Poczuła pęd i szum ekscytacji. Nawet ostatnimi czasy zdarzało się, że ogarniała ją radość, na chwilę, czasami prawie tak ostra jak ból. A to był jej szczyt.

– Nie chcemy nikomu mówić. Jeszcze. Ale chcemy, żebyś ty wiedziała.

Dziecko jej pierworodnego. Uwielbiała czuć jego nienarodzone ciało w sobie tak bardzo, że gdy nadszedł termin rozwiązania, miała nadzieję na długi poród, bo pragnęła, jak powiedziała, by każda chwila była wyjątkowa, by mogła się nią rozkoszować, a potem, co stało się dla przyjaciółek na lata pretekstem do żartów, po osiemnastu godzinach akcji porodowej, skulona w jakiś ciernisty wieniec cierpienia, zaczęła błagać o znieczulenie. A gdy w końcu zjawilo się dziecko – o idealnych wargach, dłoniach, stópkach, została odmieniona na zawsze.

Usiadła na łóżku i ucałowała syna.

– Będiesz wspaniałym ojcem – wyszeptła.

Cały czas trzymała dłoń na jego ramieniu i patrzyła nań przenikliwym i bezpośrednim wzrokiem. Pragnęła, żeby ta chwila była dla niego. Chwila, gdy matka widzi w nim mężczyznę stającego się ojcem.

Przez okno wpadały podmuchy wiatru, wiosenne powietrze, ostatnia, najlepsza tajemnica.

Uśmiechnęła się.

– Nie pisnę ani słowa.

NA ZAWSZE

– Skłamałabym, gdybym powiedziała, że nigdy nie wyglądałaś lepiej. – Helen rozcierała kciukiem sklepienie stopy Anny. – Ale przez to też jakoś przejdziemy.

Przesunęła poplamionymi farbą palcami po chudej jak patyk długiej łydce. Nie było żadnego mięśnia, który można by ścisnąć. Grube palce rozczapierzyły się szeroko, obejmując nogę Anny jak obręcz.

– Tym razem jest tylko jedno przejście, Heli – powiedziała Anna.

– Nonsens – odparła prędko Helen. – Ale mamy cały dzień na to, żeby coś wykombinować.

Anna już wcześniej była tak chuda, że tylko skóra i kości zostały; powoli chodziły wtedy we dwie po wydezynfekowanych korytarzach oddziałów szpitalnych, a ona, podpierając się laską, mówiła: „Serio, Helen, tym razem to nie przelewki”. A przyjaciółka zawsze miała gotową odpowiedź: „Słuchaj, mała, szkoda, że nie widziałaś, w jak żalosnym stanie byłaś miesiąc temu”. Prawda, przez wielkie „P” – obiecały ją sobie jako dzieci. Łatwizna dla najlepszych przyjaciółek zarumienionych z emocji jako siedmiolatki czy przy cielących miłościach w wieku

lat dwunastu. Z upływem czasu stała się wyzwaniem, gdy poczucie prawdy okazywało się chwiejne, a ważniejsze zdawało się pocieszenie. Helen pomyślała o krzątaniu na oddziałach intensywnej terapii, o porankach, gdy rozchylała zasłony, stając przy Annie, zaintubowanej i śpiącej. „Hej, moja piękna – mówiła wtedy. – Omija cię mnóstwo fajnych rzeczy. Więc lepiej szybko wracaj do zdrowia”.

Ale pal sześć prawdę i pocieszenie, liczyło się czuwanie. A Helen dała ciała. Jak diabli. Przez lata dzwoniły do siebie codziennie. Ostatecznie nawet wiadomości na poczcie głosowej zaczęły się liczyć jako podtrzymywanie kontaktu. Przez parę ostatnich lat, gdy była w rozjazdach w związku z wystawami w Dubaju, Hongkongu, Miami, Paryżu – telefonowała z niesamowicie odmiennych stref czasowych.

– Mówię do ciebie z jutra – zdumiewała się, gdy dzwoniła z Sydney.

– Więc nadal jesteś ulubienicą międzynarodowego świata sztuki współczesnej? – Anna nie pozwalała Helen na skromność.

Kiedy tamta spytała, co u niej słychać, Anna westchnęła do telefonu:

– Nie znalazłam się jeszcze w Galerii Sław Rock and Rolla, jeśli o to chodzi.

– No to pośpiesz się, kochana. Nie będziemy żyć wiecznie.

I obie się roześmiały, oddalając od siebie myśl o katastrofie.

Ale tym razem Helen czuła, że trochę olała sprawę, i trudno to było teraz naprawić. Dzwoniła do Anny codziennie, ale w rozjazdach trudno było jej się zorientować, że Anna nie odpowiada na żadne wiadomości, i dopiero po dwóch tygodniach uświadomiła to sobie.

– Ej, kochanie, miłość to nie droga jednokierunkowa – zaśpiewała w stylu country, nagrywając się na pocztę głosową przyjaciółki, gdy wyglądała przez okno hotelu w Pradze.

A potem, tydzień temu, gdy jadła kolację w Rzymie, odebrała telefon.

– Musisz szybko przyjechać, Helen – usłyszała zgnębiony głos Ming.

PIES

Zeus zawarczał. Zeus, pudel miniatuurka o kosmatej sierści, oblepiony rzepami – jak porzucony kapeć na podłodze koło Anny – Zeus, który zjawił się znikąd, gdy Helen siedziała z nią na niebieskiej kanapie, wyszczerzył swoje malutkie kły.

KONIEC

Koniec z kroplówkami. Ani jednej kroplówki więcej.

Koniec dni typu: „Dzięki Bogu, żyję” – spacerów w raketkach po skrzypiącym śniegu ścieżką od tylnego podwórza do miejsca z widokiem na urwisko lub weekendowych wieczorów i kiwania się przy mikrofonie, kołysania

w rytm muzyki granej przez jej zespół aż do ostatniej linijki *The Harder They Come* – póki znowu nie zacznie się ten ucisk w płucach.

Koniec radzenia sobie po cichu, aż do czasu gdy musi się zatrzymać po drodze z samochodu do frontowych drzwi, żeby zaczerpnąć tchu. Koniec z bagatelizowaniem infekcji. „To tylko przeziębienie. Wszyscy w dolinie chorują na nie pod koniec zimy” – aż przeziębienie przeradza się w zapalenie płuc i Reuben znajduje ją skuloną pod paroma kocami, a lekarz ordynuje pozytonową tomografię emisyjną całego ciała.

Koniec z tomografiami.

Koniec z pytaniami do Boba, chudego technika radiologii z włosami związanymi w kucyk, co widzi i koniec z wciąż tą samą śpiewką: „Jestem technikiem, pani Anno. Wie pani, że nie umiem odczytywać tych skanów”, na co zawsze odpowiadała: „Nie ściemniaj mi tu, Bobby. Od zbyt wielu lat to przerabiamy, więc proszę, powiedz mi po prostu, co widzisz”.

Koniec z remisjami.

Koniec z nawrotami.

Koniec z próbowaniem nowego programu leczenia.

Koniec z lekami w końskich dawkach.

Koniec z czwartą remisją, kiedy znowu żyła na pełnych obrotach, z powrotem po uszy zanurzona we wspaniałym głównym nurcie wydarzeń, i rzucała się na głęboką wodę życiowych spraw – prowadziła ośrodek matematyczny, spotykała się ze znajomymi, w sobotnie wieczory grała koncerty ze swoim zespołem, a dorosłe dzieci znowu dzwoniły do niej i bez tchu opowiadały o pracy, miłości, o wszystkim, o czym zwykle jej opowiadały, kiedy nie zaczynały rozmowy od niepewnego: „Jak się dzisiaj czujesz, mamoo?”.

CAŁY TEN GŁÓD

– Mogę odrobinę zjeść. – O dziwo, Anna była trochę głodna.

Natychmiast jednak pożałowała, że to powiedziała. Na twarzach przyjaciółek zobaczyła zbyt dużą nadzieję, za wielką gorliwość. Całe to zamieszanie, żeby przynieść jej jak najlepsze jedzenie. Niemożliwe zaangażowanie. I przejęcie. Helen zaraz podłożyła jej pod plecy beżowe aksamitne poduszki, żeby mogła siedzieć prosto.

– Za dużo – uznała, gdy Ming postawiła na stoliku miskę zupy.

Molly natychmiast położyła obok deskę z pieczywem i łososiem. Wyglądały, jakby chciały ją nakarmić jak dziecko.

– Po prostu jedz, co chcesz – zaszczębiotała Ming triumfalnie, gdy Anna siorbnęła z łyżki odrobinę zupy.

Tak się ucieszyła, widząc, jak Anna wsuwa do ust łyżkę kremu szpinakowo-grzybowego. Jej pyzate policzki zarumieniły się ze szczęścia. Anna

zmusiła się, by ponownie unieść łyżkę do ust. Bo sama też nie wyzbyła się całkiem chęci sprawienia przyjemności komuś innemu, zwłaszcza Ming. Wiedziała, że nie poradziłaby sobie z sytuacją, której Ming dała radę – z atakami padaczki jej córki Lily. Z codziennym lękiem przed *grand mal*, karetkami pogotowia i otępiającymi lekami. A potem z nowatorską operacją mózgu. Operacja się powiodła, ale przez całe dzieciństwo Lily musiała się zmagać ze złośliwościami rówieśników i ciągłą koniecznością korzystania ze specjalnych udogodnień. Nie, pomyślała Anna, załamałabym się, gdyby moje dziecko było narażone na coś takiego.

Kremowa ciepła zupa okazała się smaczna. To też się liczyło. Jedzenie powinno sprawiać przyjemność. To inna odmiana piękna. Anna nigdy nie rozumiała, jak można spożywać jedzenie w towarzystwie. Jedzenie było rozkoszą dla podniebienia. Rozmowa też należała do przyjemności. Ale jedno z drugim razem – jakby mniej.

Rozmowa dotyczyła teraz rozmaitych nowin. To był taki test, zawsze ją obserwowały; oceniały, ile zjadła.

Odkroiła kawałek łososia i włożyła go do ust, czekając, aż mięso roztopi się pod podniebieniem.

Molly zwierzała się wszystkim ze swoich obaw, bo w szufladzie biurka Tessy znalazła torebkę marihuany. Ile jej córka mogła palić? Przez większość dni trudno było się z nią dogadać. Zdarzały się straszne awantury. Molly przeczesiała palcami swoje krótko obcięte włosy.

– Zmieniła się nie do poznania.

Anna pomyślała, że dobrze byłoby przypomnieć Molly, że kiedy one były w jedenastej klasie, przez całą wiosnę wymykały się popołudniami za drzewa niedaleko szkoły i jarały trawkę. Nie brakowało im torebek i kliszówek z marihuaną. Zdarzały się też awantury z rodzicami.

Ale podniesienie łyżki do ust i przełknięcie zupy wymagało tak wiele wysiłku.

Zostało jej energii tylko tyle, by móc pomyśleć: Molly, wszystko będzie dobrze.

Molly i Serena. Ich dwoje dzieci. Kiedyś wszystko to było takie szokujące – związek z inną kobietą, para mieszana rasowo, dzieci – Molly musiała stoczyć o to niejedną walkę. Osiemnaście lat później wszystkie tańczyły na jej weselu. Molly miała teraz dom na przedmieściach Bostonu, zaledwie kilka kilometrów od okolicy, gdzie wszystkie się wychowały. Prowadziła prywatną praktykę, cieszącą się powodzeniem. Teraz złocista grzywa Molly stała się srebrna, a krótka fryzura przypominała tę, którą nosiła jej matka. Serena zastanawiała się nad odejściem z zespołu chirurgicznego na emeryturę.

Byłyśmy dziećmi. Wystarczyło poczekać, pomyślała Anna, a Stare Znajome rzeczywiście się zestarzały.

Nagle przypomniała sobie, co powiedział jej syn. Jego piękna tajemnica. Początek jego ojcostwa. Czy to nie wczoraj przyszedł do jej pokoju, by podzielić się tą tajemnicą? Teraz siedziała w towarzystwie najdroższych przyjaciółek. Powinna im się pochwalić. Podzielić się radością. Były razem dziećmi i razem matkami. Wiedziałyby, co to dla niej znaczy. Ale nie powie im. Nawet Helen, choć zawsze zwierzała jej się ze swoich tajemnic. Teraz Anna ledwo mogła się powstrzymać. Mimo to nie piśnie ani słówka. Nie mogła dać synowi już nic więcej oprócz swojego słowa – i go dotrzymać.

KIEDY

Najpierw Ming, Anna tego samego roku, potem Caroline, potem Helen i wreszcie Molly – dwie córki z zapłodnienia plemnikami tego samego anonimowego dawcy z banku nasienia. W sumie miały dwanaścioro dzieci. Mimo wszystko zaskoczyło je to, choć nie powinno. „Mamo!” – wołało któreś z dzieci, a jedna z nich, nie przerywając tego, co właśnie robiła, odpowiadała: „Tak?”.

INNE DOBRE NOWINY

Wreszcie będzie miała długie włosy. Najpierw była pierwsza peruka, ręcznie robiona, droga, ze sklepu przy Newbury Street w Bostonie. Ale pukle grubych włosów sprawiały, że Anna wyglądała jak młoda żydowska żona. Za drugim razem postawiła więc na tanie syntetyki, za to w większym wyborze: kupiła perukę czarną i różową, burzę loczków i fryzurę na pazia. I jedną w hołdzie dla Stevie Nicks. Za trzecim razem – no, nie, kogo miałyby oszukiwać? – na ogół chodziła w bawełnianym kapeluszu z szerokim rondem, a kiedy indziej w wełnianej czapce.

PIANA

Kiedy zdjęły z niej legginsy i koszulkę, które nosiła od Bóg raczy wiedzieć jak dawna, Molly posłała Helen spojrzenie mówiące: „Trzeba bardzo uważać”, i we dwie zaprowadziły Annę do łazienki. Ręcznik, którym ją owinęły, opadł na podłogę. Czemu nie zostawiły tego pielęgniarce? Molly stanęła w kabinie prysznicowej z Anną, a Helen, tuż obok, podtrzymywała Annę pod drugim ramieniem. Cały czas rozmawiały. Tak, jakby robiły coś, co zawsze wspólnie wykonywały, jak wtedy, gdy na koniec wspólnej zabawy dzieciaków, przed kolacją, partiami wrzucały dzieciarnię do wanny z wodą. Helen i Molly działały wspólnie. Każda namydliła sobie jedną dłoń, a drugą mocno trzymała przyjaciółkę. Skóra Anny była gruzelkowata i sucha, usiana błękitnymi i sinymi plamkami. Czy pod najlżejszym nawet dotknięciem nie zetrze się, nie zacznie się łuszczyć i odchodzić płatami? Sprawdziły, czy nie ma pęknięć, ran, ale świeżych nie było. Molly uniosła jedno ramię Anny, a Helen kolistymi ruchami namydliła pachę. Helen poniosła drugie ramię, a Molly znowu namydliła. Nie opiszą nikomu

ciała przyjaciółki, nie ma słowa na określenie tego, czym staje się noga. Zamiast tego Helen zaczęła plotkować. Pewien chłopak, którego znały ze szkoły średniej, trafił za kraty. Innemu – pamiętacie Eddiego? – rozpadło się małżeństwo; jego żona uciekła z instruktorem jogi. Mimo to dostała kupę szmalu. Podobno Eddie to multimilioner. Kto by pomyślał? W szkole średniej, zgodziły się, Eddie był dosyć przystojny, ale poza tym do bani.

– Czy to nie z nim coś zrobiłaś? – Molly spytała Annę.

Anna miała sine wargi, całym jej ciałem wstrząsały dreszcze. Molly skinęła na Helen, żeby zakręciła wodę.

– Na pewno coś z Eddiem robiłaś. – Helen rozpostarła ręcznik, podczas gdy Molly uniosła stopę przyjaciółki ponad wyłożony kafelkami rant brodzika.

– Robiłam coś z mnóstwem chłopaków – odpowiedziała Anna.

– Farciarze – stwierdziła Molly, podtrzymując Annę, podczas gdy Helen ją wycierała.

HISTORIA SZTUKI – 1

Helen szkicuje na płótnie jej dżinsów. Taki ma zwyczaj. Patrzy i szacuje wzrokiem odległości między ciałami. Cienki kształt Anny na aksamitnej kanapie. Konfiguracja, w jakiej ustawiają się pozostałe, jak się ku tamtej pochylają ze zmarszczonymi twarzami pełnymi napięcia i obaw. Przywołują ikonografię obrazów z serii „Na łożu śmierci” całych stuleci. Ten pokój, rozproszone światło. Kto tak nie malował? Rembrandt, Picasso, Munch. Obrazy przedstawiające zebranych wokół Chrystusa. Płótno Alonzo Chappela: pokój Lincolna wypełniony ludźmi, którzy przyszli złożyć mu ostatni hołd. Helen rysuje kształty: grubą kreskę oparcia kanapy, kobiety zgrupowane ciasno przy Annie. Jej twarz, bladą, z błękitnym odcieniem, już w oddali, nie w pełni obecną, ale jaśniejącą blaskiem odwagi. To też część tradycyjnej ikonografii. Na obrazie zawsze ktoś patrzy w drugą stronę. I ktoś zwraca się twarzą do widza, jakby błagał o łut nadziei.

POCIĄG

– Właściwie czuję się całkiem dobrze. Czy to nie dziwne? – Annie świecą się oczy, jej policzki pokrywa rumieniec. Usiadła wyprostowana i odrzuciła aksamitną poduszkę, którą Helen podłożyła jej przedtem pod plecy.

– Świetnie wyglądasz – pochwaliła ją Helen.

Anna zakotłosała się w rytm refrenu Bee Geesów: *Stayin' alive, stayin' alive*. Pozostałe dołączyły do zabawy, machając rękami. Anna miała mocny głos, Caroline jej wtórowała. Całymi latami śpiewały razem – Arethę, Poco, Cata Stevensa – i nawet jak się wygłupiały, brzmiało to całkiem nieźle. Przynajmniej tak im się wydawało.

– To dzięki zupie. – Ming się rozpromieniła. – Całą zasługę biorę na siebie.

– Nie chciałam, żebyście dzisiaj przyszły – przyznała się Anna. – Sądziłam, że to będzie bolesne, zbyt dramatyczne. Ale czuję się dobrze. Dziwne. Prawie, jakby mi się poprawiało.

– To wróć do przyjmowania leków – powiedziała Helen. – Wcześniej tak dobrze ci szło. – Spróbowała dostroić swój ton do sytuacji. Mniej wrzasku, więcej zachęty. – Lepiej niż dobrze, byłaś wręcz cudem medycyny.

– Cieszę się, że dobrze się czujesz – powiedziała Caroline.

– Dajmy spokój z samym dobrostanem – warknęła Helen. – Anna może z tego wyjść jeszcze raz. To tylko kolejny rzut choroby. Nic więcej. Całe to leczenie paliatywne to jakiś żart.

Helen posłała Ming spojrzenie z błaganiem o wsparcie. Ming zaszkliły się oczy, odwróciła wzrok.

Więc to tak? Nagle ta niema cisza. Straciły już dwie godziny na bzdury. Wszystkie były świadkami poprzednich niespodziewanych ozdrowień. Można było mieć nadzieję, to wydawało się nawet dosyć logiczne.

Helen dźwignęła się z miejsca za Anną. Oparła dłoń o tył kanapy i wstała. Musiała wstać, żeby zobaczyć twarze pozostałych. Pełne żalu. Ale czyż ich przyjaciółka nie wyśpiewywała właśnie na całe gardło *Stayin' alive*? Czy nie przyznała, że czuje się dobrze?

Spojrzała na Annę, która jaśniała, dosłownie lśniła.

– Proste pytanie – rzuciła prowokacyjnie Helen. – Kto uważa, że opieka hospicjum to w tej chwili doskonały wybór? Ręce w górę.

Zaczęła krążyć po pokoju, zatrzymując się przy każdej z przyjaciółek, jakby bawiły się w „Chodzi lisek koło drogi”.

– No, Ming, powiedz, uważasz, że to jest w porządku?

Ta drgnęła, gdy Helen zwróciła się do niej.

– To decyzja Anny. – Głos Ming był cierpki, suchy.

– Odkąd to przestałyśmy się wtrącać w decyzje innych? Przecież zawsze tak robiłyśmy.

Czy Helen musiała im przypominać, że Anna była gotowa się poddać przy poprzednim nawrocie? Czy musiała przypominać Ming tamten bolesny dzień, gdy usta i gardło Anny były tak poranione od leków, że kiedy wyszeptła: „Mam dość. Przerwywam leczenie”, obie powiedziały: „Rozumiemy”. Dopiero bracia namówili ją do niechętniej zgody na nowe ustawienie leków. „Jeszcze miesiąc”, prosili, a potem zdecydujesz. Czy Helen naprawdę musiała im wszystkim przypominać, jak niecały rok później w tajskiej restauracji w Great Barrington, gdzie spotkały się na kolacji przed koncertem Red Molly, Anna wyznała, że wstydzi się tego, że gotowa była przerwać leczenie? Podziękowała im za ciągłą troskę i opiekę. Było już tak wiele pięknych wieczorów; „pięknych wieczorów” – to jej własne słowa. „Jak dzisiaj”. Anna się uśmiechnęła. „A nie dotarliśmy jeszcze na koncert”.

„Wierzyć w siebie, kiedy ty już nie dajesz rady, to nasze zadanie – zapewniła ją prędko Helen. – Po to są przyjaciele”. Natychmiast wszystkie zaczęły śpiewać *That's What Friends Are for*, po czym Caroline i Anna odśpiewały na dwa głosy *You've Got a Friend* Carole King.

Teraz Helen spytała:

– A co z kolejnymi pięknymi chwilami? – Przechadzała się po pokoju. Jeśli zabrzmiało to jak błaganie, wcale się nie przejęła. – Mówisz, że teraz czujesz się dobrze. Proszę.

– Powiedziałam już dzieciom, Heli. Zgodziły się.

– To idiotyczne, Anno.

– Helen, przestań – wtrąciła Molly.

– Spróbuj chociaż przez jakiś czas. – Skoro już miała walczyć sama, to musiała być twarda. – Co to za problem? Hospicjum się wścieknie? Zabiją Annę za to, że zmieniła zdanie?

– Helen. – Tamta poklepała poduszkę obok siebie.

– Nie, Anno. – Nie było mowy, żeby dała Annie odgrywać jak zwykle szefową.

– To wszystko, co mogę zrobić – powiedziała mocnym głosem ich przyjaciółka, bez drżenia czy zmęczenia. Nie z uporem. Mówiła tak otwarcie, tak kochającym tonem. Aż bolało. – Będziesz musiała pogodzić się z moją decyzją i z nią żyć.

Helen otworzyła przesuwane drzwi na werandę.

– Będę musiała żyć dalej z twoją decyzją? Właśnie w tym cały problem.

1965 – KRÓLICZKI TEŻ

Pierwszy dzień drugiej klasy. Na przerwie Anna stoi w kółku z innymi dziewczynkami. Jej włosy, ciasno splecione w grube warkocze, są takie lśniące. Delikatne uszy ma przekłute! W każdym płątku błyszczą maleńki granat. Skąd ona się wzięła? Jest nowa, więc i egzotyczna. Opowiada dziewczynkom, że ma dwóch młodszych braci, psa o imieniu Buziak, kota o imieniu Słodziak i zranioną wronę, którą znalazła z ojcem. Ptak nosi jej imię – Anna. Reszta dziewczynek krzyczy: „Wrona nazywa się tak samo jak ty?”. Tak, razem z ojcem ocalili mnóstwo ptaków. Króliczków też. Leczą je, a potem puszczają wolno. Miała już króliczki z ranami szarpanymi, króliczki potrącone przez samochody. Opatrywała łubkami złamane nóżki ptaków, które znajdowali w trawie na mokradłach. Każdemu z nich nadawała swoje imię – Anna.

Wiele lat później, na weselu Anny i Reubena, Helen podniosła kieliszek i opowiedziała tę historię.

– Wyobraźcie sobie wszystkie te króliczki. Gwoli ścisłości, gdybyśmy jej na to pozwolili, każde z nas, zebranych tu dzisiaj, nazwałaby: Anna.

– Właśnie tam, na szkolnym podwórzu w drugiej klasie podstawówki – zakończyła Helen, gdy śmiech ucichł – postanowiłam, że nie spuszczę tej dziwnej dziewczynki z oczu. Że nasza przyjaźń będzie na całe życie.

Kiedy ostatnie niedobitki weselnych gości posadzono przy dwóch zsuniętych razem stołach i wszyscy z widelczykami w rękach jedli kolejną porcję piętrowego tortu z bitą śmietaną, do Helen przysiadł się ojciec Anny.

– Dobry toast, mała.

Wyglądał na rozkosznie zmęczonego.

– Dziękuję, panie Spark. Jakby się nie udał toast dla najstarszej przyjaciółki, to jaki mógłby się udać?

– Zabawne. – Ojciec Anny napił się z kieliszka, którego Helen nie widziała chyba w jego ręku, kiedy się dosiadał. – Podszedłem, żeby ci powiedzieć, że nigdy żadnego stworzenia nie ocaliliśmy. Żadnego rannego zwierzątka. Żadnego króliczka ani ptaka.

W TYM RZECZ, MÓWIĄC ŚCIŚLE

Całym sercem. Złamane serce. Serdeczna rozmowa. Serce na dłoni.

W czym problem?

Właśnie w jej sercu. Klnę się z ręką na sercu.

Chłoniak komórek NK/T, najrzadszy z chłoniaków komórkowych, a ten jej najrzadszy z pięciu odmian chłoniaka NK/T-komórkowego. Chłoniak w lewym przedsionku. Serce jako pompa, przez którą ciągle przepływa krew, nie jest miejscem, gdzie cokolwiek łatwo się zakorzenia. Zdarza się to naprawdę bardzo rzadko. Za pierwszym razem, w pierwszym rzucie choroby, nowotwór zakorzenił się tak mocno, że kiedy chirurdzy otworzyli klatkę piersiową Anny, łamiąc żebra, żeby zobaczyć, czy da się go wyciąć, tkanka rakowa wżerała się głęboko w ścianę komory, więc po prostu z powrotem wszystko zaszyli. Zaczęto chemioterapię, schemat CHOP – koktajl czterech leków. Ale czy nowotwór może zaniknąć bez operacji serca? Lekarze, którzy jej nie leczyli, patrzyli na wyniki badań i z ubolewaniem kręcili głowami.

Nawet teraz, ostatnim razem, kto się nie wzdrygnął, słysząc, że rak wrócił do serca Anny?

MÓWIĄC ŚCIŚLEJ

Do diabła ze specjalistyczną terminologią medyczną. Co znaczy NK?

Och, Naturalny Kat.

1975 – JAKA JESTEŚ?

Dwie dziewczyny spoglądają w dół ze stromego urwiska na tory kolejowe, które biegną wąwozem. Wiosenna roślinność pokryła się bujną soczystą zielenią.

Wiatr owiewa skały. Wszystko drży i dygocze. Helen jest na haju. Nawet skalista skarpa wibruje migotliwie.

Anna mówi, żeby dała się ponieść, wibracje są super. Chce zapalić drugiego skręta.

– To pal – mówi Helen.

Anna da radę więcej. Ma ochotę na więcej. Zawsze na więcej niż Helen. Zawsze tak było. Teraz zdaje się, że Anna chce jarać na okrągło. Impreza z Molly i Ming. Helen żałuje, że sama nie jest taka. Anna, nawet ujarana jak wariatka, jest urocza, kochana, śliczna i fotogeniczna. Haj u Helen wydaje się przymulający.

Przejeżdża pociąg. Do miasta.

– Połóż się. – Anna kładzie się na plecach, by poczuć dudnienie pociągu na ziemi.

Helen podciąga kolana pod brodę, starając się zapanować nad drzeniem nóg. Usiłuje skupić wzrok na jednym punkcie. Sama nie jest w stanie wykonać żadnego ruchu. Potrzebuje solidnego oparcia.

Anna wkłada skręta między dwie zapalki.

– Wypalmy przynajmniej tego jointa do końca.

Podaje jej zapalki.

Ostatniej soboty wieczorem, na imprezie, na którą Helen wcale nie chciała pójść, jakiś chłopak popukał ją palcem w tył głowy i powiedział, że Anna jej potrzebuje. Znalazła ją na podwórzu za domem otoczoną przez grupę stłoczonych dziewczyn. Któraś powiedziała: „Helen przyszła” – i kółko natychmiast się rozstało, by mogła uklęknąć przy Annie. Tamta była w rozsypce. Pijana, upalona, zapłakana. Wyciągnęła do Helen ręce tak, jakby poruszały się w czymś gęstym i lepkim.

– Wiedziałam, że przyjdiesz – powtórzyła, jakby doznała objawienia.

Helen zdjęła z siebie flanelową koszulę i wytarła nią Annie usta i ramiona, które przyjaciółka sobie zarzygała.

– Musisz mi powiedzieć, że nie zrobiłam z siebie kompletnej kretynki. On mnie nienawidzi.

Miała wymiociny we włosach. Helen nie wiedziała, co to za „on”, ale żaden „on” na świecie nie był wart nanosekundy z życia Anny. A już na pewno nie tego, żeby tak się z jego powodu najebać.

Nie obyło się bez irytującego handryczenia się z pijaną, ale w końcu Helen wyprowadziła Annę z podwórza. Znalazła Ming i Molly w budynku i we trzy poprowadziły przyjaciółkę przedmieściami do domu. Wybrały okrężną drogę, żeby Anna otrzeźwiała. Zapadł chłodny wiosenny wieczór, były cały czas na świeżym powietrzu. Zdawało się, że Anna dochodzi do siebie. Robiły gwiazdy na pustych ulicach. Zawędrowały do dzielnicy rezydencji, ogromnych willi w stylu neoelżbietańskim lub kolonialnym. Przed każdym domem znajdował się długi

zakręcający podjazd, starannie zaprojektowany i utrzymany ogród, a na tyłach basen.

– Wskoczmy do basenu! – Anna była pełna entuzjazmu.

– Dopiero kwiecień – zauważyła Ming.

– I co z tego? Ja jestem gotowa.

– Jasne, Anno – stwierdziła z przekąsem Helen. – Ale lepiej kąpać się w basenie, kiedy jest w nim woda.

Teraz, przy takim wietrze i gdy trzyma skręta w drżących palcach, zapalenie go wydaje się Helen niewykonalne.

– Jesteś beznadziejna – mówi Anna.

– Jestem na haju. – I nagle, ni stąd ni zowąd, Helen jest już tylko na haju: nie dygocze, nie denerwuje się, tylko jest szczęśliwa, że upaliła się w lesie z przyjaciółką.

– Jestem na duużym haju – oświadcza śpiewnym głosem. – Ogroomnym.

– Jaka jesteś? Na haju? – Anna podnosi głos, kończąc pytanie trylem.

Wybuchają niepohamowanym głośnym śmiechem.

– Jaka jesteś? Na haju? – Tym razem z brytyjskim akcentem.

Potem z francuskim.

Śmieją się do łez, to takie śmieszne. Właśnie gdy powoli udaje im się ochłonać, gdy prawie odzyskują panowanie nad sobą, jedna z nich mówi z japońską intonacją:

– Jaka jesteś? Na haju?

PÓLMAŻ

Caroline wzięła od Reubena siatki z zakupami, gdy wtarabanił się tylnymi drzwiami, a potem wszystkie po kolei mocno go przytuliły, tak że w oczach Anny wyglądało to jak jeden z tych tańców w rzędzie, które uprawia się w tancbudach country. Przed laty poprosiłaby go, aby zostawił ją samą z przyjaciółkami. Ostatnimi czasy, odkąd byli w separacji, gdy tylko Reuben zjawił się w jej domu bez uprzedniego zawiadomienia, gromiła go wzrokiem i mówiła wprost, żeby się wynosił. Helen spierała się z nią o to, że przyjęła tak twarde stanowisko; „Przyznaj się, Anno, po cichu pragniesz, żeby tak właśnie wyglądało małżeństwo. Chcesz pół męża. Separacja ci odpowiada. Przyznałabyś się do tego, gdybyś nie była tak uparta”.

Teraz, pomimo lekkiej irytacji z powodu starych urazów – o co właściwie chodziło? – Anna cieszy się, że Reuben tu jest. Dla niego nie trzeba się mobilizować. Nie trzeba przed nim udawać.

Ale gdzie Helen?

Wybiegła jak burza. Nie ma jej tutaj.

Reuben zdjął z drewnianego uchwytu pustą rolkę po papierowych

ręcznikach. Potem zaczął wyjmować zakupy. Zawsze był taki zadowolony z tego, co osiągnął. Niekończące się listy spraw, które jeszcze trzeba załatwić. Cała ta wyczerpująca energia, denerwująca energia, ta wymagająca, buzująca energia.

– Popiełniałam błąd – powiedziała mu w dniu, gdy zainstalował mechaniczne łóżko i zdemontował łożę z baldachimem.

Łoże, które było wcześniej ich łożem małżeńskim w ich sypialni. Teraz to była jej sypialnia. Reuben wynajął inny dom w miasteczku, sąsiadującym z sąsiednim miasteczkiem. Nie zamierzała postawić stopy w tamtym domu. Mimo wszystko jednak Reuben tu był, pomagał jej w zamontowaniu ruchomego łóżka, które przywieziono.

– Myślałam, że mogę zrobić wszystko, a ty i tak zostaniesz. – Anna mówiła, siedząc na krześle w kącie, podczas gdy Reuben rozpościerał dopasowane prześcieradło na chrzęszczącym pokrytym folią materacu. – Myślałam, że bez względu na wszystko, w rzeczywistości to ja rządzę.

Anna patrzyła, jak Ming postawiła przed Reubenem miskę zupy; w ślad za którą na stole pojawił się talerz łososia od Molly. Reuben pochylił się nad zupą.

Karmię go tak, jak karmiły mnie, pomyślała Anna. Jakby był poraniony. W ostatnich latach nalegała, by przyjaciółki okazywały jej lojalność. Jeśli Reuben nie wracał do jej życia na jej warunkach, to im nie wolno było z nim rozmawiać.

Teraz otoczyły go i karmiły. Biedny Reuben. Siedział skulony, jakby jedzenie sprawiało mu ból. A kiedyś myślała, że jest mężczyzną, który na zawsze zachowa chłopięcy wygląd. Wciąż miał bujną czuprynę kręconych włosów. Ale na czubku głowy pojawił się placek rzadszych kosmyków.

Czy syn zdradził mu swoją tajemnicę? Kiedy patrzyła, jak Reuben rozmawia z Ming podczas jedzenia, była przekonana, że jej mąż nie zna tej zapowiedzi przyszłości. Jedyne płomień, który jeszcze w niej płonie. „Mamo, mam tajemnicę”.

Popiełnili w życiu niejedną błąd. Mimo to ich syn przyszedł do jej pokoju. To było jej. Nie zamierzała się zwierzać Reubenowi. I tak dowie się wszystkiego później.

Był wyczerpany. Teraz ledwo mógł utrzymać w dłoni ciężar łyżki. Wyczerpany mężczyzna posłusznie pomagający jej umrzeć.

1978 – ZAUFAM MI

Tu, w zdawałoby się niezbyt niezwykły czwartkowy wieczór, w barze był mężczyzna, z którym będzie miała dzieci. To dziwne, ale na drugiej randce Anna już wiedziała. Te zielone oczy, te ciemne kręcone włosy. Będą mieli piękne dzieci. Wezmą ślub. Ich dzieci będą ładne.

Wiedziała, że nie powinna myśleć o ładnych dzieciach, które sobie zrobią. Mieli po dziewiętnaście lat, studiowali w college'u. Anna nie przyznałaby się nikomu, jak byłaby szczęśliwa, gdyby teraz miała dzieci. Helen wykrzywiłaby

się z niesmakiem i nazwałaby ją staromodną. Objechałaby ją za antyfeminizm. Ming była w gwatemalskich górach z tym swoim antropologiem. Upierała się, że chce tylko podróżować, im dalej, tym lepiej. Antropolog był świetny, ale przecież nie niezbędny. Caroline zarzuciła naukę w college'u i o ile Anna się orientowała, prawie przestała wychodzić z domu rodziców, a co dopiero mówić o randkach. Molly skończyła z facetami i chwaliła sobie rozkosze i komplikacje związków z kobietami. Ostatnio w odniesieniu do heteryków użyła słowa „dziecioroby”. Nawet własna matka Anny powtarzała jak mantrę: „Najpierw kariera, najpierw kariera”.

Anna rozejrzała się po barze. Chciała go zobaczyć w jakimś szczególnym świetle. Chciała powiedzieć przyjaciółkom. Oczywiście jutro zadzwoni do Helen, by wszystko jej opowiedzieć. Nawet jeśli miałyby usłyszeć, że jest staromodna.

Ale jeszcze bardziej niż opowiedzieć Helen, pragnęła zapamiętać wszystkie szczegóły po to, by po latach móc przekazać je dzieciom jako część ich historii. „Wiedziałam, że wyjdę za waszego tatę, już na drugiej randce w pubie Pod Wąsem”. Wtedy to już nie będzie się wydawać wariactwem. Będzie tym, czym jest. Czymś nieuniknionym.

Pub był tak samo obskurny jak w inne wieczory. Ci sami upaleni koleśki tłoczyli się wokół flipperów, dyskutując o technikach uderzania kulki łapkami. Te same brudne ściany, obite boazerią z bejcowanego drewna, i zielone kule zyrandoli. Teraz nawet owa niezmienność zdawała się wyjątkowa. Tak to jest, pomyślała Anna; z szafy grającej leciała *Vahevala* Logginsa i Messiny, podczas gdy powinno to być coś bardziej romantycznego. Jak *Sunlight* Jesse'ego Colina Younga: *Yeah, that's the way she feels about you* – „Tak, ta dziewczyna właśnie to do ciebie czuje”. Ale Anna wiedziała, że wyjątkowość rodzi się po cichu w szarej codzienności. Nieprzystrojona, często niezauważona. Żałowała, że nie może być inaczej. Mimo wszystko wystarczał jej widok Reubena, jego entuzjazm i szczerość. Jego swawolny, krzywy uśmiech. Widziała, że mu się podoba. Nastąpi ciąg dalszy. Na razie tak było doskonale – cicha świadomość tego, czego nie można wypowiedzieć na głos: że Reuben będzie ojcem jej dzieci, że jej życie potoczy się w szczególny sposób, jaki sobie wymarzyła jeszcze jako mała dziewczynka.

– Staralem się do ciebie zagadać od początku semestru – wyznał Reuben.

– Miło, że zwróciłeś na mnie uwagę – odpowiedziała.

– Zwróciłem uwagę? – Reuben uśmiechnął się szeroko. – Jesteś bezapelacyjnie najbardziej promienną kobietą na kampusie.

„Promienną”? Czy kiedykolwiek określił dziewczynę w ten sposób? Wciąż przyzwyczajał się do konieczności mówienia „kobieta” zamiast „dziewczyna”. Ale wcale nie kadził Annie tylko po to, żeby się z nią przespać. Był już zauroczony, zadurzony – a tak naprawdę – zakochany po uszy. Nie przyznałby się do tego na drugiej randce. Musiałby mieć nierówno pod sufitem, żeby teraz powiedzieć Annie,

że ją kocha. Jej długie ciemne loki. Te niesamowite zielone oczy. I to nie tylko dlatego, że jest piękna. Owszem, taka promiennie piękna. Nie tylko dlatego, że ma fascynujący śmiech, a śmieje się często. Nie tylko dlatego. Nie tylko dlatego, że właśnie bardzo spoważniała i złożyła wargi w ciup, gdy zadawała mu te drażące, przenikliwe pytania, na które, wydawało mu się, nie znajdzie odpowiedzi. Później jednak odpowiadał, a ona przez cały ten czas patrzyła na niego w najwyższym skupieniu. Nie, nie kochał Anny dlatego, że są sobie przeznaczeni. Jej przeznaczeniem było urodzenie dzieci. Za to akurat ją można by posądzić, że ma nierówno pod sufitem. Reuben dobrze wiedział, że lepiej się nie wychylać z takim komentarzem. Już to, że przyszedł mu do głowy, było dostatecznie dziwne. Wystarczyło mieć łeb na karku i skupić się na rozmowie. Powiedzenie czegoś głupiego w rodzaju: „Jestem już w tobie zakochany, Anno Spark”, w szybkim tempie zaprowadziłoby go donikąd.

Nie zapytała, dokąd się wybierają, póki Reuben nie skręcił w ścieżkę za biblioteką.

– Zaufaj mi – powiedział i wziął Annę za rękę. Trzymał jej drobną dłoń, nawet gdy dróżka zwęziła się tak, że nie mogli już iść obok siebie. Anna szła tuż za nim.

– Przepraszam, jest ciemno – powiedziała, gdy nastąpiła na korzeń i oboje się potknęli.

Ale nie było aż tak ciemno. Księżyc prawie w pełni stał na niebie. Poświata przebijająca się między drzewami była zaskakująco jasna. Annie nigdy nie przyszłoby do głowy łązić po kampusie przez zarośla po zmroku. Chodziła i biegała ze znajomymi po tych ścieżkach, ale zawsze za dnia.

– Uwaga na głowę – ostrzegł ją Reuben.

Właściwie nie widziała, przed czym się pochyla, ale się schyliła. Teraz zdawało się, że zeszli ze ścieżki i ruszyli między rzędami sosen. Pod stopami było więcej tego, o co można się potknąć. Jak daleko ją wyprowadził?

– Trochę jak Jaś i Małgosia – powiedziała.

– Ale na szczęście nie jesteśmy rodzeństwem – odparł Reuben. – Zresztą, jesteśmy na miejscu.

Odchylił gałąź i zamaszystym ruchem ręki dał znak Annie, żeby poszła przodem. Gest był dosyć oficjalny.

– Panie przodem – oznajmił szeptem.

Anna się zawahała. Dokąd? Dlaczego szeptał?

– O! – powiedziała, robiąc krok do przodu. – O – powtórzyła.

Sama też zniżyła głos do szeptu.

– Tak, wiem – powiedział Reuben. – Niesamowite, co?

Ale to było coś więcej, a może właśnie tak wyglądała definicja niesamowitości. To było niewiarygodne, nie z tej ziemi. Polana, duży krąg,

w świetle księżyca wszystko było srebrzyste. Kora drzew okalających porębę wydawała się kuta srebrem, pnie wyglądały jak kolumny z inkrustowanego kruszcu lub jak olbrzymi srebrny kandelabr, w którego świetle stali. A ziemia – gęsty mech czy może drobne paprocie? – każdy maleńki listek zatopiony był w srebrze. Ziemia była miękką migotliwą niczym brokat poduszką i buty Anny zanurzyły się w niej, prawie całkiem znikając. Nawet powietrze było jak w srebrnym pierzu. Anna wystawiła ręce przed siebie, jakby te cząsteczki światła były czymś, co można pochwycić w dłoń.

Odwróciła się i popatrzyła na Reubena.

– Uwielbiam to miejsce – powiedział. Uśmiechał się szeroko, z entuzjazmem. Tryskał nim wprost. Jak dziecko. – To moja tajemnica. Najpiękniejsze miejsce na świecie. A teraz i ty tu jesteś, więc piękno jest podwójne, piękno tak porażające, że kładzie na łopatki.

PIES

Gdzie Zeus? Czy ktoś wypuścił Zeusa?

Zeus, tutaj, Zeus.

HEJ

– Hej, zabciu. – Anna odchrząkuje.

Dla Caroline i Molly natychmiast staje się jasne, że dzwoni któreś z trojga dzieci.

– Jest dobrze. Nie ma to jak przyjaciółki. – Głos Anny jest jak z teatru. Bez chrypki. Bez bełkotu lub szczebiotu od morfiny. Nawet plecy ma teraz wyprostowane, nagle silniejsze niż przez cały dzień.

Caroline i Molly nie udają, że nie podsłuchują. Obie się domyślają, że to któreś z bliźniąt. Ale Andy czy Harper? – nie wiedzą.

– Zebranie? – Anna kiwa głową. – Kiedy ma do tego dojść?

Pytania sterujące rozmową.

– Jakie spotkanie? Dzisiaj. Brzmi obiecująco, prawda? – Ucieka od pytań, zadając pytania.

– Czy o to właśnie ci chodziło? – Anna zna się na rzeczy. Który rodzic nie wyspecjalizował się w wyciąganiu informacji?

– Tak, tak. Zartujesz chyba. To szaleństwo! – Radość i śmiech. Głęboki, z przepony.

Molly i Caroline wiedzą, że rzeczywiście się cieszy. Nic nie ucieszyło jej bardziej przez cały dzień niż tętniące entuzjazmem słowa jej dziecka – i sama teraz to przeżywa, radość swojego dziecka.

– Nie, proszę. Wiem, kochanie. Tak mi przykro. – Anna krzywi się i wzdraga, wydaje się, że mówi: „nie”. Obserwują jej twarz, jakby patrzyły

w spektrograf, rejestrują najdrobniejszą zmianę.

– Mam tu dziewczyny. Słuchaj, zadzwoń, jak tylko będziesz mieć chwilę, i opowiedz, jak przebiegło to spotkanie. To twój jedyne obowiązki. Będę czekać. Kocham cię, małpko.

Stara się mówić z werwą aż do ostatniego: „Kocham cię, małpko”. Potem wciska guzik kończący połączenie, a Molly i Caroline widzą, jak uchodzi z niej powietrze, a zwiotczałe ciało opada z powrotem na pasiaste poduszki.

– Oby to było szybko. – Szuka w ich twarzach potwierdzenia i obietnicy.

GWOLI ŚCISŁOŚCI, JEŚLI TO MA JAKIEŚ ZNACZENIE

Wspólnie urodziły dwanaścioro dzieci. Miały trzy aborcje na życzenie. Trzy poronienia. Jedna ciąża została usunięta po amniopunkcji, ze względu na wady płodu. To tak gwoli ścisłości.

WIARA

Ming spytała:

– Jak sobie radzicie? Co u Harper i chłopaków?

– Jak sobie radzimy? Jakoś sobie radzimy. – Reuben mówił jak stary Żyd. Szorował kuchenkę. Pochylił się i szorował.

– Czy aby na pewno, Reuben?

Uniósł rękę, w której trzymał żółtą gąbkę powleczonej warstwą środka czyszczącego. Stop. Stop. Stop. Z każdą chwilą wyglądał coraz starzej i bardziej żydowsko.

ZAWSZE

Lodówka wyglądała, jakby kroila się grubsza impreza. Ile quiche'ów można zmieścić na jednej półce? Przez cały tydzień otwierały się drzwi i okoliczni znajomi znosili coraz więcej potraw, które później z doklejonymi etykietami trafiały do zamrażalnika. W piekarniku ciągle coś się odgrzewało. Sąsiedzi z Doliny musieli się jakoś dowiedzieć, że przedwczoraj Anna wypła mus z mango. Teraz cała półka była wypchana wszelkiego rodzaju organicznymi musami z mango dostępnymi w sklepach, od Stop & Shop po Trader Joe's.

Aż Reuben zaczął się zastanawiać, czy ludzie w ogóle rozumieją, co znaczy „opieka paliatywna”.

Jedzenie było reakcją nerwową, zdawał sobie z tego sprawę. Taca ze zdziesiątkowanymi ciasteczkami czekoladowymi dowodziła tego dobitnie. Goście rzucili się na nie, jakby miało nie być jutra.

Patrzył, jak przyjaciółki z dzieciństwa zachłystują się radością za każdym razem, gdy Anna podniesie łyżkę, jakby dokonały magicznego uleczenia za pomocą zupy.

– Reuben? Jak się dzisiaj trzymasz? – To była Kate, pielęgniarka z hospicjum.

Pokiwał głową nadal pochylony, układając jedzenie na półkach. Docenił nacisk, jaki Kate kładła na to, że opieka hospicjum rozciąga się także na bliskich, którzy troszczą się o pacjenta, ale codzienne odpowiadanie na jej pytania stało się jeszcze jednym obowiązkiem do odfajkowania.

Przykucnęła obok niego.

– Wszystkim się wydaje, że hospicjum jest po to, żeby urządzać przyjęcia składkowe? Nie chcę nikomu psuć zabawy, ale te hordy przyjaciół i znajomych, które zjawiają się co godzina, to chyba lekka przesada.

Reuben się zachnął.

– Tak już z Anną jest. – Wiedział, że powinien powiedzieć więcej. Dać Kate lepsze wyobrażenie o osobie, którą się opiekuje. Powiedzieć, jak wszyscy szaleją na punkcie Anny. Ale dowcipna uwaga pielęgniarki poruszyła strunę w ciemniejszej stronie jego duszy.

– Czy komukolwiek przyszło do głowy, że może ona by chciała odrobiny ciszy i spokoju?

– Ha, to jeszcze nic. Będą się tu zjeżdżać całymi autokarami. – Nie pamiętał, kiedy ostatnim razem z kimś dowcipkował.

– Może użyczycie mi paru gości dla tych z moich podopiecznych, którzy nie mają nikogo.

– Dajmy spokój z użyczaniem. Możemy otworzyć wypożyczalnię. Założyć działalność gospodarczą.

Dobrze się bawił. Dobrze i niegrzecznie.

Kate dotknęła lekko jego barku.

– Anna powiedziała mi wczoraj, że chce przestać jeść.

Reuben wyjął zapiekankę ze szpinakiem i grubymi plastrami sera.

– Miała mdłości?

Rozwinął folię spożywczą i naciągnął kawałek na naczynie.

– Pyta, jak może popchnąć sprawy do przodu.

Reuben dalej wyciągał jedzenie z lodówki, podczas gdy Kate wyjaśniała, że nieprzyjmowanie pokarmu może przyspieszyć cały proces. Ułożył stos kolorowych naczyń ceramicznych.

– Tak mówiła? Że przestaje jeść?

Usiadł na wykafelkowanej podłodze przed otwartą lodówką. Powinien chyba zawiesić kartkę z napisem: „Uprasza się nie przynosić więcej jedzenia”. Ale ludzie powiedzą, że stracił prawo do składania oświadczeń o tym, czego Anna chce.

– Bierze pod uwagę wszystkie dostępne możliwości.

Reuben wstał, pozostawiając zapiekanki w nieładzie na podłodze. Otworzył szufladę ze szpargalami i zaczął przetrząsać jej zawartość w poszukiwaniu kartki

i długopisu. Jakie miał prawo wieszać cokolwiek na lodówce w domu, w którym już nie mieszkał? Wziął zielony pisak. „Nie przynosić więcej jedzenia”. Przyczepił kartkę do lodówki magnesem w kształcie kawałka pizzy.

Chrzanić ich wszystkich! Ma wszelkie prawo.

2008 – W GRUZACH

Ming winiła za to Dolinę. Winiła tutejszych znajomych Reubena i Anny. Powiedziała, że ci dwoje wpadli na pomysł separacji tuż przed tym, gdy dzieci miały opuścić dom, wyłącznie dlatego, że taka jest akurat moda w okolicy. Teraz, zamiast urządzać imprezy składkowe, znajomi z Doliny zaczęli wyjeżdżać na treningi do świątyni medytacji siedmiu czakramów albo do sauny. A wraz z treningami zdawało się przychodzić gwałtowne przebudzenie. Głównie seksualne. Czy to z instruktorami jogi, czy z kolegami z pracy. Nawet z mnichem. Połowa ich znajomych z Doliny nagle zapragnęła więcej przestrzeni. Nie wierzyli już w stary paradygmat, w ograniczenia narzucane przez małżeństwo.

– Nie wierzycie? – spierała się Ming z Anną i Reubenem, kiedy jak co miesiąc przyjechali do Great Barrington na kolację u niej i Sebastiana. – Dorosłość to ograniczenia. – Powiedziawszy to, Ming dołała sobie wina.

Rozstawanie się było lekkomyślnością. Dwa domy, dwa rachunki za ogrzewanie i za telefon. Kto ma tyle forsy do wyrzucenia? Ming twardo stąpała po ziemi. Komu nie marzy się romans? Ale kto ma na niego czas?

Reuben i Anna upierali się, że nie ma nikogo trzeciego. Stara śpiewka. Dwadzieścia lat. Teraz w gruzach.

– Co wy wyprawiacie? – Ming wychyliła kieliszek. – Macie o wiele lepsze małżeństwo niż my.

– Ej! – zachnął się Sebastian. Trzymał w garści szczyptę kuchenne. W całym domu unosił się aromat ziół i czosnku.

Ming skłaniała się ku starej szkole. Wierzyła w przysięgę, jaką ona i Sebastian wspólnie złożyli. Chodziło właśnie o to, żeby wytrwać ze sobą podczas odpływów, a nie przyływów. Chinka i Ekwadorczyk – przypuszczała, że ze względu na pochodzenie przynależeli również do Starego Świata.

– Kto inny by mnie tak karmił? – Ming rozpromieniła się, gdy Sebastian przyniósł półmisek pieczonych ryb i warzyw.

Począł, aż wszyscy usiedli, po czym postawił naczynie na stole. Jedzenie było przyjemnością wymagającą ceremoniału.

– Przy dobrym jedzeniu nie wolno mówić z goryczą czy żalem.

Sebastian się uklonił.

Ale po posiłku i winie Ming się rozpląkała.

– Jesteście naszymi przyjaciółmi. Spotykamy się na kolacjach. Spędzaliśmy razem wakacje. A co ze wszystkimi naszymi dziećmi?

– Ming, robimy to na próbę. Nie na zawsze – powiedziała Anna. – Chcemy przyjrzeć się temu, kim teraz jesteśmy, i zastanowić, co ma sens.

Które małżeństwo mogłoby przetrwać taką próbę?

Reuben zaczął zbierać talerze. Wyglądał na bardzo podekscytowanego. Anna zresztą też. Jakby oboje jeździli już na festiwalu muzycznym lub uprawiali heliskiing bez nadzoru rodziców.

Ming, nagle zimna i wkurzona:

– Oboje podurnieliście. A róbcie, co chcecie!

W RZECZYWISTOŚCI

– No, no, no – zaintonowała Kate, odkładając torbę pielęgniarską i plecak. – Zupełnie nowa Anna.

Anna, w czystych legginsach i należącej do córki bluzie z college’u, z wilgotnymi włosami splecionymi w warkocz z boku, wypoczywała w salonie, popijając z wysokiej szklanki napój z mango.

– To szaleństwo! – Zaśmiała się z czegoś, co powiedziała Caroline. Promienny uśmiech. Królewski zarys szczęki.

– Taka jest naprawdę Anna. – Głos Molly brzmiał zaczepnie jak u naburmuszonej nastolatki. – Taka jest w rzeczywistości.

Wskazała ją uroczystym ruchem ramion. Morfina, senne rozkołysanie, płytki i stłumiony oddech, przymknięte oczy, ta ledwie zmarszczka pod kołdrą – to nie była Anna.

Kate wyjęła ciśnieniomierz i zaczęła go rozkładać.

– No to, prawdziwa Anno, sprawdźmy, jak się rzeczywiście masz.

1976 – POD WIĄZEM

Molly wciąż była prawie pewna, że jedyną osobą, która kiedykolwiek dowiedziała się o tym, że się całowały, był dozorca na Farmie. Kiedy Molly i Anna zobaczyły go z nożycami do przycinania nierównego żywopłotu, wcale nie przestały.

– Niech ma wspomnienie na całe życie – wyszeptała Molly i przesunęła językiem po górnej wardze Anny.

Całowanie się było pomysłem Molly.

– Czemu nie? – powiedziała. – Będzie fajnie.

Rozumowała następująco: obie dawały chłopakom, których ledwo znały, robić ze sobą znacznie więcej, niż tylko się całować. Każda z nich prowadziła listę i podobało im się, że niektórzy chłopcy pojawiają się na obu. Robbie Bradford całował jak ryba. Frank Fajtłapa pakował każdej z nich do środka gruby palec. Jose był tak wprawnym kochankiem, że przezwały go „królem miziania”.

Pomysł może był Molly, ale to Anna przycisnęła ją do pnia wiązu.

– Jesteś taka śliczna – powiedziała i pochyliła się, całując ją nieśmiało. Potem pocałowała Molly znowu, ich języki śmigają, baraszkując. Molly aż poczuła ból z podniecenia. Obróciła Annę tak, że to ona teraz stanęła plecami do drzewa. Przywarła do Anny, ich naprężone ciała ocierały się o siebie rozkołysane. Inaczej niż z chłopakami, obie miały otwarte oczy tak długo, aż się zatraciły i dały ponieść pożądaniu do tego stopnia, że powieki same się zamknęły.

– Nigdy nikomu o tym nie mówmy – powiedziała Anna, gdy wymknęły się przez dziurę w płocie.

– Chodzi ci o Helen. – Molly nie podobała się dziecinna złość, której nie mogła opanować.

– Chodzi mi o to, że chcę dzielić z tobą ten sekret. – Anna otoczyła wargami dołeczek w brodzie Molly.

– Tylko ze mną i dozorcą – zażartowała Molly, bo zawsze lepiej mieć poczucie panowania nad sytuacją.

BŁOTO

Helen wychyliła się przez barierkę werandy. Taras wydawał się rozchwiany. Dom też. Niezupełnie w ruinie, ale zaniedbany. Wypaczone deski, wystające gwoździe. Poręcz wyglądała jakby miała się rozlecieć. Pofałdowana podłoga pilnie wymagała remontu. A potem cyklinowania i bejcowania. Kto mógłby nadażyć ze wszystkimi naprawami? Nawet w normalnych okolicznościach dom wymagał nieustannych nakładów. A tutaj przez kilka ostatnich lat na dodatek ten idiotyzm – Reuben mieszkał gdzie indziej, Anna zaś częściej była chora niż zdrowa. Dosyć. Dosyć już tego. Nie wyszła na werandę, żeby odgrzebywać kolejne problemy. Zacerpnij świeżego powietrza. Złap oddech.

Helen puściła poręcz i strzepnęła z dłoni kawałki złuszczonej farby. Powinna opatulić przyjaciółkę w coś ciepłego i wyprowadzić z domu. Ale Anna się nie zgodzi. Albo tylko zmruży oko, patrząc na Helen, i wyniośle pokręci głową, jak to ona. Uprze się, że to już niemożliwe. Niemożliwe, żeby poradziła sobie na zewnątrz. A przecież to było możliwe. Helen by jej dopilnowała. Owinęłaby Annę wełnianymi kocami i wyniosła z domu. Posadziłaby ją na drewnianym krześle. Kiedy tamta by się już tu znalazła, spodobałoby jej się to ciężkie powietrze podczas odwilży. Zachwyciłaby się jego lekką słodyczą. Helen musiała wierzyć, że Anna wciąż może tak to odczuwać. Chociaż nie była pewna, ile jeszcze zachwyty jej pozostało.

Coś mignęło w pobliżu. Skrzydło, błękitne. Modrosójka? Lecz wśród nagich gałęzi drzew Helen nie zdołała dojrzeć żadnego ptaka. Może jednak niczego przed chwilą nie widziała. Spojrzała z powrotem w głąb domu. Wydawało się to takie normalne: widzieć, jak wszystkie siedzą tam razem, jedzą i rozmawiają. Tak jak zawsze, spędzają wspólnie czas. Ming odrzuciła głowę do tyłu w reakcji na coś, co

ktos powiedział. Molly siedziała teraz przy Annie i masowała jej nogi. Przyjaciółki śmiały się, były sobą. Caroline, mówiąc, trzepotała nerwowo upierścienionymi palcami. Ming przechylała głowę to w tył, to w przód, to na boki, kiedy się śmiała. U każdej z nich Helen dostrzegała owe wszystkie drobne, szczególne gesty, definiujące osobę. U każdej z wyjątkiem Anny. I nie chodziło o to, że Anna zmieniła się nie do poznania. Że nie była sobą. Właściwie wyglądała lepiej niż ostatnim razem, gdy Helen ją widziała. Twarz miała pełniejszą, rumiane policzki.

Mimo to nic w tym domu nie było normalne. Anna to była sobą, to przestawała nią być. Pielęgniarka z hospicjum oznajmiła, że to „kwestia tygodni”. Lub dni. Tak po prostu. Helen oglądała więc żalony teatr normalności.

Dlaczego tylko ona czuła się zdradzona?

Spojrzała na drobne plamy wątrobiane, żółtawe punkciki, które pojawiły się na jej dłoniach. Była przyzwyczajona do skóry suchej jak łuska i do zaschniętej farby pod paznokciami, ale kiedy te dłonie stały się dłońmi staruszki? Wszystko to było takie pomyłone. Anna umierała, a ona, Helen, się zakochała. I teraz wychodziła za mąż. W tym domu umierała jej najlepsza przyjaciółka, ona zaś była kobietą w średnim wieku, która rozpoczynała nowe życie. Stara czy nie, szumiało jej w głowie ze szczęścia, a serce trzepotało bez opanowania, gdy tylko myślała o Asie. Żywe i chętne – takie było jej ciało. Jezu, ciało w miłości jest śmieszne i tak pełne nadziei. Anna umrze, a ona, Helen, powie sakramentalne „tak”.

Miała ochotę do niego zadzwonić. Nawiązać kontakt z Asą. Nie była jednak pewna, czy w tych gęstych lasach telefon ma zasięg.

To dopiero zdrada. Czy ponosi winę tylko za to, że czuje się szczęśliwa? Co w tym wszystkim w ogóle jest w porządku?

Helen żałowała, że nie ma tu braci Anny. Wciąż myślała o nich jako o Mikeyu i Bobbym, jej młodszych braciach, choć teraz obaj byli już po czterdziestce. Słyszała, że przyjechali w ostatni weekend błagać ją, żeby spróbowała raz jeszcze. Nic z tego nie wyszło. Ale wspólnie, jak ostatnio, mogliby ją przekonać. Michael był internistą, a Robert laryngologiem; wierzyli w potęgę medycyny. Do diabła z Ming, Molly i Caroline – okazały się bezużyteczne, brały stronę Anny, jakby nie pamiętały, jak bardzo w ostatnich latach był jej potrzebny ich sprzeciw wobec negatywnego myślenia. Już cztery razy, a każdy przypadek nieprzewidywalny. Nie nieprzewidywalne, ale rzadkie, dziwne komórki, masa nowotworowa w sercu. Czy nie taka właśnie była puenta Anny? „Po co pokonywać coś normalnego, skoro mogę pokonać coś wyjątkowego?”. A teraz Anna postanowiła się poddać, tak po prostu?

Prześmiewczy wrzask i kobaltowy błysk pomiędzy matowymi gałązkami sosny. Więc tam był ten ptak. A potem drugi. Ich widok podniósł ją na duchu. Głosy obu tchnęły w nią niewytłumaczalną nadzieję. Nie metaforyczną, tylko nieme szczęście, że powietrze ma chłodny posmak ziemi i liści. Że pora roku się

zmienia. Że gdyby Bobby i Mikey ją poparli, nie ustępowali, to Anna dałaby się przekonać. Że ona i Asa będą mieli wspólne życie.

„Tęsknię za Tobą. Tu jest bardziej niż smutno” – napisała do Asy w esemesie. Wcisnęła „wyślij” i patrzyła, jak wypełnia się miarka wskazująca wysyłanie wiadomości. Zależało jej na tym, żeby esemes doszedł. W razie czego mogłaby wyjść na podjazd. Lub pojechać do miasteczka, byle znaleźć zasięg.

Nie przyznała się jeszcze przyjaciółkom. Chciała powiedzieć Annie pierwszej. Że Asa, ni stąd ni zowąd, poprosił ją o rękę. Asa, który twierdził, że nigdy więcej się nie ożeni. Anna mówiła od samego początku: „Helen, przecież Asa to ten jedyny. Jest światłem i wyprowadzi cię z tej zatęchłej jaskini, w której siedzisz”. Pomyślała o pewnym popołudniu w jej mieszkaniu. Trzecia remisja. Anna przestała wreszcie nosić tę głupią perukę. Wyglądała jak francuska modelka, krótkie włosy nadawały jej łobuzerski urok chłopczycy. Tylko ona mogła wyglądać tak pięknie z prawie łysą głową. Asa wygłupiał się z Anną, a Anna się z nim droczyła. Tamtego popołudnia Helen patrzyła, jak jej najlepsza przyjaciółka i mężczyzna, w którym się zakochała, żartują ze sobą, i była taka dumna z Anny, że ta umiała tak beztrudnie wskoczyć w główny nurt życia, od razu na głęboką wodę. Z całą niewyczerpaną nadzieją. Popatrzyła na Asę i obiecała sobie: będę czerpać całymi garściami i smakować to, czym ten związek może być.

Udało się, wiadomość została wysłana. I w okienku zobaczyła odpowiedź Asy. „Nie trać czasu na tęsknienie za mną. Bądź radosna. Przekaż jej swoją radość”. Przeczytała esemes od Asy. Przeczytała po raz drugi. Żałowała, że nie napisał, jak miałyby wykrzesać z siebie tę radość. Albo że nie napisał więcej. Jak długo może czytać w kółko jedną wiadomość, odwołując powrót do środka?

– Helen.

Molly rozsunęła drzwi i popatrzyła na nią z taką dobrocią, taką czułością, że Helen musiała odwrócić wzrok.

– Anna o ciebie pyta – powiedziała Molly. – Nie wie, gdzie jesteś.

Anna jej szuka? To prawie zabawne. Przecież to Anna ją opuszcza. Helen nie chciała wchodzić do domu. Nie w tym stanie, nie tak paskudnie skołowana, że brakło jej tchu. Chciała przynajmniej jeszcze raz zobaczyć królewskie ubarwienie tego ptaka.

– Wszystko mi się kićka – powiedziała do Molly. – Jestem do niczego.

Przyjaciółka się roześmiała.

– Chodź, kochana. Teraz wszystkie jesteśmy do niczego.

2009 – SZUM

Ten Asa to był w ogóle dzięki Annie.

Helen zapytała:

– Kto przychodzi do szpitala i się zakochuje?

Anna ostrożnie pociągnęła napój przez plastikową słomkę. Przełykanie wymagało wysiłku.

– Dostałam nawrotu po to, żeby odmienić twoje żalosne życie. A w zamian otrzymałam od ciebie tylko ten shake waniliowy.

Helen zgodziła się, by przyjaciółka odgrywała rolę jej swatki, ponieważ zgodziłyby się właściwie na wszystko, byle tylko tamta nie rezygnowała z leczenia. Zresztą gadanie o chłopakach było jedną z ich rozrywek, odkąd w czwartej klasie obie zakochały się w Timmym Cannonie.

– Powiedziałam mu, że jesteś najbystrzejszą osobą, jaką znam – oświadczyła Anna. – Ale, Heli, przygotuj się, bo on jest o wiele bystrzejszy niż ty. – Od dawna nie miała na Helen tak dużego wpływu. – Jak go poznasz, właściwie będzie udowodnione, że jestem o wiele lepszą przyjaciółką. – Najwyraźniej zamierzała wycisnąć ze swojej dominacji tyle zabawy, ile się da.

Helen wgramoliła się do szpitalnego łóżka Anny. Okazało się, że tak jest łatwiej niż patrzeć na rząd pikających monitorów. Wszystkie te niskie wykresy, nagle wypiętrzające się w poszarpane szpice, działały na nią rozstrajająco. Wiele popołudni drzemały tak razem.

Helen przypomniała Annie, jak próbowała już swoich sił w roli swatki. Wiosną w dziesiątej klasie Anna i Molly stały na werandzie domu Colina O'Reilly'ego. Chodził do dwunastej klasy i miał zajęcia plastyczne razem z Helen. Pływak, który dopiero w ostatniej klasie odkrył, że uwielbia rysować i umie to robić.

– Myślisz, że mógłbyś pójść z Helen na randkę? – Anna uśmiechnęła się promiennie do Colina przekonana, że wystarczy mu to powiedzieć. – Helen jest niesamowita – dodała. – Tylko trochę nieśmiała.

Szczęście w nieszczęściu, że Anna i Molly odczekały cały rok, nim wygadały się Helen.

– Był naprawdę miły – stwierdziła Anna. – Powiedział, że jesteś super. Tylko że nie szukał nikogo na poważnie przed college'em.

Anna odstawiła niedopity shake na przepelnioną tacę przy łóżku.

– Spójrz prawdzie w oczy, Helen. Sama nigdy nie umiałaś wybrać zbyt dobrze.

Helen zamknęła powieki, podczas gdy przyjaciółka wyjaśniła jej, dlaczego ten mężczyzna, Asa, jest w sam raz dla niej. Nie chodziło tylko o żartowanie przy łóżku jego chorej matki, która leżała w pokoju naprzeciwko, ani o to, że nie skapitulował i nie ograniczał się do biadolenia przy łożu śmierci, ani o to, że zaczął zaglądać do Anny i dawać jej bananowy smoothie z dodatkiem masła orzechowego. „Pieprzyć tę zabójczą chemię, dziewczyno, potrzeba ci kalorii”. I nie chodziło o jego podstępnie uroczy uśmiech ani o poważny, obłądnie jasny kolor oczu. Albo chodziło o to wszystko razem, powiedziała Anna do Helen. I o to, że

Asa to solidna firma. Zabawny, bystry. I solidna firma. A najlepsze, że do tego nieprzewidywalny.

– Dorosły. – Anna rozplątała przewód, który utknął pod nogą Helen. – I być może w sam raz na tyle dziwny, żebyś nie straciła zainteresowania.

– Co to za dziwne imię? Asa – powiedziała Helen.

– Właśnie o to mi chodzi.

*

Kiedy Helen poznała Asę, usłyszała go, zanim jeszcze zobaczyła. Krzyczał na korytarzu.

– O jakim konkretnie powrocie pan mówi, doktorze? Co pan niby obiecuje mojej matce w ciągu tych fantastycznych dodatkowych miesięcy oprócz nudności i rozdzierającego bólu podczas rekonwalescencji po operacji?

Anna szepnęła bezgłośnie: „To on”.

Z miejsca, gdzie Helen siedziała, po tej samej stronie zasłonki co przyjaciółka, zobaczyła męskie dłonie, które cięły powietrze jak podczas walki karate. Nie widziała jego twarzy. Pomyślała, że z tym pewnym siebie jedwabistym głosem mógłby być spikerem radiowym.

Właściwie wydawał się trochę straszny.

Lekarz nie mógł wtrącić nawet słowa, Asa przerabiał go na sieczkę. Helen nerwowo czekała z nadzieją, że pan doktor zamknie facetowi usta niepodważalnymi faktami i dowodami.

Ale tamten tylko międlil słowa. Spróbował kilku wyjaśnień, które jednak Asa natychmiast zanegował, bezlitośnie obnażając dziury w lekarskim rozumowaniu za każdym razem tym samym pytaniem: „Jak to poprawi jakość jej życia?”.

Anna wyglądała na zachwyconą. Jakby każda klęska doktora dowodziła, że Helen nieuchronnie zgodzi się z jej wyborem.

– Aso! – zawołała Anna, gdy doktor, rozbity w proch, wycofał się, mówiąc, że musi iść. – Jak już wykończyłeś własną mamę, bydlaku, to chodź tutaj do nas!

Zanim wszedł, Helen uznała, że właściwie nie cierpi tego faceta, który zachęcał Annę do wisielczego humoru. Ale Asa, który usiadł przy łóżku jej przyjaciółki, zachowywał się łagodnie i troskliwie. Zapytał Annę o mityng pływacki jej córki. Znał imiona wszystkich jej dzieci.

Potem skinął głową do Helen.

– Wiem o tobie zbyt wiele, żeby udawać, że nie zżera mnie ciekawość, jaka naprawdę jesteś.

– Lepiej uważaj. Anna jest patentowaną kłamczuchą – odrzekła Helen przejęta myślą, że przyjaciółka ma rację, jeśli chodzi o jego oczy. Wtedy Asa się uśmiechnął i Helen pomyślała, że co do uśmiechu Anna też się nie pomyliła.

WEWNĄTRZ

Molly została na dworze, na werandzie na tyłach domu. Żadna do niczego już się nie nadaje, tak powiedziała do Helen. Ale wczoraj wieczorem Serena oznajmiła Molly, że rozmawiała z kolegami i sama poczytała. Były powody do optymizmu, jeśli chodzi o ten nowy lek. Lekarz Anny dokonywał ważnych odkryć na temat układu odpornościowego. Serena zaproponowała, że przyjedzie i pomoże wyjaśnić założenia programu leczenia, bo Anna zawsze twierdziła, że Serena umie wytłumaczyć medyczny bełkot tak, że staje się prawie zrozumiały.

– Zapomnij o remisji – poinstruowała ją Serena. Nowy model zakładał przewlekłość. Myśl o nawrocie.

– Kiedy znowu ci się pogorszy, ten nowy lek będzie już przebadany w tę i z powrotem.

Ale Molly przekonywała, że to w porządku, żeby nie zgadzać się już na żadne terapie.

Serena zareagowała szorstko i chłodno, nie musiała tłumaczyć, co ma na myśli. W drugiej połowie lat osiemdziesiątych Molly miała pierwszą kliniczną posadę w Fenway Community Health Center. Było tam tak wielu chorych młodych ludzi. Tyle razy wieczorem wracała z pracy, słaniając się na nogach z wyczerpania, i gramoliła się do łóżka. Tylko na to miała siłę. Tak wiele osób umierało na tę straszną nową chorobę. Na AIDS nie było żadnego lekarstwa. Nie prowadzono żadnych poważnych badań. Zdawało się, że przez dwa lata co tydzień ona i Serena chodziły na jakiś pogrzeb. Albo stały w płaszczach zapiętych pod brodę na bostońskim zimnie i krzyczały: „Milczenie równa się śmierć!”. Dopiero w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym czwartym roku zaczęto prowadzić poważne testy kliniczne leków na HIV. W Fenway Community Health Center Molly przekonała się, jak medycyna wszystko zmieniała.

Molly nie zgodziła się, by Serena z nią przyjechała.

– Ale ona musi zrozumieć, że granica się przesunęła. Że wszystko idzie szybko do przodu. Z prędkością naddźwiękową.

– Nowy lek nie zawsze stanowi odpowiedź.

– To zdumiewające, Molly. Akurat ty widziałaś, ile medycyna może zdziałać.

Czy Serena insynuowała, że Molly jest to dłużna wszystkim pacjentom z HIV, z którymi pracowała? Że odmowa w walce o Annę jest zdradą wszystkich ich drogich nieżyjących przyjaciół? Że to zdrada Anny?

Czy ona, Molly, słysząc, jak przyjaciółki śmieją się w domu, naprawdę wierzyła, że już wszystko na nic?

LUTY 2012 – LEKARSTWO

Helen nacisnęła guzik domofonu, wpuszczając Roberta i Michaela. Wbiegli po schodach, przeskakując co drugi stopień, i żaden nie zwolnił ani na chwilę, gdy pokonywali dwie kondygnacje. Pocałowali Helen na powitanie i wmaszerowali pewnym krokiem do mieszkania. Zawsze ją zdumiewało, jak bardzo są podobni do swojej siostry. Do Anny sprzed okresu leczenia.

– Ona nie czuje się dobrze. – Ming skinęła głową na Annę, która kuliła się zagrzebana w białe poduszki na kanapie Helen. – Nie może mówić.

Ming pokazała na własne gardło.

Helen pogrzebała w poduchach, aż znalazła kawałek twarzy Anny do pocałowania.

– Hej, kochanie – powiedziała. – Bobby i Mikey przyszli.

– Anno. – Robert przepchnął się obok niej i usiadł właściwie na siostrze. – Musisz usiąść prosto.

Odsunął poduszki. Jakby mógł ją zmusić do tego, żeby usiadła.

– Czuje się fatalnie – powiedziała Helen i popatrzyła na Ming.

Może popełniły błąd, że zgodziły się na wizytę braci, kiedy ci tak bardzo nalegali. Anna poprosiła Helen o przekazanie im swojej decyzji:

– Ona już nie chce więcej znosić tak okropnego bólu – oznajmiła więc, gdy dodzwoniła się do Michaela. – Te leki ją zabijają. Dokonała wyboru. – Starła się przedstawić stanowisko Anny w sposób neutralny: – To jej ciało.

– Nie bądź śmieszna – prychnął Michael i prędko dodał: – Przerwanie leczenia nie wchodzi w rachubę.

Robert posadził siostrę prosto. Otulił ją mocnym, opiekuńczym uściskiem.

– Ustawię ci lepiej leki, Anno – wyjaśnił. – Są też środki przeciwbólowe.

Nie otworzyła oczu. Powoli pokręciła głową. „Nie. Nie”.

Michael usiadł przy niej po drugiej stronie.

– Masz umówioną wizytę u doktora Lee. Rozmawiałem z nim. Jest plan.

„Nie. Nie. Nie”. Na wszystko, co mówili.

Anna wydeła wargi, dając Ming i Helen znak, żeby interweniowały, ale bracia stłumili jej protesty. Byli nieprzejednani i niezmordowani w swojej argumentacji. Poza tym sprawa zaczęła się przedstawiać sensownie. Wybroszyny da się powstrzymać, jeśli Anna od razu zacznie obmywać miejsca, gdzie poczuła choćby najłżejsze swędzenie. Przyznała, że ból ust był tak obehwładniający, że nie miała siły stosować drugiego leku.

– Nie mówię, że nie masz wyboru. Oczywiście, to twoje ciało. – Głos Michaela złagodniał trochę, nie tracąc przy tym ani odrobiny zdecydowania. A potem Mikey całkiem się rozkleił i zaczął mówić jak do małego dziecka. – Ale potrzebuję cię, siostrzyczko. Tak cię proszę. Chociaż jeszcze jeden miesiąc.

Helen przyniosła miseczki z jogurtem i łyżki. Anna przełykała z wysiłkiem. Wszyscy solidarnie jedli powoli swoje porcje.

Anna się zgodziła. Tylko miesiąc. Miesiąc, a potem się zobaczy. Zgodzić się było łatwiej.

– Ale to mój wybór – wyszeptała, starając się wydać z siebie głos. – Każde z was musi to przyjąć do wiadomości. Od tej pory wybór należy do mnie.

PROCENT

Kiedy Kate wyszła z pokoju, Anna oznajmiła:

– Jest idealna dla Reubena.

To było zabawne, ale wcale nie żartowała.

– Serio. Pomyślałam o tym za pierwszym razem, kiedy przyszła porozmawiać o opiece nade mną. Gadała i gadała o hospicjum, a ja myślałam sobie: „Możesz wyjść za Reubena?”. Jest taka ładna. Naprawdę ładna i miła. I czy nie wydaje się trochę podobna do mnie?

– Rzeczywiście urocza – przyznała Ming. – I ma zielone oczy tak jak ty.

Ming była gotowa zgodzić się na wszystko zachwycona, że przyjaciółka jeszcze nie przestała być sobą, bystrą i kontrowersyjną Anną.

– Powiedziałam Reubenowi, że ma moje błogosławieństwo w dziewięćdziesięciu dziewięciu procentach.

– Jest gotów ochajtać się z twoją pielęgniarką? – Ming chciała tylko dalej z nią żartować.

– Och, biedny Reuben. Tak bardzo się stara nie robić tego, co mu mówię. Ale choćby się bronił rękami i nogami, ostatecznie dojdzie do wniosku, że mam rację.

MIĘSIĘĆ

Anna poruszyła głową, rozglądając się za Helen. Wszystko wymagało wysiłku. Szukała Helen. I znalazła. Z Reubenem. Siedzieli we dwoje przy stole. Przyjaciółka miała przechyloną głowę, policzek oparła na barku Reubena. Reuben mówił, a Helen płakała.

Wracaj do mnie, pomyślała Anna zaskoczona, że miesiąc zaborczości wciąż się napina.

Ale czyjego powrotu pragnęła bardziej? Nie była pewna.

DOBRA PARTIA

Przez lata separacji z Anną Reuben trochę próbował umawiać się z innymi kobietami. Zawsze jednak kończyło się tak samo. Nawet jeśli pierwsza randka poszła dobrze. Ale potem, na drugiej, na przykład po wycieczce na nartach, o zmierzchu, w restauracji, przy obiecująco nastrojowym świetle, słyszał monotony tembr swojego głosu, wyjaśniającego sytuację. Przede wszystkim to jego ubezpieczenie zdrowotne. Kto mógł winić kobietę za to, że starała się jak

najszybciej dokończyć kolację, mówiła, iż podziwia go, jego wierność, ale to nie dla niej? Rachunek, proszę. Sam też by się ze sobą nie umawiał.

KOŁO RATUNKOWE

Caroline widziała zmęczenie wyryte na twarzy Reubena, gdy Helen kuliła się obok niego. Powinna ruszyć mu na pomoc. Potajemnie dać do zrozumienia: „oboje jesteście opiekunami przewlekłe chorych”. Ale trzymanie się od Reubena z daleka to najlepsze, co mogła zrobić. Mniej gadania. Wiedziała, że Reuben nie może sobie pozwolić na opuszczenie gardy. Niech więc dalej je swój posiłek i pucuje kuchnię jak maniak czystości. Nie potrafiłby się przyznać, że może nawet by się ucieszył, gdyby to się wreszcie skończyło. Jasne, owa „przewlekłość” mogła budzić w Helen nadzieję. Ale Caroline wiedziała, co rzeczywiście oznacza określenie „przewlekła choroba”. Wiedziała z pierwszej ręki, jakich wymaga wyrzeczeń. Jakich wyrzeczeń wymagała od Reubena. Bo czy ona sama, bez względu na to, jak bardzo się bała za każdym razem, gdy Elise dostawała napadu albo przepadała jak kamień w wodę, gdzieś w głębi duszy nie miała nadziei, że odbierze ten najgorszy telefon? Do jasnej cholery, musiała to przyznać przynajmniej przed sobą: podziwiała stanowczość, z jaką Anna domagała się końca. I decydowania o własnym losie.

Reuben ulegał Helen, ale Caroline widziała, że raczej wolałby wyszorować zlew lub zrobić cokolwiek innego, co miałyby wymierny efekt. Sprzątanie, żartowanie, robienie zakupów, robótki na drutach – Caroline nie spotkała jeszcze opiekuna, który nie miałby jakiejś odskoczni, czegoś, co pomagało przetrwać najgorsze, uporać się z sytuacją. O ile w ogóle było to możliwe.

Caroline wcale nie uważała żadnego z załamań swojej siostry za rzeczywiście zabawne. Ale co miała do wyboru? Czy w ogóle istniał jakiś wybór, oficjalny formularz opiekunki starszej siostry, który można było wypełnić i podpisać? Tak się po prostu złożyło. Sytuacja dojrzewała powoli. Minęły lata, zanim się zorientowała, że to nie pojedyncze wybryki, że jej pełna życia, cudowna siostra nie ma po prostu gorszego okresu, tylko jest chora. I właśnie gdy Caroline wydawało się, że może wrócić do tego, co nazywała normalnym życiem, Elise przestawała brać leki i znajdowano ją, jak włóczy się na bosaka – a raczej całkiem goła – gdzieś w Toronto. W Toronto, jeśli Caroline miała szczęście. Elise lubiła dalekie wycieczki, co wynikało z jej umiłowania egzotyki i luksusu, ale zabawne to nie było. Powolne, postępujące wyniszczenie duszy i ciała jej pięknej siostry, tej, którą Caroline w dzieciństwie ubóstwiała, nie miało w sobie nic zabawnego. Utrata zębów, spowodowana lekami otyłość, domy opieki, zapętlone paranoiczne myśli, mania wielkości, pielęgniarki środowiskowe, zaległe opłaty i czynsze, telefony na koszt odbiorcy, brak wieści całymi tygodniami. Ale były z tego dobre opowiadki. Caroline wiedziała, że przyjaciółki nie odmówią jej wysłuchania tego. Bo jaka była alternatywa? Biadolenie? Narzekanie, jak ci wiecznie labidzący nieznośni krewni,

którzy całymi dniami rozmawiają online, tworzą sale rozmów dla rodzin osób, które teraz nazywano emocjonalnie niedostosowanymi lub odmiennymi neurologicznie. Kiedy to właściwie w ciągu tych lat, gdy Caroline była zajęta opieką nad Elise, stare dobre słowa, takie jak „czubek” czy „wariatka”, stały się zakazane?

– Helen. – Caroline uznała, że równie dobrze może rzucić Reubenowi koło ratunkowe.

Tamta nie podniosła wzroku. Za bardzo ją pochłaniało wylewanie żalów.

– Helen. – Caroline nie dała za wygraną i właściwie wbiła się klinem między Helen a kurczowo ściskane przez nią ramię Reubena. – Anna prosi, żebyś przyniosła jej szklankę wody z lodem.

PRZYSIĘGA

Przestań, Helen! – miał ochotę zawołać Reuben, gdy patrzył, jak ta przysiadła na kanapie i położyła sobie na kolanach nogi Anny. Helen dotykała jej łydek i rozmawiała, bez wątpienia przedkładając swoją samolubną prośbę o dalsze leczenie. Najpierw dopadła jego, więc teraz mógł się domyślić, co mówi Annie. Na Helen nie można było liczyć, Anna to przewidziała, a teraz Reuben zrozumiał, że miała rację. Jego żona zawsze dobrze wybierała sprzymierzeńców. Może nie same tematy sporów, ale sprzymierzeńców owszem.

Co ta Helen sobie myśli? Że on, Reuben, świetnie się bawi przy tej opiece paliatywnej? „Póki śmierć nas nie rozłączy”. To on złożył tę przysięgę. I bez względu na to, co między nimi zaszło, włącznie ze wszystkimi latami życia osobno w małżeństwie nie małżeństwie, w tym stanie niepewności i zawieszenia, można było na nim polegać. Anna zdawała sobie z tego sprawę. Cofnął się myślami do ich ślubu. Zadarta głowa Anny, jej twarz zwrócona ku niemu. Ta śliczna, urocza buzia. Wianek z kwiatów w długich falistych włosach. Miała dwadzieścia pięć lat. Trzymali się za ręce i składali sobie obietnice. O małżeństwie. Ileż nadziei jest w tym słowie. Byli tylko dziećmi. Co dziecko mogło wiedzieć, składając obietnice, jakie złożyli? Przygoda i radość. Kto sobie wyobrażał tę niepewność, jaką stało się małżeństwo? Tu, na kanapie, była jego dziewczyna, jego Anna. Zawsze jego. Jednego wieczoru zaprowadził ją do lasu, w krąg srebrnych gałęzi. Pokazał jej tajemnicę tego lasu. Tylko jej, nikomu innemu.

MAŁŻEŃSTWO

Kiedyś, tuż po separacji, Anna powiedziała, że jeśli nie uda jej się z Reubenem, jeśli się nie pogodzą, to może zostanie lesbijką.

– Wyraźnie wolę przebywać w towarzystwie kobiet niż mężczyzn.

– Jeśli go już nie chcesz, to ja za niego wyjdę – odparła Helen, słysząc jej narzekania.

– Po prostu zapomniałaś, jak mąż potrafi być upierdliwy.

Anna zachłystywała się wówczas świeżą separacją. Cieszyła się, że nie ma już kłótni. Że może siedzieć do późna w nocy i nie musi słuchać, jak Reuben pyta, kiedy przyjdzie do łóżka. Chichotała i nagrywała ze swoim zespołem. Wszystkie przestrogi spływały po niej jak woda po kacze.

– Ale lesbijką tylko od pasa w górę – oświadczyła.

– Och, będziesz bardzo popularna – odrzekła Molly. – Jak królowa lesbijskiego balu.

KÓŁKO I KRZYŻYK

Molly usłyszała śmiech nawet przez zamknięte przeszklone drzwi. Zajrzała do pokoju, ale najpierw zobaczyła własne odbicie, a dopiero poprzez nie przyjaciółki zebrane w środku, Helen, podbiegającą do Anny ze szklanką wody.

Ostatnimi czasy coraz częściej, gdy zerknęła na własne odbicie, widziała kanciastą twarz własnej matki i odwracała się z gniewem. Rysy matki, w którą Molly tak bardzo starała się nigdy nie zmienić. Wiele lat temu, po szkole, wchodziła kuchennymi drzwiami do domu i nigdy nie była pewna, jaką matkę zastanie. Matkę, która upiekła jeszcze ciepłe ciasteczka, czy też śpiącą na krześle i pijaną w kałuży moczu na podłodze z linoleum. Albo gorzej, matka nie będzie spała, tylko zarzuci ją gradem jadowitych, bełkotliwych pytań. Ciągłe te oskarżenia. „Ty kurwo! – krzyczała matka, jeszcze zanim Molly z kimkolwiek się pocałowała. – Stracisz całą tę urodę! – Nalewała sobie szklankę sherry. – Coś o tym wiem”. Potem marszczyła nos i opróżniała duszkiem szklankę, jakby piła jakieś gorzkie lekarstwo.

Teraz Molly patrzyła na przyjaciółki w pokoju. Przyjaciółki, które znały ją tak dobrze, a o tym nie wiedziały. I nigdy nie zdawały sobie sprawy ze skali problemu. Caroline przestała u niej nocować. Ale Caroline tak naprawdę nie wiedziała, co i jak. Nie wiedziała o flaszki schowanych za wyprasowanymi poszewkami na poduszki w bieliźniarce. Ani o tym, jak mocno matka biła pięściami. Ani o dniu, gdy zaatakowała Molly nożem do mięsa. Molly zmywała rzygowiny z twarzy matki, przebierała ją z upapranych sukienek w czyste. Takie rzeczy działy się u nich w domu. Poza nim matka prawie nie istniała. Poza domem chłopcy szeptali do Molly przymilne słówka i chcieli dotykać jej długich włosów. A raz pocałowała ją Anna. „Chciałabym być taka jak ty. Wszystkie chcą być takie jak ty” – powiedziała, znów zbliżając usta do jej warg. Później tego popołudnia Molly samotnie jechała samochodem przez miasto. Światło wokół drzew jarzyło się na różowo. Jezdnie były granatowe. Wreszcie zmusiła się do powrotu do domu.

– Spóźniłaś się. – Matka siedziała przy kuchennym stole. Górna lampa była zgaszona. Ale Molly widziała matkę nawet w cieniu. Gburowatą, wściekłą. I pijaną.

– Na co? – Zwykle Molly nie odzywała się ani słowem, bo żadne słowo nie było właściwe. Ale tego wieczoru kwaśny oddech matki nie mógł jej zranić. Przeszła obok, ocierając się o nią. Ale jej nie pchnęła – powstrzymała się. Tego wieczoru nie bała się, że zobaczy, jak matka upada na podłogę. Może uderzy się w głowę. Ale jeszcze bardziej pragnęła pójść na górę, do siebie. Chciała zadzwonić do Anny. „Opiekunko” – zaszczębiotałaby konspiracyjnym szeptem. Wszystkie chciały być takie jak Molly, powiedziała Anna. Molly była tą dziką, nieposkromioną dziewczyną i każdy jej pragnął. A ona widziała pomarszczoną twarz matki, słyszała bełkot przepowiadający niechybny kres jej urody. Jeżeli nikt się nie dowie o jej matce, Molly nigdy się w nią nie zmieni.

Chcę tylko, żeby to była nasza tajemnica, powiedziała tamtego dnia Anna, a Molly się zawstydzila. Czasami Molly była przekonana, że własne córki wyczuwają jej dawne krzywdy, kiedy ręka matki tłukła jej głowę o podłogę. Była przekonana, że nadal ma na sobie smród matczynych wymiocin. Teraz matka była zasuszoną trzeźwą staruchą, a Molly nie potrafiła jej wybaczyć. Po moim trupie.

Spojrzała poprzez własne odbicie na przyjaciółki. Helen szeptała coś do Anny. Te wszystkie sekrety, które sobie powierzyły, i na znak, że ich dochowają, chwyciły się małym palcem za mały palec. Wszystko to były tajemnice tak błahe jak gra w kółko i krzyżyk. Wszystkie te piękne zwierzenia przyjaciółek, które obiecały sobie mówić wszystko. Ale były też sprawy wstydlive. Takie, z których nigdy by się nie zwierzyły.

Serena się myliła. Milczenie Molly w sprawie wyboru, jakiego dokonała Anna, nie było zniewagą dla wszystkich, którzy zmarli z braku lekarstwa. Ów wybór wykraczał poza medycynę. Stanowił miarę tego, co Anna może zaakceptować jako życie.

Serena mogła naciskać. Podobnie Helen. Ale zgoda Molly, jej milczenie w stosunku do Anny, były wyrazem miłości.

PAMIĘTAM

Helen dostrzegła swoją szansę. „Potrzebuję cię, Anno, na swoim ślubie”.

Zamiast tego spytała:

– Pamiętasz to okropne lato, kiedy chciałam pojechać za Lucieniem z powrotem do Toronto? Wtedy namówiłaś mnie, żebym tego nie robiła.

Musiała wierzyć, że Anna wie, dokąd zmierza ta rozmowa. Bo jej Anna podniosłaby wzrok i powiedziała: „O co chodzi, Heli? Mów prosto z mostu. Nie zanudzaj mnie owijaniem w bawełnę”.

Albo: „Lucien, narkoman z Toronto. Tak, ten pięknie umięśniony grzbiet wynagradzał żalostną osobowość. Że nie wspomnę o uzależnieniu od koki”.

Czy też: „Lucien był poważną stratą czasu i twojego życia. Ale, Bogu dzięki, niczego się z tego błędu nie nauczyłaś”.

Zamiast tego Anna wymamrotała:

– Pamiętam.

– Uchroniłaś mnie przed tyloma błędami.

Mało powiedziane. Ale Anna wiedziała, co tamta ma na myśli. Wrzeczono jej nogi w dłoniach Helen, tak kruche i delikatne, że Helen ledwo mogła mówić, gdy koncentrowała uwagę na koniuszkach palców, które przesuwały się po ścięgnach opinających kość.

– Anno – spróbowała jeszcze raz. Była gotowa to powiedzieć, targować się z Anną, by pozostała przy życiu.

Ale przyjaciółka zasnęła.

SZPITAL, KURS DLA POCZĄTKUJĄCYCH

Późnymi wieczorami, gdy oddział cichł tak, że słyszeć było tylko szum i pikanie urządzeń, Anna z wózkiem ciśnieniomierza, w którym zacinano się kółko, spacerowała korytarzami. Asa przyglądał jej się z sali, w której leżała jego matka. Aż któregoś wieczoru do niej podszedł.

– Mogeć? – zagadnął. Ruszyli powoli razem. – Prawdopodobnie nie powinnaś ze mną chodzić. Możliwe, że jestem Ponurym Żniwiarzem – powiedział.

Cztery lata temu jego żona. Teraz matka.

Wpatrywali się w automat sprzedający słodczyce, jakby od ostatniego okrążenia dodano mu jakąś nową funkcję.

– Pogodziłem się już z tym wszystkim. – Wcisnął dwa guziki i na półeczkę spadł batonik muesli.

Pogodził się już z tym, jak szybko zaczął znowu rozpracowywać oddział, orientować się, którego rezydenta lepiej omijać z daleka. Albo jak pilnował, by zdobyć sympatię personelu sprzątającego, który, zdumiony okazaną uwagą, a co dopiero pozdrowieniem Asy: „Dzień dobry, kapitanie”, dawał dodatkowe torebki patyczków do higieny jamy ustnej, kiedy matka cierpiała z powodu stanów zapalnych. Asa wyczał, która pielęgniarka jest dobra, a która głupia. Tyle wysiłku, a wciąż tyle poziomów niekompetencji. Nauczył się, by dociskać personel w czwartek. I radzić sobie w piątkowe południe z lękiem, że odtąd nic ważnego się nie wydarzy aż do poniedziałku.

Znowu doszli do automatu.

– Wiesz, jak poznać, że ktoś spędza w szpitalu za dużo czasu? – Asa z zamkniętymi oczami wyrecytował ściśle według kolejności na liście cały asortyment batoników i innych przekąsek w automacie.

– Niezły bajer, w sam raz na suto zakrapianą imprezę. Lepiej, żeby nikt się tego o tobie nie dowiedział – stwierdziła Anna i zaczęła kolejne okrążenie. – Jeśli wziąć pod uwagę, ile, zdaniem lekarzy, zostało mi jeszcze życia, twoja tajemnica jest dosyć bezpieczna.

NO BO BYŁA

– W ogóle nie łapię sygnału. – Caroline chodziła po obrzeżach pokoju, trzymając telefon, jakby był licznikiem Geigera.

Przed chwilą, w jakimś nagłym przypiływie wzmożenia telekomunikacyjnego, odebrała osiem esemesów od jednego z dzieci. Nie do końca zrozumiałych, ale coś się kroilo. Caroline musiała się skontaktować z Dannym i zapytać, co i jak. Oby kryzys został już zażegnany. Danny umiał poradzić sobie z kłopotami z dzieciarnią. Choć czemu wciąż sprawiały kłopoty, mimo że ostatni rachunek za chesne w college'u został już dawno opłacony? Czy w opisie obowiązków rodzica nie było klauzuli, która mówiłaby *basta, finito*, zadanie wykonane? Klauzuli, dzięki której Caroline wreszcie przestałaby mieć poczucie, że musi dowodzić. Mimo wszystko jedno z dzieci słało esemes za esemesem: „Mamo. Zadzwoń”.

Jeden z esemesów wskazywał też, że na horyzoncie pojawiła się nowa sytuacja alarmowa z Elise.

Zdawało się, że Caroline zawsze musiała radzić sobie z paroma kryzysami naraz. Nie z tym albo tamtym, ale zawsze z tym i tym. Zawsze musiała w biegu oceniać, która sytuacja wymaga więcej uwagi.

Mimo wszystko musiała przyznać – choćby niechętnie – że kryzys domowy lub nowa sytuacja alarmowa z siostrą dawały tymczasową ulgę, uwalniając Caroline od natrętnych myśli o tym, jak skóra na ramieniu Anny obwisła i zwijała się w fałdy, pod którymi nie pozostał żaden mięsień. Kto nie miałby ochoty odwrócić wzroku? Ona miała przynajmniej wprawę w opiece nad dziećmi i siostrą. A tutaj, przy Annie, nie mogła nic zrobić. Mogła tylko być. Prawie zabawne – owa chęć pełnej obecności w chwili cierpienia, którego nie można znieść. Wydawało się to dosyć kiepskie.

– Zupełnie nie łapię. – Caroline uniosła telefon, ale zatrzymała się pośrodku pokoju, w pół zdania, na widok Molly skulonej obok Anny, ich obu pochłoniętych rozmową, która wydawała się prywatna. Tak prywatna, że nie podniosły nawet wzroku, i teraz Caroline utknęła głupio na samym środku, bez sensu wymachując komórką. Ogarnęła ją dziecinna niepewność – czy normalne byłoby klapnąć na kanapę obok nich i przyłączyć się do rozmowy. Czy może wepchnęłaby się w ten sposób na chama, wdarła w ich intymne sprawy? Znowu to samo. Całe to dawne poczucie nieprzystosowania. Tej jedynej trochę z boku. Nawet teraz, po tylu latach, Caroline nie potrafiła przestać się przejmować. Gdzie jest jej miejsce w grupie? Tak naprawdę. Zastanowiła się nad sobą. Jak małostkowa – raz po raz – się okazywała.

Spuściła wzrok na telefon, a potem skierowała aparat w głąb pokoju, łowiąc sygnał. Stare Znajome. Bez względu na to, jak się nazwały, w grupie zawsze

obowiązywał porządek dziobania. Dosyć to żałosne, gdy wziąć pod uwagę okoliczności. Jeśli czuła się trochę nie na miejscu, to może była sama sobie winna. Za wszystkie te lata, kiedy praktycznie sama się wypisała. Mimo to zawsze, nawet teraz, chociaż wiedziała, że to ona odsunęła się na bok, towarzyszyło jej poczucie, że ktoś zajął jej miejsce. Na początku miała Molly. Obiecały sobie solennie całą tę przyjaźń aż po grób. Jak tylko podrosły na tyle, że rodzice puszczały je do szkoły bez opieki, chodziły tam razem. Potem miały takie same pomarańczowe rowery *Schwinn Stingray* z lśniącymi siodełkami w kształcie banana. Popołudniami ćwiczyły jazdę na jednym kole. Caroline udawał się nawet półobróć.

Ale potem, w lecie między siódmą a ósmą klasą, Molly wróciła z kolonii i wszystko się zmieniło. Nie chodziło wyłącznie o te szokujące piersi. „Tak, wiem, nagle bach i mam cycki, jakby były nadmuchiwane!” – powiedziała, gdy Caroline rozdziawiła usta ze zdumienia. Sam biust to jeszcze nic takiego, Caroline zaczęła nosić stanik już w siódmej klasie. Ale piersi Molly były inne, ona wyglądała niebezpiecznie. Nie tylko jej ciało. Ładne blond loki o rudawym odcieniu rozwichrzyły się i splątały w złocistą grzywę. I wszędzie, dokąd szły Caroline i Molly, zjawiali się chłopcy. Nieważne, jakie ubranie Molly włożyła – mógł to być jej workowaty kombinezon – i tak wyglądała jak Ginger z *Gilligan's Island* w obcisłej sukni wieczorowej. A Caroline była tą drugą dziewczyną z serialu, Mary Ann. Tylko mniej radosną. Nie chodziło jedynie o głupich chłopaków z ich klasy. Caroline przerażali chłopcy ze szkoły średniej. Mieli samochody, wozili Molly na randki. Rany, nawet tata Caroline napomknął coś o tym, że Molly wyrasta na prawdziwą piękność, na co mama roześmiała się i powiedziała: „Lepiej przestań się tak na nią gapić”. To było obrzydliwe. Caroline wymyślała rozmaite preteksty, żeby na stałe przenieść ich tradycyjne wspólne nocowanie z piątków na soboty do domu Molly. Później, w dziewiątej klasie – a już na pewno w dziesiątej – w ogóle przestały razem nocować. Molly przestała ją zapraszać. Co było straszne, ale także w sumie okay, bo Caroline trochę bała się domu Molly i jej mamy. Wolała nie łączyć za Molly i gromadą oszołomionych i śliniących się chłopaków, natomiast Anna i Ming wydawały się podekscytowane możliwością ogrzania się przy bijącym od Molly seksapilu. Chociaż nigdy nie wykluczały Caroline ani Helen. Ta sprawiała wrażenie, jakby pozostawanie na uboczu jej nie przeszkadzało i zjawiała się zawsze, gdy trzeba było wyciągnąć Annę z opałów. Ale Caroline, owszem, przeszkadzało. Przy Molly czuła się niepewna i zalękniona. Pał sześć szpanujących chłopaków, popisujących się w samochodach swoich ojców, przy *Stairway to Heaven* Zeppelinów rozkręconych na cały regulator. Na sam widok, jak Molly wysypywała z pojemnika na klisze marihuanę, żeby się pozbyć nasion i łądyg, Caroline przebiegały ciarki. Co ona wyrabia? „Jest spoko, wyluzuj” – mówiła Molly, spoglądając na nią spod swojej idealnej grzywki.

Ale Caroline wcale nie uważała, żeby było spoko. Na pewno nie to, jak

Molly zarzucała włosami przy każdym wypowiedzanym zdaniu. I nie to, jak Molly zadarła swoją koszulkę z Myszka Minnie i pokazała dwadzieścia malinek, które zrobił jej Jeff Thomas, po dziesięć na każdej piersi, a Anna pisnęła: „To niesamowite!”. Niesamowite? Wyglądało raczej ohydnie. Ohydnie jak choroba, z której Molly mogła nigdy się nie wyleczyć.

Potem Caroline dowiedziała się, że Anna i Molly sprowadzają na Farmę chłopaków. Anna i Molly opisały sobotni wieczór, kiedy imprezowały na Farmie. Ktoś wysypał z puszki po piłkach tenisowych jakieś czerwone kapsułki, a po pewnym czasie Anna ocknęła się obmacywana przez jakiegoś chłopaka. Potem im opowiadała, że gdy starała się powiedzieć do niego: „Przestań, proszę”, czuła się tak, jakby miała usta pełne ciążutek. „To okropne” – stwierdziła Caroline, ale Anna i Molly tylko wzruszyły ramionami. „Caroline, nic nam się nie stało”. Ale Caroline uważała, że stało się bardzo dużo. Miała ochotę oświadczyć, że nie wolno im sprowadzać innych ludzi na Farmę.

Farma była dla niej szczególnie miejscem, miejscem, którym podzieliła się z przyjaciółkami. To ona, Caroline, pokazała tamtym dziurę w płocie, lasek jodłowy, ogród różany. Farma była świętością, ich sanktuarium. Miała ochotę powiedzieć reszcie, że nie wolno im palić zioła, robić głupot i praktycznie dać się zgwałcić. Wiedziała jednak, że jej żądanie zabrzmiałoby śmiesznie. W końcu Farma do niej nie należała. Wszystkie były tam nieproszonymi gośćmi. Tak naprawdę chciała tylko odzyskać swoje przyjaciółki, odzyskać Molly. Brakowało jej piątkowych wieczorów, kiedy grały w chińczyka i monopol. Jedzenia lodów prosto z półlitrowych pojemników.

Tymczasem koniec z planszówkami, Molly, Anna i Ming zdobyły durne sfalszowane legitymacje i wychwalały smak koktajli z wódki i likieru kawowego. Dlaczego Helen nie przejmowała się, gdy usłyszała o nocy, kiedy we trzy upiły się singapurskim slingiem? Zbagatelizowała sprawę; „Tak, to kretynki, ale naprawdę fajnie o tym opowiadają”. Czy Helen nie była ani odrobinę zazdrosna, że Anna ciągle łąziła gdzieś z Molly, grzejąc się w jej blasku? Helen argumentowała, że przyjaźń nie jest monogamiczna, że nie zależy wyłącznie od tego, kto z kim spędza najwięcej czasu. Ale Caroline uważała, że to brzmi jak frazes z jakiegoś poradnika o duchowości. Albo z *Be Here Now* Rama Dassa. Bo czy bycie najlepszymi przyjaciółkami – i noszenie tych głupich naszyjników, które Helen i Anna dały sobie nawzajem, ze swoimi imionami wygrawerowanymi po każdej ze stron srebrnego medalionu – nie polegało właśnie na wyłączeniu, na tym, że najlepsza przyjaciółka zawsze ma pierwszeństwo?

W końcu Caroline zebrała się na odwagę i powiedziała Molly, że ta wydaje jej się rozchybotaną kolejką górską, która zaraz wypadnie z torów. Że samo patrzenie na Molly napędza Caroline strachu. Z ilu chłopakami już to zrobiła? Czy nie na tym między innymi polegała przyjaźń? A nie tylko na tym, żeby traktować

Molly jak jakąś nową Marilyn Monroe? Molly uśmiechnęła się tym swoim pewnym siebie uśmiechem i wtuliła się w szyję Caroline. Nawet jej głos brzmiał jak mruczenie. „Jesteś moim bojącym dudkiem. I za to cię Kocham. Ale wyluzuj. Staram się tylko trochę zabawić, zanim zmienimy się we własnych rodziców”. Caroline nigdy nie wydała żadnego wielkiego oświadczenia. Nie musiała. Po prostu zaczęła przesiadywać w domu.

*

Po latach, w restauracji Pod Tygrysem Bengalskim, podczas wiosennych ferii, Helen powiedziała Caroline, że Molly ma dziewczynę.

Caroline zatrzymała widelec z saang paneer w połowie drogi do rozdziawionych ust.

– To znaczy lesbijkę?

– No, obie są totalnymi lesbami.

Helen zdawała się zupełnie tym nie przejmować, ale Caroline trudno było to ogarnąć.

– Ale numer! – powiedziała Caroline. – Nie obcięła chyba tych swoich pięknych włosów?

Helen roześmiała się tak gwałtownie, że zdmuchnęła świecę, stojącą na przykrytym obrusem stoliku, przy którym siedziały.

– Korci mnie, żeby ci powiedzieć, że przerobiła się na babochłopa opitolonego na jeża, nosi czarną skórzaną katanę i portfel na łańcuchu. Ale Molly nadal jest długowłosą ślicznotką. Wciąż jest tą samą przepiękną, seksowną Molly. Tylko że lubi kobiety.

Od jak dawna Caroline nie widziała się z Molly? Od ponad trzech lat. Jak jeszcze zmieniła się jej przyjaciółka? Życie Caroline na pewno mocno się zmieniło. Molly nawet nie wiedziała o załamaniu nerwowym Elise. Ani o napadach paniki, jakie później zaczęły nękać Caroline. Caroline rzuciła college, budziła się pełna lęku i siedziała w ukryciu w domu rodziców. Jak gdyby załamanie Elise było zaraźliwe. Trzy lata opiekowała się Elise, a jednocześnie czekała, aż sama dostanie świra. Właśnie niedawno znowu zaczęła jeździć samochodem, nawet przywiozła Helen do restauracji.

– Czy Molly uznałaby to za dziwne, gdybym do niej zadzwoniła?

– Boże, nie, zadzwoń do niej. Koniecznie.

Tęskniła za Molly. Przy Molly nie czułaby się zawstydzona. Molly mogła ją nazywać bojącym dudkiem, gdyż robiła to z miłością. Wyobraziła sobie, jak Molly marszczy nos i mówi: „Nie przejmuj się, nigdy nie byłaś taka jak Elise. Jesteś zupełnie normalna. To tylko przejściowy odchyl”. Caroline tęskniła za Molly i poczuciem przynależności do większej grupy, która, jak usłyszała od Helen, wciąż trzymała się razem. Nawet odwiedzały się nawzajem po to, by dziewczyny

mogły poznać koleżanki z uczelni swoich przyjaciółek. Caroline pozbawiła się tych więzi solidarności. W imię czego? Nawet jeśli w czasach szkoły średniej zmieniająca się Molly budziła w niej lęk, Caroline rozumiała teraz, że wszystko ciągle podlega przemianom. Tak po prostu jest. Wspaniałe było właśnie to, że przyjaciółki chciały przejść przez to wszystko razem.

– Nie uważasz, że Molly pomyśli, że dzwonię trochę za późno?

– Wszystkie będziemy się cieszyć, bo Molly wreszcie przestanie się żalić, jak bardzo czuje się zraniona tym, że ją porzuciłaś, bo była rozbuchaną nastoletnią dupodajką.

– No bo była. – Caroline niewinnie wzruszyła ramionami.

– Nadal jest. Tylko że teraz jest szaleńczo zakochaną lesbą dupodajką.

*

Caroline spojrzała na telefon, na kręcące się kółko ikonki, gdy próbowała się połączyć. Na ekranie widniał napis WRA. Danny był jej kontaktem „W razie awarii”. Wpisała go w kontakty nawet nie imieniem, tylko tym skrótem: „WRA”. Chciała usłyszeć jego głos. Potrzebowała tego. Udawało jej się zachować równowagę, bo był dla niej opoką. Przestała już być tamtą spanikowaną dziewczyną, między innymi dlatego, że Danny był jak skała. Nazywał ją swoją dziką nieposkromioną i w porównaniu z nim rzeczywiście wydawała się trochę dzika. Jej przyjaciółki mówiły o Danny’u „pocziwiec”, co brzmiało nudno. Jej całe życie wydawało się nudne w porównaniu z życiem pozostałych. Ale to Molly powiedziała, że Caroline musi przestać się przejmować tym, jakie co się wydaje.

– Ciągłe nie mogę się połączyć – powiedziała do nikogo w szczególności i jeszcze raz wcisnęła „zadzwoń”. Poczula narastającą gulę w gardle.

– Spróbuj na werandzie. – Helen zbliżyła się do niej, pocierając własny telefon, jakby to była zajęcza łapka. – Udało mi się tam złapać zasięg.

STARE ZNAJOME

Nic nie przechodziło niezauważone: Dokąd idziesz? Nie pomalowałaś ust? To ta sama rozwichrzona fryzura, którą nosiłaś w dziesiątej klasie. Tylko że teraz masz siwe pasemka zamiast tej tlenionej blond katastrofy.

Przed nimi nic się nie ukryło.

Co oczywiście jest straszne, a zarazem najwspanialsze w przyjaźni na całe życie.

1976 – KWAS

– Ratuń – mówi Anna, gramoląc się na bosaka do samochodu Helen. – Przeżywamy koszmar.

Przez całą drogę powrotną do domu Helen Anna i Ming na zmianę dziękują

Helen za to, że je uratowała, że jest naprawdę dobrym człowiekiem i właściwie najlepszą przyjaciółką, i naprawdę, „dzięki, że nas uratowałaś”, aż wreszcie Helen warczy, żeby się zamknęły albo wywali je bosa i naćpane na Hastings Road.

Wzięły kwas i zamierzały pójść na Farmę, tak żeby LSD zaczęło działać, kiedy tam dotrą. Wszystkie nazywają to miejsce Farmą, choć tak naprawdę to posiadłość, może nie do końca opuszczona, ale w willi z kamienia od lat nikt nie mieszkał, w pokojach pozostało trochę okrytych prześcieradłami mebli, a całym terenem zajmował się zarządca. Farma znajdowała się za domem Caroline. To ona pokazała im dziurę w płocie na tyłach posesji. W miasteczku równo strzyżonych trawników było to miejsce zupełnie magiczne. Staw, zdziczały ogród różany, labirynt skał i kwitnących krzewów. Ale za zapuszczonymi ogrodami rozciągał się teren zupełnie dzikich zarośli, wysokie, niekoszone trawy, krzaki jagód i lasek sosnowy o miękkiej, kłującej od igliwia ściółce. Dziewczyny udawały, że kryją się przed zarządcą, ale wiedziały, że je obserwuje. Zdaje się, że zupełnie mu nie przeszkadzało, iż tak się tutaj panoszą.

Ming i Anna uznały, że odlot na LSD w piękny dzień na Farmie to doskonały pomysł. Całkiem dobrze to przemyślały, czuły, że właściwie mają gwarancję magicznego przeżycia. Ale jak wzięły kwas, ojciec Ming dostał jednego ze swoich ataków chińskiego szału i stwierdził, że córka nie bierze pod uwagę rodzinnych priorytetów. Darł się, że Ming zachowuje się jak każda głupia amerykańska dziewczucha. Ani krzty szacunku dla rodziców. Zero posłuchu. Wszystkie te wrzaski oznaczały, że Ming musiała zostać i posprzątać w swoim pokoju, a potem napisać próbny test z kompetencji językowej dla kandydatów na studia. Później, za karę, że nie podporządkowała się natychmiast bez szemrania, musiała wykonać jeszcze dodatkowe obowiązki domowe. Anna zaszyła się w pokoju przyjaciółki i przeżywała swój odlot aż do czasu, gdy Ming wykonała ostatni akt posłuszeństwa, to znaczy uklękła przed ojcem i poprosiła o wybaczenie.

– Wybacz, papo. – Ming pokazała, jak to wyglądało: uklękła przed Helen i pocałowała jej palce. – Nie godnam być twoją córką.

Helen o mało nie posikała się ze śmiechu, gdy tymczasem Ming opowiadała, jak odkurzała swój pokój, a Anna leżała skulona na łóżku, przerażona, że odkurzacz ją wessie.

– To wcale nie jest zabawne – oświadczyła Anna. – Nic z tego nie jest zabawne.

A właśnie, że jest, upierała się Helen, zwłaszcza jak Ming oznajmiła, że z testu osiągnęła rekordowo wysoki wynik, szczególnie w dziale dotyczącym analogii, co, mimo że Ming się zarzeka, że nigdy więcej nie weźmie kwasu, sprawia, że może warto się jeszcze nad tym zastanowić.

Helen rozkłada koce w ogrodzie na tyłach domu.

– To nie Farma, ale ujdzie. – Rodzice wyjechali na weekend, więc, jak

oświadcza, szafa gra.

Dziewczyny wyciągają się na kocach i obserwują, jak wiatr hula w koronach drzew. Jeśli nie liczyć figur, które Ming i Anna kreślą palcami w powietrzu, Helen nadaża za ich opisami gry cieni i światła pomiędzy konarami.

– Masz naturalną fazę, odlot bez dragu! – woła Anna, kiedy Helen mówi im, żeby zmrużyły oczy, to zobaczą, jak korona drzewa migocze niczym wielka połyskliwa pajęczyna. I to Helen znajduje w trawie trzy biedronki, ich magiczne owadzie sobowtóry.

– Obiecuj mi coś. – Anna dźwiga się na łokciach i spogląda na nią z powagą.
– Ty tego nie potrzebujesz. Obiecuj, że nigdy nie zarzucisz kwacha.

Helen gromi Annę wzrokiem. A potem pokazuje jej środkowy palec. Bo – wal się! – nie ma najmniejszej ochoty brać LSD. I „wal się!” – gdyż Anna to wie. „Wal się” – bo nawet tu i teraz, kiedy Ming i Anna mazgają się i przysięgają, że nigdy więcej nie będą ćpały, wygląda to na całkiem niezłą zabawę. I – ostatnie „wal się” – niby czemu Helen miałyby zawsze być tą, która je ratuje?

UCISK

Anna wiedziała o tym już od rana. Wystarczyło, że spojrzała na Helen i od razu się domyśliła. Zobaczyła przyjaciółkę w kremowej sukience ściskającą w poplamionych farbami dłoniach bukiet konwalii związanych kawałkiem jakiejś szorstkiej łądygi. Helen spogląda na Aśę, który z kolei patrzy na nią. Powiedzą sobie „tak”. Tak będzie. O zmierzchu, w boleśnie rześkim letnim powietrzu. Anna widziała to wszystko i wiedziała, że przyjaciółka chce jej o tym powiedzieć tu i teraz. Anno, muszę ci coś wyznać, zanim powiem to innym – mogłaby zacząć. Albo: Anno, mam niespodziankę, która ci się spodoba. Zamiast tego Helen, uciskając kciukami podbicie jej lewej stopy, zwlekała, czekając na jakiś określony moment, na chwilę, która okazałaby się przełomowa. Czy może wyobrażała sobie, że taka chwila poruszy Annę tak bardzo, że przyjaciółka nie oprze się pokusie, by być z Helen także wtedy, skoro towarzyszyła jej właściwie przy wszystkim, co w ich życiu było nowe i ważne? Czy może zwlekała, bo bała się, że to będzie bez znaczenia. To szare światło o zmierzchu. I lejąca się z tyłu tkanina sukni. Powąchaj je, Anno, konwalie, nasze ulubione! Ale jest coś jeszcze. O tak, naprawdę.

Helen pragnie przebaczenia. Za tę rozkwitającą nowość, za pełne nadziei pragnienie, podczas gdy tamta przestała już pragnąć. Helen chce przebaczenia za to, że wciąż chce przyszłości. Jej palce niepewnie kreślą kółka po ścięgnach i kościach stopy Anny. Tak, to prawda, że obie uwielbiają konwalie, te drobne białe dzwoneczki i szerokie zielone liście jak dziewczęca sukienka wiosenna. Śmiało, miej swoją przyszłość, myśli Anna i zamyka oczy.

Tylko jeden sekret się liczył i zwróciła się znowu do dziecka swojego

dziecka, które zaczęła widzieć w myślach.

LEKCJA

Rozmawiały, ale przede wszystkim patrzyły na śpiącą Annę. Ming zaczęła się trząść. Molly wzięła ją pod ramię i wyprowadziła z pokoju, zanim tamtej wyrwało się pierwsze głębokie gardłowe łkanie.

SZPITAL, KURS DLA POCZĄTKUJĄCYCH

Asa był zły, że w pokoju Anny zawsze jest pełno gości, a jeszcze bardziej, że wszyscy oni tak bardzo starają się wykrzesać z siebie jak najwięcej radości i optymizmu, a potem, ponurzy i zgarbieni, stoją za drzwiami i słuchają w napięciu każdego słowa lekarza dyżurnego. Jakby ten rzeczywiście cokolwiek wiedział.

Asa wstąpił do niej wieczorem, żeby poczytać gazetę i podzielić się kitkatem.

– Mam dla ciebie pomysł – oznajmiła Anna.

– Najwyraźniej masz o wiele za dużo wolnego czasu. Powinnaś wreszcie zrobić coś z własnym życiem.

Ucieszył się z jej radosnego śmiechu. Choćby najmniejsza dawka czarnego humoru była lepsza niż cała ta cikliwa troska, którą objawiali jej goście.

– Musisz poznać moją Helen.

– To ta zdziwaczała gidyja, która ucina sobie z tobą drzemki?

Asa siedział przy łóżku, opierając buty na metalowych szczebelkach.

– Rany, i ty uważasz, że to ja mam za dużo czasu? Tak, to moja najstarsza przyjaciółka i twoja przyszła żona.

Nie mógł zrozumieć, dlaczego ludziom tak trudno pojąć, że nie szuka nowej żony ani nawet dziewczyny. Jego przyjaciele, pojawiający się czort wie skąd kumple ze szkoły średniej, rodzice kolegów jego dzieci – wszyscy oni mieli jakieś propozycje. Wczoraj chirurg jego matki nawet wręczył mu kartkę z numerem telefonu swojej siostrzenicy. Młodzi, starzy, Amerykanie i Argentyńscy, dzieciaci czy bezdzietni – wszyscy mieli dla niego doskonale kandydatki na żonę.

A teraz jeszcze Anna.

– Dzięki, ale szwendam się po onkologii, żeby podrywać śmiertelnie chore. Są doskonale na szybki numer.

– Przemawia przez ciebie żal. Poczekaj, aż poznasz moją Helen.

– Mylisz się, Anno. Nie znasz mnie.

Rozerwał opakowanie i wbił zęby w środek batonika.

– Właściwie to cię znam, Aso. I właśnie dlatego daję ci szansę spróbować szczęścia z moją najlepszą przyjaciółką.

CO

Znowu coś się zepsuło w lodówce. Oby przyklepiony do drzwi napis „Nie przynosić więcej jedzenia” sprawił, że Reuben po raz ostatni wypatroszy dokładnie lodówkę w poszukiwaniu tego, co trzeba wyrzucić. To zadanie spada na niego. Podobnie jak spłata kredytu hipotecznego, rachunki za prąd i naprawy domowe. Zapamiętać: trzeba poprosić o wycenę naprawy podłogi na werandzie. On był od załatwiania spraw. Rozmawiał z Kate z hospicjum. Mniej więcej co dwie sekundy ktoś z rodziny lub przyjaciół pytał: „Jaki jest plan?”.

No i dzieci. To nieważne, że nie były już dziećmi. Pozostały ich dziećmi. Anna i Reuben powiedzieli im o wszystkim. Pierwszy raz lata temu. I teraz, przed dwoma tygodniami – minęły dopiero dwa? – Reuben przejrzał na wskroś panikę wypisaną na twarzach każdego z nich i powiedział: „Wszyscy musimy się z tym zgodzić. To wybór mamy”.

I odtąd dziesięć razy dziennie padało pytanie: „Co się dzieje, tato?”.

– No dobra, dosyć. Niech każde z was coś mi powie – oświadczyła Anna tamtej soboty, kiedy już wszyscy wspólnie się wyplakali. – Coś dobrego o waszym życiu, pracy. Po prostu odpocznijmy trochę od tych wielkich emocji – dodała.

Reuben zdziwił się, jak potulnie cała trójka na to przystała. Siedzieli na krawędziach krzeseł niczym uczniowie, którzy nie mogą się doczekać, by przedstawić klasie swoją pracę domową. Julian, najstarszy, zarumienił się, gdy zacytował słynnego krytyka kulinarnego, który napisał, że restauracja Juliana zasługuje na komplet gwiazdek, ale też, że jej właściciel jest Alice Waters stanu Vermont.

Bliźnięta czekały, aż skończył opowiadać o nowych planach dotyczących restauracji, a potem Andy, z podniecenia zachłystując się powietrzem, opisał zamówienie, które udało mu się zdobyć. „To wielka sprawa, mamó”. Dom dla małżeństwa na wybrzeżu Oregonu. I bostońska rezydencja miejska tej samej pary. „Mamo, ci ludzie śpią na forsie. I mają dobry gust. Nie dość, że robię wszystkie meble do obu domów, to zlecili mi także zaprojektowanie całej stolarki i renowację obu rezydencji. To mi da zajęcie na co najmniej cztery lata”.

– U mnie też dobrze, mamó... – zaczęła Harper, a potem skuliła się, jakby nagle dostała pięścią w brzuch. Ale kiedy Reuben objął ją ramieniem, wyprostowała się i go odepchnęła.

– U mnie wszystko dobrze – podjęła. Ręce, które trzymała na kolanach, zacisnęła w pięści. Była pielęgniarką, od roku na Oddziale Intensywnej Terapii Noworodka. Opowiedziała o wcześniaku, który urodził się w dwudziestym szóstym tygodniu, a teraz wreszcie został wypisany do domu. Po trzech miesiącach. – Urządziliśmy mu przyjęcie pożegnalne – zakończyła. – Ma na imię Nino, ale nazywamy go Herkulesem.

– Herkules. – Anna się zaśmiała. – To cudowne przezwisko. A co u ciebie? – zwróciła się do Reubena.

Z początku odpowiedział raczej burknięciem niż słowami. Wstrzymywał oddech, kiedy dzieci mówiły, a teraz mruknął coś o tym, że zaczyna siać groszek, cebulę i pomidory.

– Każdego roku uwielbiasz zaczynać pracę nad ogrodem. – Anna nie dała mu się rozkleić ze względu na dzieci.

Teraz Reuben otworzył zamrażalnik. Jeszcze więcej potraw. Upchniętych, zapakowanych i zaopatrzonych w etykiety. Bakłazan z parmezanem. Quiche z brokułami i grzybami. Leżały tam, by dodać otuchy wszystkim oprócz niego. Dzisiaj, jutro, nawet później, zostaną zjedzone.

A potem, któregoś dnia, zupełnie ni z gruszki, ni z pietruszki, Anna oznajmiła mu, że powinien się ożenić z Kate.

– Na pewno zwróciłeś na nią uwagę – stwierdziła zaczepnie. – Wiem, że takie ci się podobają.

– Rany, to dopiero doskonały tekst do podrywu – odparował. – „Moja umierająca żona uważa, że powinienem się z tobą umówić”. – Akurat demontował łóżko z baldachimem. Anna wzbraniała się przed łóżkiem szpitalnym tak długo, jak długo mogła odmawiać. – Naprawdę świetna ze mnie partia, Anno.

– Jesteś świetną partią, Reuben. Jesteś moim jedynym wyrzutem sumienia – dodała. – Nie powinnam była się zgodzić na naszą separację.

– Daj spokój, oboje nawaliliśmy.

Mimo wszystko miło było usłyszeć, jak przyznała:

– Ja pierwsza ciebie porzuciłam.

Jak żalosna i małostkowa była jego satysfakcja. Trzeba ponapełniać foremki do lodu.

OCENA

– Dobrze sobie radzisz, Anno.

Grube palce doktora lekko dotykały jej nadgarstka. Obrzuciła wzrokiem poręcz mechanicznego łóżka. Szarą plastikową komodę w kącie.

– Wolalabym radzić sobie lepiej.

MODLITWA

Ktoś otoczył dom sznurem tybetańskich chorągiewek modlitewnych.
Jezu.

– Od takich bzdur Annie chce się rzygać – powiedziała Helen.

– A tam, rzygać – zauważyła Molly. – Przez nie chce umrzeć.

– I teraz rozumiem dlaczego – stwierdziła Helen.

Śmiały się tak bardzo, że ledwo łapały dech. Skupione jedna przy drugiej całą grupą ruszyły ku miejscu, gdzie na ziemi kładły się promienie słoneczne.

– Kto to zrobił? – zdziwiła się Molly.

Stały w połowie długiego podjazdu i popatrzyły na dom z bejcowanego na ciemno drewna. Barwne ręcznie robione proporczyki wisiały wzdłuż linii spadzistego dachu. Haftowane i malowane słowa otuchy i wsparcia. Wiersz Rumiego przyszyty do dwóch połączonych chorągiewek.

– To te miejscowe baby. – Helen obróciła się dookoła, jakby chciała schwytać intruza. – To hospicjum, te flagi. To wszystko w gruncie rzeczy ich wina.

– Helen, wyraźnie ci odbija. – Ming śmiała się tak bardzo, że ledwo mogła mówić.

Caroline zdołała wykrztusić:

– Nie, Ming, teraz kapujemy. Helen ma rację. To one ją zabijają, na modłę newage’ową. Trzeba powiadomić organy ścigania.

– Panie władzo, panie władzo! – Molly zamachała rękami.

– Zaraz się posikam – pisnęła Helen. – Przestańcie!

– Mięśnie Kegła, kobieto, mięśnie Kegła – zakomenderowała Molly.

Nie mogły się powstrzymać. Ciągłe dowcipy i żarty. Śmichy-chichy, podtrzymywanie się nawzajem, żeby nie paść ze śmiechu. Nie były w stanie przestać. W pół drogi na pagórek wszystkie cztery popatrzyły za siebie na przystrojony dom, gdzie Anna chciała być teraz sama z Reubenem i doktorem.

WIĘCEJ

– Oczywiście – powiedział lekarz. – Możemy spróbować, Anno.

Miał na imię John i w ciepłe weekendy razem z Reubenem jeździł na rowerze. Jego żona Connie była jedną z najbliższych przyjaciółek Anny z sąsiedztwa. Mieszkali dwie przecznice dalej. Przez te wszystkie lata wzywali Johna w środku nocy, ilekroć sytuacja wydawała się krytyczna. Zrywał się z łóżka, a Connie wołała za nim: „Powiedz jej, że podjadę rano, żeby zawieźć dzieciaki do szkoły”.

Kiedy jednak był z Anną w pokoju, zawsze zachowywał się jak lekarz, którego potrzebowała.

Teraz, tego popołudnia, poprosiła go, żeby spróbował wyłączyć jej rozrusznik.

– Bo co, jeśli będzie mi ciągle pobudzał pracę serca, kiedy jego rytm zwolni?

Reuben siedział na krawędzi posłania, noga podskakiwała mu nerwowo, gdy próbował zachować spokój. Ją też to uspokajało.

– Defibrylator – poprawił ją John i wyjaśnił, że Anna ma wszczepiony rozrusznik z defibrylatorem.

Rozrusznik, tłumaczył, powinien działać dalej. Dzięki temu będzie się lepiej czuła. Ale defibrylator można wyłączyć, istotnie, mógł stymulować serce, gdyby zaczęło bić wolniej. John zauważył, że nie wszyscy lekarze się zgadzają na wyłączanie defibrylatora. I nie uważają, że działający defibrylator opóźnia cały proces.

– Chcę go wyłączyć.

Po raz kolejny powiedziała, że boi się nie samego końca, tylko raczej końcówki.

– Nie jestem pewien, czy dzisiaj mi się uda. – Nie miał przy sobie odpowiedniego aparatu komunikującego się z ICD. Pokazał magnes w ceramicznej obudowie. – To może zadziałać – wyjaśnił. – Jak nie, wezmę aparat od kolegi kardiologa.

W dużym pokoju zaskrzypiał parkiet. Czy aby Reuben nie poprosił wszystkich o wyjście z domu? Niech pójda na spacer. Wczoraj, kiedy otworzył drzwi sypialni, dwie kobiety z sąsiedztwa popatrzyły na niego podejrzliwie, bo miały w pamięci stare skargi małżeńskie Anny. „Chce cię tutaj widzieć?” – zapytały.

Ale dzisiaj nikogo nie było.

Mimo wszystko, kiedy z powrotem usiadł na łóżku, powiedział:

– Rany, myślałem, że przyszedł mnie dziabnąć paralizatorem – tylko po to, żeby usłyszeć jej śmiech.

– Spróbujmy. – Podźwignęła się i usiadła. Zastanowiła się nad tym, co wie.

John przyłożył magnes do jej klatki piersiowej. Nie mogła oddychać. Odepchnęła jego dłoń i zaczęła łapczywie chwytać powietrze. Potem spanikowała.

Zamachała rękami.

– Nie, nie. Nie mogę.

Kiedy się uspokoiła, powiedziała:

– Chyba po prostu się wystraszyłam.

– W leczeniu paliatywnym chodzi o to, żeby zapewnić pacjentowi dobre samopoczucie. Nie jestem pewien, czy to w ogóle jest rozsądne.

– Powinnam spróbować jeszcze raz.

– Nie ma pośpiechu, Anno. To nie wyścig.

Wiedział, że Connie z radością przyjęłaby wiadomość, że się nie udało. Ciągle mu przypominała, że Anna jest niecierpliwa. „Ona nie chce więcej czasu”, powiedziała dziś rano. „Ale ja go potrzebuję”.

– Nie masz racji z tym pośpiechem – upierała się Anna.

– Wyłączenie defibrylatora tak naprawdę niczego nie przyspieszy.

– Mam dzieci. Ich życie musi się toczyć dalej. To nie w porządku tak zwlekać i zwlekać.

Poprosiła o więcej. Więcej kroplówek. I morfinę pod język. Więcej czegoś, co przyspieszyłoby sprawę.

– Wszystkiego będzie tyle, ile potrzebujesz. Wyłączę defibrylator w ciągu kilku dni, jeśli tego właśnie chcesz. Ale wolę, żeby rozrusznik wyrównywał arytmie. Inaczej będziesz się gorzej czuć. A nie o to nam chodzi, Anno.

Nie powie żonie, że mógł to zrobić. Mógł wyłączyć defibrylator już dziś. Przyklepnięcie magnesu plastrami przy wszczepionym urządzeniu załatwiłoby sprawę, przynajmniej na razie. Tak postępowało się w sytuacjach nagłych. Ale po powrocie do domu nie mógłby spojrzeć Connie w twarz. Kiedyś w końcu to wyłączy, jak obiecał. Był lekarzem. Ale był też mężem Connie.

Anna ujęła jego dłoń, w której wciąż trzymał magnes.

– Wiesz, o co mi chodzi, John. Nie o dobre samopoczucie. Potrzebuję twojej pomocy.

KONIEC

Poczuła, że pozbyła się lęku.

(a) Cała ta gadanina, ciągła rozmowa wewnętrzna, której nie umiała uciszyć – umilkła.

(b) Cały ten wysiłek, żeby nie dać po sobie poznać, że lęk zawsze tam jest niczym gaza rozpięta między nią a wyraźnie widoczną resztą życia.

(c) Że ten lęk jest znacznie bardziej wyraźny niż reszta jej życia.

(d) Koniec ze straszliwym wstydem, że własne ciało ją zdradziło, przygarnęło złośliwe komórki, pozwoliło zabójcom się zakraść i ukryć w jej sercu.

(e) Oby ta chwila stała się początkiem nowego etapu niewierności.

OREGON

– Będę potrzebowała większej pomocy – powiedziała Anna, posławszy Reubena po szklankę wody. – Musisz mi pomóc.

Utkwiła wzrok w Johnie, otwierając szerzej swoje zielone oczy, przechyliła ramię. Użyła wszystkich swoich sztuczek. Flirtowała do samego końca, musiał to przyznać.

– Nie mogę tego zrobić, Anno. – Mógłby udawać, że nie wie, o czym mówi. Ale wiedział.

– John, przecież wiesz, że nie możesz mi się oprzeć – czarowała go.

Uroda zawsze stanowiła jej atut i wykorzystywała go doskonale, otwarcie i bezkarnie. To tragiczne, to gnące się wychudzone i nabrzmiałe ciało, mrugające oczy wybałuszone tak bardzo, że lepiej, by nigdy się o tym nie przekonała.

– Nie wolno. Nie w Massachusetts.

– Uważasz, że to w porządku, John?

– Nieważne, co uważam. Takie jest prawo, Anno.

– Możemy poudawać, że jesteśmy w Oregonie?

– Jasne. – John bez zająknięcia podjął grę. Musiał to przyznać: Anna miała refleks, zawsze wymyślała coś oryginalnego. Ale przeprowadził w życiu dość takich rozmów, by wiedzieć, że nie jest tak pewna siebie, jak chciałaby się wydawać.

– Nikomu nie powiemy. – Uśmiechnęła się z satysfakcją. – Ani Reubenowi, ani Connie.

– Będziesz musiała poprosić mnie o to znowu za piętnaście dni.

– Nie. – Kokieterię na jej twarzy zastąpiła stanowczość. – Jestem gotowa już teraz. Albo po weekendzie. Kiedy dzieci odjadą.

– Ale udajemy, że to Oregon, prawda? – John podniósł staromodny neseser i położył go sobie na kolanach.

Większość jego kolegów dawno temu przerzuciła się na mniej eleganckie, lecz wygodniejsze plecaki ze specjalnymi przegródkami na instrumenty medyczne. Ale neseser poprawiał mu nastrój, gładzenie dłońmi wysłużonej skóry działało uspokajająco.

– W Oregonie najpierw jest pierwsza prośba ustna, potem piętnastodniowy okres oczekiwania, po którym pacjent może złożyć drugą prośbę ustną. A na koniec jest jeszcze prośba na piśmie.

Anna pokazała Johnowi środkowy palec. Pokiwała nim z emfazą.

– Co mnie ominęło? – Reuben wszedł tyłem do pokoju. – Co się dzieje? – Stał przy łóżku, trzymając w rękach trzy szklanki. Patrzył to na Annę, to na Johna, starając się rozszyfrować dziwne vibracje, od których drgało powietrze.

– Nic, tylko twoja urocza Anna starała się mnie uwieść i znowu skłonić do złamania moich świętych ślubów – powiedział John, posyłając jej całusa.

Reuben wręczył Johnowi szklanke i udał, że stuka się z nim w toaście.

– Czy to znaczy, że wymieniamy się żonami i mogę wreszcie być z Connie, w której podkochuję się od dwudziestu lat?

TAJEMNICA

– Zostań – powiedziała Anna, kiedy John wziął swój skórzany neseser i wyszedł z sypialni.

Reuben opadł na fotel naprzeciw łóżka.

– Mam ochotę po prostu pomilczeć. Na chwilę. Uwielbiam swoje przyjaciółki, ale są...

– Wyczerpujące, irytujące, ponure – wtrącił Reuben. – Wybierz słowo, które ci najbardziej pasuje.

Oboje potrafili dopowiadać zdania zaczęte przez to drugie. Odkąd mieli po dziewiętnaście lat. Uwielbiali to. Prywatny język małżeństwa. Nawet jeśli czasem posługiwali się nim przeciwko sobie.

– Co to było z Johnem?

– Nieważne. To było na nic.

Anna się uśmiechnęła. Tym krzywym uśmiechem. Znał ową minę. I tajemniczy uśmiech. Chytry i pełen satysfakcji. Znał wszystkie jej sztuczki.

– Co?

– Ktoś mi coś powiedział. – Zacisnęła wargi. – I to coś naprawdę ekstra. Coś najlepszego na świecie.

– Co? Czego się dowiedziałas? – Kiedy zaciskała wargi w taki sposób, znaczyło to, że nie może się doczekać, żeby mu coś powiedzieć, że powstrzymuje się resztkami siły woli.

– To coś wspaniałego. Piękna niespodzianka.

– Powiedz mi przynajmniej, kogo dotyczy.

– To coś, co na razie tylko ja mogę wiedzieć, a ty dowiesz się w swoim czasie.

– Ale z ciebie wredna suka. – Prowokacją często udawało mu się wyciągnąć z niej tajemnicę. – I jako wredna suka umrzesz.

– Ma się rozumieć. A ty będziesz znał tę straszliwą i brutalną prawdę. Wszyscy inni będą twierdzić, że byłam chodzącym ideałem.

1978 – WY WSZYSTKIE, DZIEWCZYNY

– Oby to jednak nie było to – mówi Anna, nie podnosząc wzroku znad formularza przypiętego do podkładki z klipsem. Pisze energicznie i z przejęciem, jakby z przekonaniem, że ledwo się mieści w wyznaczonych ramach.

Poczekalnia nie może być już bardziej szkaradna. Pomarańczowe plastikowe krzesła z siedziskami jak kubły, musztardowożółte ściany, zielona wykładzina

dywanowa – za każdym razem fatalny wybór kolorystyczny, stwierdza Helen, a od ich połączenia aż bołą oczy. Na ścianach wiszą oprawione w metalowe ramy reprodukcje obrazów o łagodnej kolorystyce i rozproszonym świetle. Impresjonizm. Tancerka Degasa. Płótno Mary Cassatt. Bez wątpienia wszystko to ma wytworzyć uspokajający nastrój. Psychologia i historia sztuki dla początkujących w jednym. Co ciekawe, zauważa, nie ma ani jednego obrazu Cassatt z matką i dzieckiem.

– Przynajmniej będziemy we dwie. – Helen pośpiesznie zaznacza odpowiedzi „nie” przy długiej liście problemów medycznych, których wolałyby nigdy nie mieć.

– To wcale nie jest dobrze. – Anna krzywi się, jakby przyjaciółka nie rozumiała tak naprawdę, gdzie się znajdują. Jakby myślała, że to jest jak wtedy, gdy w gimnazjum wkładały takie same sukienki.

Obu spóźnia się miesiączka. Oczywiście najlepiej, jeśli żadna nie będzie miała pozytywnego wyniku. Ale druga na liście lepszych możliwości byłaby ta, że obie są w ciąży. Dzięki temu nie byłyby osamotnione w tym, z czym muszą się zmierzyć.

Oprócz nich w poczekalni nie ma pacjentek. Jest tylko posępna kobieta w okienku, która z trzaskiem odpina formularze od podkładek, kiedy Helen wsuwa je przez otwór pod szybą. Helen stara się utrzymać ciągły kontakt wzrokowy z kobietą. Ma nadzieję, że jednym spojrzeniem da tamtej do zrozumienia, że ma stałego chłopaka i stosuje antykoncepcję. I nie wstydzi się, że znalazła się w tej klinice. Tak naprawdę czuje się dorosła. Jakby na koniec trzeciego roku college’u wreszcie doszłusowała, lub prawie doszłusowała, do Anny.

*

– Wiem, że wpadłam – mówi Anna po pobraniu krwi, gdy obie znowu wiercą się na plastikowych krzesłach. – Naprawdę czuję się inaczej.

Zaczyna płakać. Siedzi skulona tak, że Helen z trudem wciska dłoń między jej podkurczone nogi, żeby wziąć ją za rękę.

– Ja też – mówi Helen. I kiedy tam tak siedzi, obawia się, że czuje się za bardzo sobą. Przyciska dłonie do piersi, sprawdzając, czy już są obolałe. Czy ból jest choćby odrobinę wyraźniejszy niż w każdym innym miesiącu. Czy jej miesiączki nie są regularnie nieregularne?

Kiwa ręką na reprodukcję obrazu Seurata, gdzie panie w turniurach przechadzają się po parku.

– Malarzowi coś się porąbało: zrobił ciężarnym brzuchy z tyłu.

*

– Wszystko w porządku, Reuben – mówi później Anna, gdy dzwoni, by go

poinformować. – To znaczy, dla mnie. Mieliśmy fart. Tylko Helen wpadła. Będzie miała zabieg w piątek. – Zniża głos, jakby dawała do zrozumienia, że brakuje jej prywatności. – Nie, zerwali. To bałwan... Oczywiście... Jasne, zawiozę ją. Muszę już kończyć. Heli jest w rozsypce... Jasne, powiem jej.

Odkłada słuchawkę i osuwa się z powrotem na łóżko Helen.

– Reuben mówi, że mu naprawdę przykro.

– Jesteś tego pewna?

– Jasne, że tak. Ty nie rozumiesz. Mamy to wszystko przemyślane. Kończymy studia, pracujemy przez rok, może dwa, potem on wraca na uczelnię, a później zakładamy rodzinę. Pierwsze dziecko w wieku dwudziestu siedmiu lat, góra dwudziestu ośmiu. To aż śmieszne, jak dużo czasu spędzamy, gadając o naszych przyszłych dzieciach. Nie zniósłabym, gdybyśmy oboje doznali takiego zawodu.

Mówi z taką pewnością siebie, wcale nie płaczliwie, i Helen słyszy w głosie Anny tę mieszaninę stanowczości i zakłamania, dzięki której przyjaciółka umie przekonać każdego właściwie do każdej rzeczy. Nawet samą siebie.

– Ale żeby mówić, że to ja wpadłam?

– Musiałam mieć jakiś pretekst, żeby dać mu do zrozumienia, że nie może przyjść.

– Daj spokój, Anno, to się robi strasznie skomplikowane. Tyle kłamstw. Nie sądzisz, że Reuben jednak powinien wiedzieć?

– Nie rozumiesz. On się nie może dowiedzieć. To by wszystko zniszczyło. Na zawsze. Dla nas obojga.

Odwraca się na drugi bok, naciąga kołdrę na głowę. Teraz płacze. To ulga, kiedy się słyszy łkanie docierające spod kołdry. Ale gdy Helen kładzie rękę na plecach Anny, ta ucieka od jej dotyku, przesuwając się na sam brzeg podwójnego łóżka. Helen żałuje, że to jednak nie ona wpadła. Żeby oszczędzić Annie cierpienia. Ale też dlatego, że to Annie wszystko zdarza się pierwszej. Choć to nieładnie, Helen sądzi, że poczułaby się dziwnie dobrze, gdyby stała się główną bohaterką dramatu. Gdyby to ona płakała tak histerycznie. Albo zachowywała stoicki spokój. Ale złożyło się inaczej i nie jest pewna, co robić. Namawiać Annę do ujawnienia prawdy? Całe to wielkie jątrzące się kłamstwo nie może być dobre. Czy w ogóle powinna zwrócić uwagę na szerszą kwestię?

Ale przy Annie najlepiej jest milczeć. Po prostu jej towarzyszyć. Niech teraz wie, że Helen jest przy niej. Anna musi sama rozplątać węzeł, który w środku zasupłała. Zawsze tak robi. Wtedy będzie gotowa do rozmowy.

Kiedy dzwoni telefon i Reuben mówi do słuchawki, jak bardzo mu przykro, ale cieszy się, że Helen ma Annę, Helen zniża głos i przybiera ton zrozpaczonej.

– Wiesz, że zrobiłabym dla niej to samo.

Tak właśnie będzie. Helen może kłamać dla Anny. Zrobi wszystko, czego

tamta będzie od niej potrzebowała.

Anna przejmuje słuchawkę, po czym siada plecami do Helen, zwieszając nogi z łóżka.

– Tak, płakałam – mówi szorstkim, prawie pogardliwym tonem. – Helen jest załamana. Czego się spodziewałeś? Obie jesteśmy... Nie. Nie. Nie możesz przyjechać. Nic nie możesz zrobić. To by tylko utrudniło wszystko. Muszę być teraz przy Helen.

Helen wie, że Reuben także zrobi dokładnie wszystko, co tamta mówi, bo kochanie Anny oznacza między innymi to, że daje się jej pociągać za sznurki.

Helen słucha, podczas gdy Anna przedstawia Reubenowi cały plan. Wizyta jest umówiona na piątek. To akurat prawda, ale potem zaczyna się konfabulacja. I to złożona. Kiedy ona to wszystko wymyśliła? Mówi nawet bez chwili wahania. Helen dowiaduje się, że po zabiegu obie wyjeżdżają do Nantucket. Żeby znaleźć pracę na lato. Podobno rozmawiały o tym od miesięcy i bardzo chcą jechać. A Ming obiecała, że podwiezie je na prom. Nie mają pracy, ale mają znajomą, która kelneruje w eleganckim hotelu Pod Białym Słoniem, gdzie pracownikom zapewnia się pokoje. Znajoma powiedziała, że mogą spać u niej na podłodze, póki gdzieś się nie zahaczą. Zresztą pewnie też będą pracowały w tym hotelu. Tam jest spora rotacja. Kiedy już sobie załatwią robotę i lokum, Reuben będzie mógł przyjechać w odwiedziny. Na weekend czy coś.

– No, przyznaj – mówi do niego Anna – ale to będzie sexy, nie? Jak będę zmieniała pościel i szorowała kabiny prysznicowe? Będzie w dechę.

– Gdzie tam, to nic takiego – uspokaja go, bo wszystko ma już obcykane.

Helen domyśla się, że Reuben zauważa, że taka podróż jeszcze tego samego dnia może być trochę niebezpieczna.

– Nie ma w tym nic groźnego. Boże, przecież to nie jest jakaś nielegalna skrobanka w piwnicy. Muszę kończyć, Helen mnie potrzebuje.

*

W piątek Helen towarzyszy Annie podczas rozmowy przed zabiegiem.

– Jestem doradcą planowania rodziny. – Kobieta mówi tak powoli, że Helen zastanawia się, czy tamta myśli, że angielski nie jest ich językiem ojczystym. Uważa, że powinno być dwoje doradców: od planowania rodziny i od jej nieplanowania.

Pani doradca przybiera łagodny, neutralny wyraz twarzy i zadaje pytania.

– Tak – odpowiada Anna mętym i nieobecny głosem.

To konieczne. Musi się poddać zabiegowi. Tak, wzięła pod uwagę inne możliwości. Tak, ma chłopaka i rozmawiała z nim o tym. Tak, stosują antykoncepcję. Tak, umie korzystać z diafragmy. Tak, wie, że trzeba za każdym razem nakładać żel.

Pani doradca pochyla się ku Annie w geście obliczonym na wyrażenie współczucia, który jednak wydaje się dziwnie groźny, bo jednocześnie kobieta opowiada po kolei, co wkrótce się będzie działo.

– Ale muszę ją mieć przy sobie – mówi Anna, łapiąc Helen za ramię.

– Pani przyjaciółce nie wolno przebywać w gabinecie zabiegowym – powtarza pani doradca. – Przykro mi – dodaje, po czym mruży oczy stanowczo, a jednocześnie pocieszająco.

Wszystko to trąci teatrem. Wielokrotnymi próbami i ćwiczeniami. A także sesjami szkoleniowymi z kobietami wcielającymi się w poszczególne role – płaczących dziewczyn wieszających się na ramionach chłopaków i matek – i kursantek uczących się, jak okazywać przyjazną stanowczość.

– Proszę – błaga Anna, podczas gdy tamta dalej opisuje procedurę próżniowego odessania zawartości jamy macicy.

– Przez cały czas będzie pani towarzyszyła pielęgniarka. Pani przyjaciółka będzie czekała tuż za drzwiami, w poczekalni. Dołączy do pani w pokoju pooperacyjnym. Musimy tylko jeszcze załatwić sprawę opłaty i już możemy się zająć przygotowaniami do zabiegu. Wiem, że się pani denerwuje.

Anna zaczyna protestować, a potem podnosi bezradnie wzrok, sięga do torebki i wyciąga książeczkę czekową.

Pani doradca stuka koniuszkiem palca w odpowiednią linijkę dokumentu, który Anna ma przed sobą.

– Płatne tylko gotówką.

– Nie mam gotówki. – Annie łamie się głos. – Mam czekać.

Kobieta milczy, tylko jej palec przesuwają się wzdłuż informacji zamieszczonej wytłuszczonym drukiem.

– W porządku, Anno – mówi Helen. – Podjadę do banku, kiedy będziesz w zabiegowym.

*

Helen dziwi się, jak znajomo wygląda świat za drzwiami kliniki. Powinien być jakiś inny. Światło powinno mieć większą dramaturgię. Albo mimo dnia mogłoby być zupełnie ciemno. Ale świat wciąż jest ten sam. A ona, Helen, prowadzi samochód zupełnie tak jak zwykle. Pojazdy nie zastygły w bezruchu z powodu tego, że jej przyjaciółka jest tam, w gabinecie zabiegowym, a pielęgniarka trzyma ją za rękę. Tutaj, na zewnątrz, klinika zdaje się nie istnieć.

Zapala się czerwone światło, potem zielone. Helen łagodnie wciska pedał gazu. Prowadzi swobodnie. Włącza kierunkowskaz. Przestrzega ograniczenia prędkości. Wszystko zgodnie z prawem. Jej dłonie obracają kierownicę w prawo i skręca w Woodward Avenue. Mija szkołę, a potem ogólnodostępne pole golfowe. Wszystko jest tu takie jak zawsze. W oddali, w bezkresie zieleni, widać białe wózki

golfowe i ludzi schylonych nad kijami. Normalny dzień na początku lipca. Gracze wbijają białe piłeczki do dołków. Jak to możliwe, że normalność trwa?

Nawet ta myśl, to małe objawienie, nie jest dla Helen niczym nowym. Zawsze ją zdumiewało, że pojawienie się czegoś wyjątkowego jest ledwie dostrzegalne. To samo zaobserwował Bruegel w *Pejzażu z upadkiem Ikara*. Potem Helen mija kościół pod wezwaniem Serca Jezusowego, dokąd jako dziewczynka chodziła z Rosie, swoją irlandzką opiekunką. Jak to było z tą Rosie? Kiedy matka szukała pomocy w parafii, proboszcz skrzywił się kwaśno i wypluł z siebie z odrazą: „Te dziewczuchy zgłaszają się do pracy i natychmiast zachodzą w ciążę”. Co się stało z Rosie? Dokąd odeszła? Czy urodziła to dziecko? Helen żałuje, że nie może zapytać matki. Wszystko to krąży jej w głowie, gdy jedzie w kierunku banku. Przez cały czas stara się również myśleć o Annie ze współczuciem, tak jakby rzeczywiście siedziała pod drzwiami gabinetu, czekając, aż wreszcie zawołają ją do pokoju pooperacyjnego. Wyobraża sobie Annę w narkozie. Elektryczny szum pompy próżniowej, którą opisała pani doradca.

Zatrzymuje wóz na miejscu parkingowym i biegnie do banku. W mig uwinie się z podjęciem tych dwustu dolców. Będzie dobrze. Wszystko będzie dobrze.

Tylko że nie jest dobrze. I całe to złudzenie normalnego dnia wali się w gruzy, gdy Helen spostrzega ojca Anny, pana Sparka, stojącego w kolejce do okienka bankowego. Trzy osoby przed nią. Nigdy wcześniej nie wpadła na pana Sparka. Naprawdę nigdy. Ani razu. Ale teraz ma go prawie przed nosem. I nie jest pewna, co powinna zrobić. Wymknąć się i zaczekać w samochodzie, aż pan Spark wyjdzie z banku?

– O, witaj, Helen. – Jego głos wznosi się wyraźnie pod koniec zdania. Ton pytania i zaskoczenia.

– Helen? Gdzie Anna? – pyta. – Nie popłynęłyście do Nantucket?

Teraz świat już nie jest zwyczajny. Zupełnie nie. Na Helen napiera nieposkromiony chaos. „Gdzie Anna?” – pytanie odbija się echem w jej ciele. Ma wrażenie, jakby trafiła jej się okazja, żeby się wygadać. „Gdzie Anna?”. Opuściłam pańską córkę. „Gdzie Anna?”. Robią jej aborcję, podczas gdy ja stoję w kolejce w banku i rozmawiam z panem. „Gdzie Anna?”. Ja nie byłam w ciąży, a ona tak, i miałam się nią zaopiekować, a zabrakło mi nawet oleju w głowie, żeby przeczytać, że potrzebujemy gotówki, nie czeku. Czy to chwila na spowiedź? Czy nie zrobiła tego razem z Rosie: weszła do drewnianego konfesjonału w Sercu Jezusowym. „Nie jestem katoliczką” – wyszeptła, kiedy ksiądz zapytał, czy zgrzeszyła.

– Anna jest z Ming. – Dziwi się, jak swobodnie wyrzuca z siebie to kłamstwo. Czuje się z tym tak dobrze, że prawie odnosi wrażenie, jakby wcale nie skłamała. – Musiałam spieniężyć czek, żeby mieć gotówkę na podróż.

– Ech, wy, dziewczyny, zawsze robicie wszystko na ostatnią chwilę. – Pan

Spark kręci głową. – A myślałem, że akurat ty, Helen, jesteś tą najrozsądniejszą. Jezu, tylko nie spóźnij się na prom.

I...

To Mikey – dzięki Bogu, nareszcie. Młodszy brat Anny zadzwonił na telefon stacjonarny.

– Och, Michael. – Helen poszła z aparatem do łazienki i oparła się plecami o zamknięte drewniane drzwi. – To ja, Helen. Potrzebuję cię tutaj. Wszyscy opili się szaleju spod znaku opieki paliatywnej. Ale ty jesteś normalny. Tobie nie może się sprzeciwić. Tobie i Bobby’emu.

Powiedziała to wszystko jednym tchem. Sam fakt, że Michael zadzwonił, dał jej nadzieję.

– Ona nie ustąpi, Helen.

– Wcześniej nakłoniliśmy ją do zmiany zdania. – Helen czekała. Jej oddech był taki głośny w zestawieniu z milczeniem Michaela.

Przedłużającym się milczeniem.

– Michael – naciskała dalej. – Wcześniej nam się udało. Naprawdę, ostatnim razem dzięki Bobby’emu i tobie. Ona robi dla was wszystko.

– Przestań, Helen. – Jego głos zabrzmiał ostro, prawie jak krzyk.

Ale gdy ustąpiła – „Przepraszam” – zapadła jeszcze cięższa i bardziej przygnębiająca cisza, zanim Michael wreszcie się odezwał, a i wtedy każde słowo brzmiało, jakby ciągnął się za nim odważnik.

– Próbowałem. Postawiłem wszystko na jedną kartę. Powiedziałem Annie, że jestem w trakcie przygotowań do Maratonu Bostońskiego. Że mam mnóstwo różnych obowiązków. Że godzę pracę, treningi i życie rodzinne. Ale odsunę wszystko na dalszy plan, jeśli ona tylko da sobie jeszcze jedną szansę. Tłumaczyłem, że te leki wciąż działają. Że są też nowe.

– I?

– Ale jeśli się nie zgodzi, to mówię *finito*. Mam dość. Powiedziałem jej, że nie wrócę.

– I? – Helen krzątała się po ciasnej łazience.

Złożyła każdy ręcznik kąpielowy na trzy i powiesiła z powrotem na drążku. Poprawiła szczoteczki do zębów tak, żeby każda była osadzona prosto w swoim otworze. Nie pozostało jej już nic do zrobienia.

– Oparła, że ona też nie. Nie wróci. Może oboje mamy już dość i oboje musimy wybrać to, co uznajemy za słuszne. Powiedziała, że możemy się pożegnać już teraz.

– I?

– Przyjeżdżam w ten weekend, Helen. Przywiozę dzieciaki. Będę trenował na piaszczystych drogach między Leverett i Montague.

– I? – Helen oparła się o umywalkę. Skrzywiony grymas, który zobaczyła na twarzy w lustrze, nie budził respektu. Spróbowała ściągnąć brwi, żeby było groźniej.

– Ostatecznie to jej życie. Nie musi mi się to podobać. Ale poddaję się. A przynajmniej się staram.

– Poddajesz się? Anna może sobie wybrać, ot tak? A co z nami?

– Sama mi powiedz, Helen. Co z nami?

– Nie wiem, Mikey. To właściwie dlaczego zadzwoniłeś?

GRANICA SIĘ PRZESUNĘŁA

Można zapomnieć o remisji. Nowy model zakładał przewlekłość. Lekarz oświadczył: „Jeśli chodzi o te badania, jesteśmy w absolutnej czołówce”. Powiedział: „Kiedy znowu pani się pogorszy, ten nowy lek będzie już przebadany w tę i z powrotem. Zawsze jest paleta nowych możliwości. Tyle jeszcze rozwiązań możemy wykorzystać. To leki najwyższej klasy. Badania kliniczne to dopiero początek”. Tłumaczył: „Granica się przesunęła. Wszystko idzie szybko do przodu. Z prędkością naddźwiękową”.

1969 – CZŁONKOWIE HONOROWI

Rodzice Anny pozwolili dziewczynom przekształcić poddasze w siedzibę klubu. Helen maluje kwiaty jaskrawym pomarańczem, ostrym różem i soczystą zielenią à la Peter Max. Każda z pięciu dziewczyn pozuje po kolei, aż wszystkie mają uwiecznione na ścianie swoje sylwetki, które wystarczy wypełnić barwnymi esami-floresami i pacyfkami. W malowanych pierzastych obłokach unoszą się cytaty z *The Giving Tree* i Beatlesów. Kiedy bracia Anny, Bobby i Mikey, wchodzą, tupiąc nogami, po wąskich schodkach, dziewczyny nie mają serca krzyknąć: „Wynocha!”. Chłopcy przywierają plecami do niezamalowanego fragmentu ściany. „Namaluj nas”. Kto mógłby się oprzeć urokowi czekoladowobrazowych oczu Mikeya? Albo błagalnym prośbom Bobby’ego: „Mnie też, mnie też”.

– Będziecie członkami naszego dziewczynskiego klubu. Ale tylko honorowymi – oświadcza Anna po tym, jak odbyły swoje pierwsze klubowe głosowanie.

W DOMU

Był tylko ten dom. Wszystko, co znajdowało się poza werandą lub w najlepszym razie za podjazdem, zniknęło. Jak coś na wpół zapomnianego. Jak „był sobie raz”. Zniknął nowy papież. Zniknęła druga kadencja prezydenta. Zniknął bozon Higgsa. Nawet karambol sześciu aut na szosie, dwadzieścia mil na południe, w Springfield. „Och, to straszne”, powiedziałyby, gdyby przyszło im do

głowy obejrzeć wiadomości w telewizji. Ale nie było wiadomości. Świat runął i zapadł się w niebyt. Poranne informacje, tytuły dnia zniknęły. Cały wielki świat zniknął. Nawet ich życie w domu zredukowało się do kilku migawek. Była tylko Anna.

LEVERETT, DRZEWKO OWOCOWE

Connie stała po łydki w rozkopanej ziemi po swojej stronie podwórza. To była robota dla dwóch osób. Chyba upadła na głowę, że zabrała się do sadzenia w pojedynkę. Ale John był w szpitalu, a potem miał zajrzeć do Anny. Prosił Connie, żeby zaczekała z tym drzewkiem; zajmą się nim w weekend. Powiedział, że jeśli wolałaby nie trzymać nagich korzeni w wiadrze, może wykopać płytki dołek i umieścić w nim drzewko tymczasowo. Zresztą, przypomniał jej, na dzisiejszy wieczór prognozują deszcz, lodowaty deszcz.

Ale uparła się, że zasadzi drzewko dzisiaj. Musiała. Miała dość czasu. Wczoraj wieczorem zadzwoniła Helen, która praktycznie zakazała jej wstępu do Anny. „Przyjeżdżamy na noc – powiedziała. – Chciałybyśmy pobyc z nią same. Tylko Stare Znajome”.

Więc Connie miała czasu pod dostatkiem. Pał diabli płytki dołek i tymczasowe pozostawienie w nim gruszy. Nie zamierzała ryzykować, że drzewko uschnie. Potrzebowała tej drugiej gruszy do zapyłania krzyżowego, aby oba drzewka zaczęły owocować. Zamierzała posadzić to drzewko porządnie w ziemi. I to była największa trudność. Wcale nie wykopanie tego dużego dołu. Tylko wsadzenie drzewka prosto i zasypanie korzeni ziemią tak, by w tym czasie pień się nie przechylił.

Wokół dołka wznosiły się imponujące kopce darni. Connie nie czuła palców. Dała sobie spokój z rękawicami ogrodniczymi, były do niczego. Należały do Johna i ciągle zsuwały jej się z dłoni. Bez względu na odciski musiała dobrze chwycić rączkę szpadla. Dołek powinien być jeszcze dwa razy głębszy. Co najmniej. Należało go także poszerzyć ze dwa razy, żeby korzenie się zmieściły. Zresztą drzewko potrzebowało jeszcze więcej przestrzeni, żeby się dobrze ukorzeniło.

Dobra strona była taka, że kopanie pozwalało nie myśleć. Ograniczyło te jej niewydarzone, paskudne myśli. Connie czuła się jak galernik powtarzający ciągle te same frazy w rytm ruchów łopaty. Była maksymalnie wkurzona. A ów stan ducha nie należał do tych, do których przywykła. Po prostu nie zaliczał się do jej arsenału emocjonalnego; dokuczliwość, poczucie winy, niepewność – tego wszystkiego miała pod dostatkiem.

Connie sama zaplanowała teren wokół ich domu i obsadziła – lilie, dereń, treliaz z różami, klomb z bylinami i zielnik, a także skalny ogródek do medytacji, z wijącymi się ścieżkami wyłożonymi kamieniem. Te wszystkie miejsca ledwo dawały sobie radę z owym triem negatywnych emocji. Ale dzisiaj rano obudziła się

rozedrgana. Z początku myślała nawet, że ma gorączkę, póki sobie nie uświadomiła, że po prostu telepie ją ze złości.

Wbiła łopatę w ziemię. Kurwa. Sypnęła ziemią na kopiec. Kurwa. Znowu wbiła łopatę. Connie nigdy nie przeklinała. Podważyła i wyciągnęła kamień. Wyrzuciła go. Kurwa. Kurwa. Kurwa. Connie klęła bez przerwy. Do kopania nadawało się to świetnie, na pewno. Anna zawsze klęła jak szewc. Wygadywała takie rzeczy, że uszy więdły. Choć w pierwszych latach znajomości Connie to szokowało, później zaczęła cenić u Anny tę cechę. Teraz wyobrażała sobie uśmiezek satysfakcji na twarzy sąsiadki: Wiedziałam, że sprowadzę cię na złą drogę. Ale jak by się Annie podobało, gdyby wiedziała, że Connie rozkopuje ziemię w rytm słów: „jebać Stare Znajome, jebać Stare Znajome”? Rany, jak ona nienawidziła tej zadufanej nazwy. I tej zadufanej nuty w głosie Helen wczoraj wieczorem: „Connie, możesz powiedzieć też reszcie? Stare Znajome przyjeżdżają. Chciałybyśmy spędzić trochę czasu z Anną”. A potem, jakby tamtego było mało, dorzuciła jeszcze pogardliwie: „Mam nadzieję, Connie, że wiesz, że naprawdę doceniamy wszystko, co robiły i robią nowe znajome”.

– Jasne, Helen – odpowiedziała. – Annie będzie miło, że się z wami zobaczy.

Teraz, gdy tak stała po kolana w dołku, Connie nie brakowało innych ripost. Od gniewnego rzucenia słuchawką – „Pierdol się, Helen” – po chłodne i wyniosłe: „Właściwie, Helen, sprawa wygląda tak. Cokolwiek byście chciały i doceniały, nie ma żadnego znaczenia. Anna nie jest zainteresowana spędzaniem czasu na osobności z nikim, nawet z własnymi dziećmi czy braćmi. Więc daruj sobie to zadzieranie nosa i złudzenia, że jak zjedzicie się tutaj wszystkie, to poprawi jej się humor”.

Ostrze łopaty uderzyło o coś twardego, poczuła w ramieniu drganie metalu. Dotarło nawet do karku. Pochyliła się i podważyła nieduży głaz. Wykopała go. Wbiła łopatę i znowu natrafiła na kamień. Uprawiając ogród w tej dolinie, człowiek naprawdę nabierał szacunku dla dawnych farmerów i ich kamiennych murków.

Może powinna była powiedzieć po prostu: Ta nowa znajomość to dwadzieścia lat, Helen. Dwadzieścia lat wspólnego wożenia dzieci na treningi piłki nożnej i jazdę konną, wspólnych porannych spacerów w środy i piątki i odwiedzania się nawzajem za każdym razem, gdy jedna z nich akurat miała dość dzieci czy męża lub po prostu chciała się pochwalić nowymi zamszowymi kozakami, na które się splukała. A potem, gdy dzieci wyjechały na studia, wybierałyśmy się na wspólne kolacje w środku tygodnia – po pierwsze dlatego, że miałyśmy więcej wolnego czasu i nie musiałyśmy gotować, a po drugie – smutno nam było, że nie ma dzieci, którym mogłybyśmy gotować. No i jeszcze te cotygodniowe wyjazdy do Springfield, na kolejne dawki chemii, czy też siedzenie na krześle obok, gdy Anna leżała w tunelu podczas rezonansu magnetycznego.

I mnóstwo wszelkich innych codziennych spraw, które Anna i ja dzieliłyśmy przez ostatnich dwadzieścia lat naszej nowej, kurwa, znajomości.

Niebo chyliło się nisko, całe sine. Pogoda pogarszała się szybciej, niż można się było spodziewać. Ręce nie dość, że zgrabiwały, to jeszcze paliły z bólu. Connie czuła w powietrzu zapach zbliżającej się burzy. Na wpół wykopany dół pełen deszczówki będzie na nic. Po prostu super. Więc pierdolić i Johna za to, że miał rację. I za to, co powiedział dziś rano przy śniadaniu z płatków owsianych, rodzyneków i orzechów. Podniósł na nią wzrok i stwierdził: „To grusza. A nie twoja ukochana Anna. Nic już nie możesz naprawić”.

Connie wiedziała za dużo. Zawsze. Była przyjaciółką Anny, a jednocześnie żoną jej lekarza. Anna nie była dobrą pacjentką. Nie przychodziła na wizyty, miała w nosie badania kontrolne, lekceważyła miesiące kwarantanny po przeszczepie komórek macierzystych. Pal diabli zakażenia, Connie zdawała sobie sprawę, że Anna nie może znieść widoku przyjaciół w maseczkach chirurgicznych. Ta podwójna lojalność stawiała Connie w trudnej pozycji. Wiedziała, że nawet z wysoką gorączką Anna gra po dwa koncerty dziennie. Że wróciła do nauczania, chociaż lekarze stanowczo orzekli, że jej układ odpornościowy jest w kompletnej rozsypce. Connie zmusiła Johna, żeby wpadał do Anny i udawał, że tylko chce pograć w scrabble. Kiedy inni znajomi pytali, jak chora się czuje, Connie musiała przesiewać informacje przeznaczone dla dwóch przeciwnych obozów.

Rzuciła łopatę na ziemię i otarła pot z twarzy. Poczowała, że brud z rąk przykleił jej się do skóry. Na wargach miała warstewkę piasku.

„Popraw się – to jeszcze jedna rzecz, którą powiedziała Helen. – Connie, obawiam się, że wszystkie zbyt łatwo zaakceptowałyście decyzję o opiece paliatywnej. Anna potrzebuje oporu”.

Łatwo zaakceptowały? Może to właśnie najbardziej wkurzyło Connie. Jakby Helen miała jakiegokolwiek pojęcie o tym, co Connie odczuwa czy akceptuje.

Przykucnęła, próbując zmieścić się w dołku.

– Kurwa! – krzyknęła na głos.

Kiedy wzięła wdech, do nosa dostała jej się ziemia. Zamknęła oczy i znowu krzyknęła. Usłyszała trzaśnięcie zamykanych drzwiczek samochodowych, szelest deptanych liści. Pewnie John między wizytami u pacjentów przyjechał do domu, żeby jej pomóc. Nie chciała jego pomocy. Zmrużyła oczy, dostrzegłszy pękatą sylwetkę kobiety w puchowej parce. Mimo padającego z tyłu światła rozpoznała Laylę.

– Co jest grane? – Przybyła starała się nie okazać zdziwienia na widok umazanej błotem przyjaciółki. Bogu niech będą dzięki za Laylę.

– Pracuję w ogródku. – Connie wstała. Zrobiła najpierw jeden duży krok, potem drugi i wygramoliła się z dołka.

– Potrzebujesz pomocy?

Connie przemaszerowała obok Layli i oparła łopatę o drzwi szopy. Z tylnej kieszeni wyciągnęła rękawice Johna i otrzepywała się nimi tak długo, aż pozbyła się całego brudu. Powiesiła je na trzonku łopaty, przy ścianie. Zabrała wiadro z gruszą i wsunęła je do szopy.

– Pomóc ci?

– Muszę się umyć. A potem przyda mi się twoja pomoc. Wpadniemy do Anny. Zrobiłam jej pudding ryżowy. Chcę się z nią dzisiaj zobaczyć i nie obchodzi mnie, czy ktoś przyjechał w odwiedziny i chciałby pobyć z nią sam, podczas gdy Annę głównie już obchodzi spędzanie czasu z którąkolwiek z nas na osobności.

NOWE ZNAJOME

Patrzyły, jak na podjazd wjeżdża samochód. Co, do cholery? Po chwili pojawił się drugi. Dwadzieścia cztery godziny tylko z Anną – to wszystko, o co Helen poprosiła. I za każdym razem mówiła przez telefon, jak bardzo docenia Connie oraz wszystkie nowe znajome Anny.

– Właśnie tak nazwałaś je na głos, nowymi znajomymi? – Caroline skrzywiła się z niesmakiem. Czy Helen rzeczywiście użyła tego określenia? Caroline znowu była sobą: zawsze lubiła osądzać innych.

– Nie wiem. Pewnie tak. – Wycofawszy się od okna, żeby ich nie widziano, Molly, Caroline, Ming i Helen patrzyły, jak z dżipa zaparkowanego przy altance z pojemnikami na śmieci wysiada Marsha. Z drugiego auta wyłoniły się Layla i Connie.

– Nowe w porównaniu z nami – zauważyła Ming. – To fakt. Helen nie ponosi za to winy.

Przyglądały się, jak kobiety wyciągają z samochodów miski i torby. Potem zebraly się przy wozie Layli, rozmawiając z przejęciem.

– Powiem, żeby sobie poszły. – Helen wiedziała jednak, że niczego takiego nie powie. Caroline miała rację, znajome z Doliny wcale nie były nowe. Odgrywały ważną rolę w życiu codziennym Anny od dwudziestu lat. Co więcej, to one stanowiły pierwszą linię frontu. Cóż za okropne określenie: „pierwsza linia frontu”. Całe to porównanie choroby do bitwy było takie żalosne i oklepane. Gorzej, przypominało maść przeciwko kleszczom, którą smaruje się psu kark. Zwał jak chciał, w każdym razie wcześniej Helen zauważyła na ścianie w kuchni rozpiskę. W rubrykach były wpisane Layla, Connie, Marsha, A.G., Pamela. I inne znajome, których Helen w ogóle nie kojarzyła, a które umówiły się, by na zmianę nocować u Anny w dni powszednie, kiedy jej dzieci i bracia wracali do swoich rodzin i obowiązków zawodowych. Te kobiety były tu codziennie.

Ona, Helen, miała tu zostać na dwadzieścia cztery godziny. Potem pojedzie do domu, do Asy i życia, które razem rozpoczynali.

Otworzyła kuchenne drzwi i pomachała do przybyłych.

– Anna nie śpi i ma ochotę na zabawę. – A potem zawołała: – Robimy imprezę! Chodźcie do nas!

Caroline stanęła w drzwiach obok Helen.

– Kiepski z ciebie cerber, tygrysico.

MIEJSCOWA

– Hej, ślicznotko. – Layla nawinęła na palec pukiel ciemnych włosów Anny.

– Widzę, że odwiedziny twoich dziewczyn poprawiły ci humor.

– Rzeczywiście, czuję się całkiem nieźle. – Anna przeprasząco zmrużyła oczy.

DOLINA

Reuben i Anna mieszkali w Dolinie od prawie dwudziestu lat. Dolina Pionierów to pas ziem uprawnych w Massachusetts wyznaczony przez bieg rzeki Connecticut, z podłużnymi suszarniami tytoniu na terenach zalewowych, które na obrzeżach wznosiły się gwałtownie, tworząc zalesione zbocza z jarami, skalistymi graniami bazaltu i rud żelaza, wijącymi się wąskimi drogami wśród drzew, prowadzącymi do miasteczek na pagórkach, gdzie odbywały się wiejskie jarmarki, a w sklepach sprzedawano wyroby rzemieślnicze. Szkoły były tu znakomite. Podobnie jak piątkowe przyjęcia składkowe z muzyką. Dzieci łapały żaby. Każdy należał do jakiejś spółdzielni, każdy zbierał jakieś płody ziemi. Reuben przez cały rok uprawiał warzywa na podniesionych grządkach, a także jarmuż w tunelach. Annę zaproszono do zespołu grającego covery. Śpiewała w miejscowych pubach razem z inną kobietą o imieniu Anna. Na zderzaku każdego samochodu widniała jakaś naklejka. Każdy był „anty” w jakiejś ważnej sprawie.

– Znaleźliśmy miejsce do życia w sam raz dla nas – oświadczyła Anna Helen po pierwszym pełnym roku spędzonym w Dolinie.

– Czy ta okolica nie jest trochę zbyt zarozumiała w swojej alternatywności?

– spytała tamta, ale gdy Anna odparła: „I kto to mówi? Miss Mainstreamu”, Helen od razu przyznała, że po prostu jest zazdrosna. Każda kobieta, którą Anna poznawała, sprawiała wrażenie tak niesamowicie fajnej, że zakrawało to na absurd. Każda młoda mama w Dolinie była czy to tkaczką, czy zielarką, czy pisarką książek dla dzieci.

– Codziennie wybierasz się na codzienną marszrutę z inną koleżanką. – Helen sama nie wierzyła, że ma takie fochy. – Czuję się zepchnięta na dalszy plan.

– Ale szpanuję przed nimi, chwając się tobą – odpowiedziała Anna. – Nie każda kobieta może się pochwalić przyjaciółką, której prace znajdują się we wszystkich najważniejszych muzeach świata.

STARE I NOWE

Proszę, proszę, w pokoju już prawie była impreza! A teraz jest na pewno, myśli Anna. Wsparte o poręczce foteli i sof kobiety, zbite w grupki, iskierki rozmów. Ming i Layla, Molly i Connie, *dos à dos* jej przyjaciółek. Nie tylko jej najdroższe Layla i Connie. Są też Marsha, Pamela i A.G. A także Betsy, która razem z Anną założyła ośrodek matematyczny w gimnazjum. Wpadła z laurką wykonaną przez nauczycielkę plastyki i podpisaną przez wszystkich nauczycieli w szkole. A tu jeszcze szara koperta wypełniona laurkami wykonanymi przez uczniów. Jeanie, nauczycielka wiedzy o społeczeństwie w ósmych klasach, klęka przed Anną.

– To starożytne chińskie lekarstwo – mówi, podając jej różową orchideę w doniczce.

Anna patrzy, jak Helen przesuwa malowane krzesła z jadalni, Connie i Caroline rozdają miseczki puddingu ryżowego. Przybyłe rozkładają dodatkowe składane krzeselka przechowywane w szafie w przedpokoju. Każda z kobiet twierdzi, że wpadła tylko na chwilę. A.G. usadowiła się na kanapie i koniuszkami palców opukuje Annie skroń.

Czy z ust A.G. rzeczywiście słyhać jakąś plemienną inkantację?

A potem Susie, sąsiadka z pagórka, wchodzi z talerzem ciepłych ciasteczek maślanych.

– Wspomniałam o tobie w moim kółku kościelnym. – Susie pochyła się i kładzie dłoń na czole Anny. – W cichej wspólnej modlitwie tkwi wielka siła.

Podczas huśtawki od choroby do zdrowia i znowu do choroby Anna ze spokojem zносиła modlitwy i inkantacje, i wszelkie inne zabobony, które zdaniem przyjaciółek z Doliny miały ją uzdrowić. Nie chciała ranić niczyich uczuć, ale nigdy w żadne z tych działań nie wierzyła. Ani w okadzanie świętym dymem, ani w mantry. Ani w medytacje. Ani w kręgi modlitewne. Ale wierzyła w swoje przyjaciółki. Doceniała wsparcie A.G., nawet gdy łączyło się ze śpiewaniem rytualnych pieśni, których nie miała ochoty śpiewać. Wiedziała też, że czuje się lepiej dzięki godzinom spędzonym na werandzie z najbliższymi przyjaciółkami, Connie i Laylą. Zawsze miały tyle tematów do rozmów. W środy i piątki chodziła na szybkie marsze z Connie, we wtorki maszerowała z Laylą. Powszechnie wiadano, że Anna nie odbiera telefonów, więc kobiety w Dolinie po prostu do niej wpadały. Kiedy nie mogła chodzić, zjawiały się przed jej drzwiami w butach sportowych. W salonie Anny powstało Kółko Rękodziela i Degustacji Wina. Przyjaciółki plotkowały, piły i robiły szkatułki oklejane muszelkami. Śmiech z przepony – jego prozdrowotne działanie było udokumentowane w medycynie. Czasami śpiewały. Ileż to popołudni, opatulona w koc, z dwiema poduszkami chroniącymi jej wystające kości, zamykała oczy i słuchała krzepiących głosów przyjaciółek?

Miała je wszystkie w swojej kolekcji. Jak wszystkie te piękne przedmioty

w swoim salonie. Przyjaciółki i piękno – Anna niczego więcej nie pragnęła. Może więcej przyjaźni. Więcej rozmów. Czasami było jej tego mało. Ale teraz, słysząc szum rozmów, gdy wszystkie kobiety próbują się do niej zbliżyć, wszystkie tak bardzo się starają i posyłają jej te przeciągłe znaczące spojrzenia, Anna nie potrzebuje już niczego. Nie potrzebuje ukochanych przyjaciółek, salonu ze sklepieniem jak w katedrze i grubymi drewnianymi belkami. Ani nawet tego pięknego zabytkowego żyrandola, który znalazła w sklepie, gdzie sprzedawano głównie koronkowe sukienki. „Nie jest na sprzedaż – oświadczył właściciel sklepu. – Musiałaby sobie pani uciąć za niego rękę i nogę”. Anna przyniosła żyrandol do domu i powiedziała Reubenowi, że kosztował mniej niż w rzeczywistości. „Daj spokój, Reuben, dzięki temu jest taki piękny”, zawstydziła go, gdy zapytał, jak zamierza wyczyścić zmętniałe i porysowane kryształy.

Żyrandol, przyjaciółki – teraz tak mało ich potrzebuje. Na co jej się zdała cała ta miłość? A ta misa rozgwiazd z Point Reyes – Anna i Reuben zebrali ich na plaży setki, wrzucając je do czapki bejsbolówki. Przenosiła te rozgwiazdy z domu do domu, starannie opakowane, żeby nie ułamało się żadne ramię. Teraz nie potrafi pojąć, czemu nie zostawili ich na piasku.

Widzi, jak wszystkie się starają, żeby było pogodnie i radośnie. Złote z nich dziewczyny, ale dostrzega strach na twarzach ich wszystkich. Jednak sama się nie boi. Wreszcie uwolniła się z zakłętego kręgu lęku. Teraz przestanie przyjmować pokarm. Kiedy została sam na sam z pielęgniarką, poprosiła ją o pomoc w przyspieszeniu śmierci. „Nie mogę – odpowiedziała tamta. – To wbrew prawu. Ale może pani przestać jeść. To przyspieszy sprawę. Tego nikt nie może pani zabronić”. Tak, przestanie jeść. A teraz zrobiła się tu impreza. Niech tak będzie do końca, nie zepsuje zabawy. Wie, że po dzisiejszym wieczorze już nie da rady zejść do salonu.

PIES

Ming stanęła w drzwiach.

– Jesteś na dworze, Zeus?

INNY ŚWIAT

Eksplozja samochodu pułapki, która wstrząsnęła Mogadiszu. Pomoc publiczna. Kryzys na rynku. Wymiana oskarżeń między rządem syryjskim a rebeliantami. Prezydent zabrał głos. Funkcjonariusze publiczni podejmują pośpieszne działania. Ranni. Zabici. Osunięcie się góry. W sobotę przed południem pięćdziesiąt mil na południe od Seattle na śpiące rodziny zeszła lawina błota. Wybuch przemocy w Mjanmie. Uchodźcy zaatakowani w obozie w Pakistanie.

Wiadomości, jedyne wiadomości, to czy Anna coś zjadła, czy mówiła, co powiedziała pielęgniarka z hospicjum.

W MARCU TEGO ROKU, SKORO JUŻ O TYM MOWA

Zmarł prezydent Wenezueli Hugo Chávez. Uchylono wyrok uniewinniający Amandę Knox. Mamala Yousafzai wróciła do szkoły. Kłusownicy zabili w Czadzie osiemdziesiąt sześć słoń. W strzelaninie w bazie marynarki wojennej w Wirginii śmierć poniosły trzy osoby.

PIĄTKOWE ZEBRANIE KÓŁKA RĘKODZIEŁA I DEGUSTACJI WINA

W ostatni piątek, kiedy się zebrały, Marsha spytała Annę, jak najlepiej mogą się przydać. Connie robiła na drutach drugi rękaw swetra, który Anna zaczęła w styczniu. Anna leżała na kanapie w jednym ze śpiworów z czasów skautowskich któregoś z dzieci. Nie spała, ale oczy miała zamknięte. Nadeszła pora, stwierdziła, żeby zabrały pudełko z koralikami, papier do kolaży i wszystkie pozostałe narzędzia i materiały do rękodzieła.

– Nie będę już robić nowych rzeczy.

– Nie o to mi chodziło – odparła Marsha.

Layla posłała jej gniewne spojrzenie w stylu: „Chyba żartujesz”.

– Przepraszam. Ale sama zapytałaś – powiedziała Anna. – Zabierzcie to wszystko, jak będziecie wychodzić.

– Ale to takie trudne – odrzekła Marsha.

SPOKOJNIE

– Jak tam? W porządku? – Caroline stanęła za Reubenem. Nie mogła się powstrzymać. Uaktywniły się neurony opiekuńczości w jej mózgu.

– Nie wiesz jeszcze, że to zupełnie bezsensowne pytanie? – Reuben siedział po turecku na stołku przy kuchennym blacie, mając przed sobą stos kopert i otwartą księgę wydatków.

– Ta A.G. zdaje się znowu mamrocze jakieś zaklęcia. – Caroline zarzuciła mu rękę na ramiona, a Reuben odchylił się i wtulił w nią plecami, lecz nadal pracował jak w amoku, z uporem maniaka odwalając papierkową robotę tak, że wręcz się zasapał.

– Weź mnie nie denerwuj – powiedział.

Chętnie by go zirytowała, wydobyła z niego ten groźny gardłowy pomruk.

– A, słuchaj, ta sąsiadka, Susie, ogłosiła, że zwołała swoją grupę modlitewną i pracują dniem i nocą, żeby dusza Anny trafiła do nieba. Więc nie wyobrażaj sobie, że tylko ty zajmujesz się poważnymi sprawami, twardzielu.

TEMPO

Każdy uścisk, każde zatroskane spojrzenie. To, że Caroline zarzuciła mu rękę na ramiona i potraktowała go jak wielkiego nieporadnego smutasa. Czuł się

żałośnie. Żalosny nieporadny smutas. I do tego jęczydupa. Z durną listą spraw do załatwienia.

Reuben chciał, żeby to się już skończyło. Nie, żeby Anna umarła, rany, nie był przecież kompletnym dupkiem. Ale chciał, żeby skończyło się to jej umieranie. Pragnął odzyskać swoje życie. Czy to takie okropne z jego strony? Nawet dzisiaj rano, kiedy znalazł czas, żeby wyrwać się na rower, przez większość siedemdziesięciokilometrowej trasy jechał żwirowym poboczem, myśląc o tym, do czego musi wrócić i co jeszcze trzeba zrobić. Utrzymał szybkie tempo na forsownym odcinku pod górę Hilman Road i pedałowal zapamiętałe. Na wzgórze. Pod wiatr. Metalowe ostrze mroźnego powietrza cięło mu gardło. Mięśnie czworogłowe pracowały z impetem. Każdy mięsień w nogach drgał. Trening interwałowy. Reuben chciał przeć do przodu. Pragnął się zatracić w czysto fizycznym wysiłku. Lazurowy błękit nieba, głązy narzutowe porozrzucane po lesie. Ale nie był w stanie wydostać się ze swojej tępej głowy. Mocniej nacisnął na pedały. Podkreślił tempo. Raźniejsza kadencja. Staral się odnaleźć tę strefę, strefę czysto fizycznego rauszu. Uwielbiał ów stan. Uwielbiał kolarstwo, połączoną moc pedału i stopy. Uwielbiał heliskiing. Czuł się wspaniale, kiedy wiele lat temu zaskoczył Annę skokiem spadochronowym. Po powrocie na ziemię, po pierwszych statycznych skokach zarzuciła mu ramiona na szyję. „Znalazłam swoją drugą połówkę”.

Niech to, bycie z Anną to dopiero był rausz.

Albo huragan gówna.

Anna też chciała, żeby już było po wszystkim. Co rusz prosiła o coś, co by przyspieszyło koniec. Ten rozrusznik. To, co powiedziała ta pielęgniarka z hospicjum, Kate, o odmawianiu jedzenia. Czasami zdawało się, że tylko on i Anna nie mają bielma na oczach. Wszyscy inni chodzili po domu na paluszkach, oprócz Ming, która wybuchała płaczem i wybiegała z pokoju. Helen była w furii, na krawędzi hysterii. Przyjaciółki z dzieciństwa okazały się kiepskie. W ostatni weekend przyjechali bracia Anny, rozemocjonowani jakimś nowym leczeniem eksperymentalnym. Cały weekend zajęło im zrozumienie, że jej nie przekonają. Wzburzenie dzieci było trudne do przyjęcia, ale Reuben umiał im odpuścić.

Tylko on i Anna rozumieli w pełni to, co reszta dostrzegała tylko częściowo. Oni przeżyli to wszystko. Pierwszy rzut choroby. Ataki gorączki o trzeciej nad ranem i karetkę, która utknęła w zaspie śniegowej. Zatrzymanie akcji serca. Potem powolny powrót do zdrowia. A później szaleńczą radość Anny, że żyje. Gorączkowe próby nadrobienia straconych miesięcy, zarywane noce. Podróże po całym stanie, żeby zagrać jak najwięcej koncertów, a potem wstawanie wcześniej rano, żeby uczyć matematyki. Była samolubna i zachłanna. Na wszystko. Kto by ją za to winił? Ale on, owszem. Dla niego nie miała nic. Odepchnęła go. Potem przyszedł nawrót choroby i znowu go potrzebowała. Jeśli już przedtem było z nimi

krucho, to choroba całkiem ich rozbiła. Przez nią zejście się ponowne lub dalsze się rozejście okazały się równie niemożliwe. Dziś to widział.

Ale teraz, o dziwo, pozostali tylko Anna i on. Wszystkich by zaskoczyło, gdyby po odjeździe przyjaciółek, po tym, jak zrozpaczeni bracia wyjdą z ciężkim sercem, Anna poprosiła, żeby został. Mogła powiedzieć mu wszystko, mogła być dla niego paskudna, Reuben się nie obruszał. Bez względu na to, jak drastycznie by się zachowała. Anna właśnie na to w nim liczyła.

Przy wszystkich tak bardzo się starała. Ale nie przy nim. Przy Reubenie się nie starała. Zresztą wcześniej też nie robiła tego – między innymi na tym polegał problem. Ale teraz to był jego dar dla niej.

Jutro, kiedy cała reszta odjedzie, usiądzie w fotelu przy jej łóżku i będą to milczeć, to plotkować. I znów milczeć.

– Co to było z Helen? – spyta Reuben.

– Widziałam, że zauważyłeś.

– I co mam zrobić, żeby Ming przestała płakać?

– Opuść jej, Reuben. Niech dalej gotuje zupę.

– Tak, ale...

– Dosyć – utnie Anna. – Czemu nigdy nie jest dla ciebie dość dobrze?

Przyśnie. Potem się zdrygnie. „Nie, nie”. Zacznie machać ramionami i się wyginać, żeby odepchnąć coś strasznego.

– Anno, w porządku.

– Och, jesteś tu? Zostałeś. Jeszcze się z tym nie uporaliśmy?

Powie jej, że niedługo będzie po wszystkim. Nie jest pewien, kiedy dokładnie. Ale wkrótce. Ze względu na ich oboje miał nadzieję, że się nie myli.

1982 – DOLINA

Pewnego razu, dawno, dawno temu, jeszcze przed Anną i Reubenem, Helen też mieszkała w Dolinie. Tuż po ukończeniu college'u trafiła do pełnego przeciągów wiejskiego domu z czterema współlokatorami. Czynsz wynosił tylko sześćdziesiąt pięć dolarów miesięcznie. Pracownia malarska w pobliżu to inna historia, z przypadkiem w roli głównej. Dość powiedzieć, że życie na wygwizdowie było bajecznie tanie.

W lutym Molly zadzwoniła z płaczem, że dziewczyna, z którą była w związku przez dwa lata, wyjechała do Chicago z jakimś głupim facetem z działu finansowego. Tymczasem w domu Helen nieoczekiwanie zwolnił się pokój. Nie zaczęli nawet rozmów z potencjalnymi współlokatorami. W następnym tygodniu Molly przyjechała tu z Waszyngtonu.

Przemieszkwały zimę z płachtami folii w oknach i termostatem ustawionym na temperaturę tylko na tyle wysoką, żeby woda w rurach nie zamarzała. Miały piec na drewno, który wymagał ciągłej uwagi. Jeden z mieszkańców grał na basie do

drugiej w nocy i zostawiał w zlewie brudne miski z zaskorupiałymi resztkami płatków zbożowych. Inny lokator miał duszę organizatora aktywisty, więc co wieczór w domu zbierała się grupa walcząca o prawa pracownicze, która pisała ulotki przy stole w jadalni. Helen ledwie mogła uzasadnić poczucie porzucenia, kiedy w czerwcu Molly załadowała do samochodu bagaże i wyjechała do Bostonu na studia doktoranckie z psychologii. Dostała wysokie stypendium i jeszcze posadę asystenta na uniwersytecie.

Helen też chciała się wyrwać z Doliny, ale nie miała dokąd. Gdzie jeszcze mogłaby wyżyć z trzech popołudniowych lekcji plastyki tygodniowo w szkole dla młodzieży z problemami? Malowała lasy i pola wokół pracowni. Latem pojechała nad zbiornik retencyjny Quabbin, by malować linię brzegową. Było tam przepięknie, ale Helen ciągle myślała o opuszczonych miasteczkach pod wodą i sześciu tysiącach grobów, które trzeba było przenieść w inne miejsce.

Następnej wiosny Anna i Reuben przyjechali z wizytą z Kalifornii. Oświadczyli, że w końcu lata biorą ślub. Następnich pięć lat mieli już zaplanowane. Przeprowadzka na wschód, ślub, założenie rodziny. „Wreszcie da mi dziecko”. Reuben przytulił ją mocniej. Helen poczuła ucisk w żołądku, gdy patrzyła, jak Anna z niewinną miną podnosi wzrok na przyszłego męża.

Gdy wyjeżdżali, Helen zaprowadziła oboje do pracowni i poprosiła, żeby wybrali sobie prezent ślubny. Anna wybrała duży pejzaż z nowego cyklu druków jednorazowych, gdzie zamalowywała odbitki pastelami olejnymi i emaliami. Pole płonące ochrą i karminem. Helen wskazała pole za oknami studia.

– To to.

– Podoba mi się, jak umiesz zrobić coś pokręconego i tajemniczego z czegoś tak zwyczajnego jak kawałek pola.

– Muszę uciec od tych zwyczajnych pól, bo niedługo wytnę kompletnego van Gogha i nie będzie to ładny widok – odpowiedziała Helen.

Metody alternatywne

Marsha знаła miejscową akuszerkę śmierci, przeprowadzającą w zaświaty, która pracowała z energią, choć była to oczywiście energia łagodna, nic straszego. Zadzwoił też jakiś szaman z propozycją znalezienia przodka przewodnika. Należało oczyścić przestrzeń, bo w pokoju pozostały resztki dawnego żalu. Kryształ, zawieszony przy oknach w dużym pokoju, trzeba było umyć. Kurz tłumił światło, a to oślepia ducha. Z perłowych kolczyków Anny został utworzony ołtarzyk dla mądrych uczuć. Różowy kwarc dla miłości.

Szamani, wyjaśniła Marsha, różnią się od wiccan. Chociaż, z drugiej strony, punkt widzenia wiccan nie jest w pełni jednorodny: wiccanie nordyccy różnią się od dianicznych, a ci od aleksandryjskich i Sanktuarium Kręgu.

A.G. chciała, żeby każda nakreśliła w miedzianej misce wypełnionej piaskiem rysunki ukazujące ich życzenia w kwestii życia pozagrobowego.

Całe Kółko Rękodzieła i Degustacji Wina stwierdziło, że przygotowującemu się do wędrówki duchowi Anny potrzeba uspokojenia, które przyniesie śpiew.

Większość Żydów w Dolinie przeszła na buddyzm. Powiedzieli Reubentowi, że niechętnie wzięliby udział we wspólnym odmawianiu Szema Jisrael lub kadiszu.

Kapela Anny zaoferowała się, że zagra koncert w domu.

PIES

Czy to był Zeus, tam, na szczycie wzgórza, ta ciemna, smagana wiatrem plama niewiele większa od kopca liści wśród drzew?

KSIEŻNICZKA

Przyjechała kapela. Zwaliści, wyszorowani do czysta faceci, którzy mieli normalną dzienną pracę – stolarz, elektronik, lekarz gastrolog. Bębniarz Jon był bibliotekarzem w gimnazjum. Jarrett, pierwszy wioślarz, wręczył Annie płytę CD, którą zmiksował.

– Hej, Księżniczko – powiedział.

Wszyscy nazywali ją Księżniczką.

Nikt z zespołu nie chciał usiąść. Albo nie mógł. Podpierali ściany, trzymając ręce w kieszeniach spodni roboczych, jakby się bali, że coś zniszczą. Nie, dzięki – każdy odmawiał grzecznie, gdy Helen proponowała drinki.

Nazywali Annę Księżniczkę od tamtego pamiętnego pierwszego wieczoru, gdy poszła z Connie i Laylą na koncert niezłej – z tego, co mówiła Layla – kapeli grającej w stodole w Shelburne Falls.

– Nieźli jesteście. – Pochwaliła Anna perkusistę i gitarzystę podczas pierwszej przerwy. – Ale waszej kapeli przydałaby się odrobina dziewczęcego uroku.

– A ja myślałem, że jak zacznę grać w zespole, to kobiety będą mnie podziwiały – zażartował bębniarz. – To chyba znaczy, że śpiewasz?

Zanim zdążyła powiedzieć, że nie, nie o to jej chodziło, wtrąciła się Connie:

– Jej głos to połączenie Bonnie Raitt i Phoebe Snow.

– Ma naprawdę niezły wygar – dodała Layla.

Nie liczyło się już, co Anna mówiła, żeby się wycofać: że nie śpiewa lub że śpiewa, ale tylko harmonicznie z koleżanką – faceci z zespołu powiedzieli:

– Okay, to po prostu wyjdź z nami na scenę i bądź urocza.

W końcu dała się namówić.

– Będę więcej niż urocza.

Kiedy po raz pierwszy znalazła się na scenie, dopadła ją taka trema, że wątpiła, czy zdoła wydobyć z siebie chociaż jeden czysty dźwięk, a co dopiero czarować urokiem. Wtedy Jarrett, gitarzysta prowadzący, powiedział jej po cichu:

– Dobra, Księżniczko, pokaż nam, że masz jaja.

Ryknęła na niego:

– Jeszcze jakie!

Zaczęli grać, a kiedy Anna sięgnęła po mikrofon, zapomniała, że właściwie jest tylko nauczycielką matmy w miejscowej szkole i mamą. Zapomniała o tremie i strachu.

– Jak tam koncerty? – Anna przesunęła wzrokiem po kolei po wszystkich smutnookich przygaszonych facetach. Scena jakby wyjęta wprost z *Czarnoksiężnika z krainy Oz*.

– Mało ich gramy.

Nie umieli kłamać. Dwa tygodnie temu było wesele w stodole w Colrain. Wynajęto ich, żeby zagrali repertuar Greatful Dead.

– Wiesz, jak to jest na takich imprezach.

– A jak sprawdza się Theresa? Nauczyła się swoich partii?

– Ona to nie to, co ty, Księżniczko. Bez dwóch zdań.

– No to macie, kurwa, farta, mięczaki – powiedziała Anna. – Gdyby w krótkim czasie kojfnęły wam dwie wokalistki, zespół zacząłby się kojarzyć z kostuchą.

Wybuchnęli śmiechem. To była ich Anna, równiacha z niewyparzonym ozorem. Roztkliwianie się zabronione, to jej jedyna zasada. Kobieta, która wróciła więcej niż raz – w granatowej peruce i czarnej mini – ze słodkimi nutami *Sugar Magnolia* na języku. Nawet chuda jak patyk potrafiła być sexy jak diabli.

– Wystarczy, że powiesz słowo, Księżniczko, a Theresa wypada z zespołu – zapewnił ją Jarrett.

– Dajcie, kurwa, spokój i stuknijcie się w te durne pały – odparła. – Nie powiem żadnego słowa. Musicie zacząć się nią jarać, to zacznie was kręcić tak samo jak ja.

Wszyscy ryknęli śmiechem. Później będzie musiała zapłacić za taki wysiłek. Ale teraz musiała sprawić, żeby ci faceci poczuli się lepiej. Flirtowała z nimi, czasem jak starsza siostra, a czasem, jakby coś już za chwilę mogło się między nimi wydarzyć, gdyby tylko wszyscy nie byli tak cholernie żonaci. Nawet w tych dziwnych latach separacji z Reubenem Anna nigdy nie zdecydowała się na skok w bok. Kocham mężczyzn, mówiła wielokrotnie chłopakom z zespołu. Ale ostatecznie nie mogę nic poradzić na to, że bardziej kocham Reubena.

– Powinnaś trochę odpocząć – uznał wreszcie Jarrett. Zrobił taką minę, jakby go trzeba było przytulić przed snem. – Jeszcze wrócimy.

– Nie – odrzekła. – Pożegnajmy się teraz na zawsze. – Jej głos brzmiał radośnie.

Zbliżyli się do niej, szurając nogami, zwaliści i nieporadni. Wyglądała zbyt krucho, by można ją było pocałować. Ale jeden po drugim pochyłali się, całowali ją i mówili:

– Siemanko, Księżniczko.
LEKCJA

Tego, pomyślała Helen, tego właśnie nauczy nas Anna. Nauczy nas wszystkich, jak mamy przejść przez coś, przez co przejść nie umiemy.

WZGÓRZE

Helen i Reuben wspinali się na wzgórze za domem. Błotnista ziemia pokryta była skorupką lodu. Ich buty łamały ją z trzaskiem. Słabe promienie światła przebijały się między drzewami niczym drzazgi, kładąc na ziemi sine cienie.

– Tyle czasu tracę na szukanie psa, na którego w ogóle się nie zgodziłem.

Reuben naciągnął wełnianą czapkę na uszy. Spod spodu wysuwały się kręcone włosy.

– Jest Anny. Zawsze był Anny.

– A ja zawsze łażę po okolicy i go szukam.

Dotarli na szczyt, zatrzymali się i spojrzeli na pole sąsiada, wciąż w większej części polukrowane na białą. Z łysej placków, gdzie śnieg się roztopił, sterczały kępy wysokiej trawy. Przez długi czas stali w ciszy. Trawy szumiały na wietrze, ale samego wiatru nie było słychać. Niebo, mleczne i płaskie, wyglądało, jakby zanosilo się na śnieg.

– Namów ją do dalszego przyjmowania leków – odezwała się w końcu Helen.

– Czemu miałbym to robić? – Reuben podniósł rękę i wskazał na wschód. – Czy to Zeus?

– Ciebie posłucha.

– Teraz to ja staram się tylko i wyłącznie słuchać jej. Czy nie do tego właśnie namawiałaś mnie od lat, Helen?

– Nie teraz.

– Naprawdę tego nie kapujesz?

– Czego?

Reuben zagwizdał trzy razy. Po otwartym polu poniosło się echo. Objął Helen ramieniem, a jej ciało ugięło się i przylgnęło do niego.

– Nie rozumiesz, jakie to wszystko stało się niemożliwe. Kiedy dzwoniłaś, Anna udawała, że jest dobrze, chociaż nie było. Przerwanie leczenia to jej wybór.

Helen wywinęła się z uścisku.

– Przed tobą też udawała.

Oboje odwrócili się i ruszyli z powrotem w stronę światła domu.

Na schodkach na werandę Reuben zatrzymał się i powiedział Helen to, z czym wcześniej zwlekał. O życzeniu Anny.

Helen powiedziała:

– Nie.

– Odmówisz poprowadzenia jej ceremonii pogrzebowej? Serio, Helen?

Nie miał na to czasu. Uroczystości pogrzebowe – kolejna rzecz na pieprzonej liście spraw do załatwienia.

– To powinnaś być ty. Ona to wie. Ja to wiem. I ty też to wiesz.

Helen złapała się poręczy, cofnęła gwałtownie rękę i wyjęła drzazgę sterczącą z dłoni.

– Zostaję na dworze, póki nie znajdę jej cholernego psa.

Reuben ruszył po schodkach.

– Ta weranda się rozpada, Reuben. Cały dom się rozpada. Naprawdę powinieneś zatroszczyć się o te sprawy.

Bez przystawania, nie odwracając się, zawołał do niej, nim wślizgnął się do domu:

– Nie rób z tego wielkiego halo. Po prostu się zgódź.

Helen stała i wpatrywała się w swój oddech. W kłęby srebrzystej pary. Cały dom się rozpada. W rozmowie z Reubenem zachowywała się jak dziecko. Nie, nie, nie i nie. Korciło ją, by wygarnąć mu coś paskudnego. Powiedzieć to, czego powiedzieć nie wolno. Myślisz, że ją znasz, Reuben? Myślisz, że znasz ją od początku do końca? Zapytaj ją o tamto lato. To ona była wtedy w ciąży, nie ja.

– Hej, Zeus. – Musiała położyć tego praktycznie zdiczającego pudelka miniaturkę Annie na kolanach, żeby odgonić te wszystkie nawiedzone wariatki i ich bóstwa New Age. A potem powiedzieć Annie: Nie uciekniesz ze swojego życia, kiedy dom masz obwieszony flagami modlitewnymi, a banda nawiedzeńców wciąż powtarza to swoje „om”.

Helen przedzierała się między sosnami szybciej niż podczas spaceru z Reubenem. Dotarła do polany i ruszyła dalej przez niskie zarośla aż na otwartą równinę należącą do sąsiada. Pognała przez pole. Czowała, jak w ciele buzuje jej potężna, agresywna energia. Jakby mogła teraz zrobić wszystko. Mokra, lodowata zacieki lepiły jej się do twarzy.

Podczas swojej choroby matka wielokrotnie prosiła ją, żeby przemawiała na jej pogrzebie.

– Tylko bez cukierkowej ckliwości – zapowiedziała. – Nie miałam słodkiego życia.

Rano w dzień pogrzebu Helen musiała zadbać o strój. Wiedziała, że tego między innymi życzyła sobie matka. Żeby wyglądała dobrze, a nie, jakby przepłakała całą noc. Włożyła sukienkę z granatowego jedwabiu, zdjętą z wieszaka w szafie matki, i zrobiła makijaż kosmetykami z szuflady w jej łazience. Poprawiając maźnięcie ołówka przy konturze oka, przyznała z niechęcią, że matka miała rację. Wiedziała, że Helen poczuje się w obowiązku, by zrobić wszystko idealnie.

Kiedy weszła na podwyższenie, zobaczyła przyjaciółki w tylnym rzędzie.

Wyglądały na przerażone. Anna próbowała uśmiechnąć się krzepiąco, ale zupełnie jej się nie udało. Później Helen opowiadała im, jak po drodze na cmentarz rabin pochylił się do niej i wyszeptał: „Nie powinno się mówić tego w tych okolicznościach, ale nigdy nie widziałem, żeby ktoś zdołał zapanować nad słuchaczami tak jak ty dzisiaj. To było niesamowite”.

– Ma rację. Byłaś niesamowita. – Anna nie mogła otrząsnąć się na tyle, by z jej twarzy zniknął lęk. Jak gdyby ona, Helen, nagle stała się kimś innym. Helen podobało się, że wywarła na Annie wrażenie. Mama chciała, żeby przyjaciółki zazdrościły jej tak opanowanej córki. Tak naprawdę Helen bała się tylko do momentu, gdy wstała. Ale kiedy stanęła przed salą pełną ludzi, poczuła, jak wszystko oddala się i wtapia w tło – jej smutek, a nawet własna matka.

Teraz wszystkie były w tym samym wieku co matka i z każdym upływającym rokiem Helen coraz bardziej zdawała sobie sprawę z tego, jak młodo umarła mama.

Śnieg sypał teraz gęsto. Nie było widać horyzontu. Pole i powietrze wydawały się gęste i białe. Jak mogłaby namalować tę idealną płaskość, a jednocześnie wrażenie zacieśniającego się bezkresu? Lekki śnieżek Pissarra na drodze do Wersalu, widoczne pociągnięcia pędzlem. Burza śnieżna na morzu Turnera – skłębiony huczący wir. Stary znajomy Helen, Arthur Cohen, który namalował Flatiron Building górujący nad nieodśnieżonymi ulicami Nowego Jorku. Sroka na drewnianym płocie Moneta pulsująca wszelkimi odcieniami bieli. Na wszystkich tych obrazach znalazło się coś – ptak, idąca kobieta, koń i wóz, statek, wieżowiec – co stanowiło punkt odniesienia dla bezkresnego świata śniegu. Tutaj było tylko pole i niebo, ciemne i jednocześnie wypełnione śniegiem. Za Helen widniała linia drzew, a za nią lasek schodzący w dół zbocza do ciepło oświetlonego domu. Jak namalować światło sączące się z okien domu? Helen wiedziała, że zrobi wszystko, o co tylko Anna poprosi.

OKNO W ICH KUCHNI

– Rozklejasz się. – Caroline usłyszała Danny’ego zupełnie wyraźnie. – Rozklejasz się. – Powtórzył jedną z wersji tego, co mówił od iluś tam minut.

– Prawie cię nie słyszę.

Rozsiadła się w fotelu ogrodowym. Nie było to stuprocentowe kłamstwo. Rzeczywiście w telefonie trochę szumiało. Usłyszała, jak mąż powtarza to samo. Gałęzie drzew nad jej głową przypominały lodową koronkę. Nawet przez dzinsy czuła przenikającą całe ciało wilgoć od drewnianego siedziska. Ta szarość wystarczyła, by wywołać przelotny napad zimowego zespołu afektywnego. Wpatrywała się w swój oddech. Nie było nic do powiedzenia. Nie chciała po prostu się rozłączyć i wrócić do środka. Widziała Danny’ego oczami wyobraźni. Wiedziała, że rozmawia z nią, stojąc przy oknie w ich kuchni, i patrzy, jak

wiewiórki próbują przewracać karmniki dla ptaków. Stał na jednej nodze, stopą drugiej drapał się po łydce – taka zabawna pozycja jego własnej jogi.

Caroline pragnęła tylko usłyszeć jego głos, gdy powtarzał: „Sytuację mam opanowaną”. Uwielbiała ich solidne życie. Dawniej cały czas wstydziła się wszystkiego, czego nie osiągnęła. Jeden atak paniki i uciekła z konserwatorium. Przestała się ubiegać o miejsce na scenie. Zaszyła się w domu rodziców załamana i czekała tylko, aż jej życie zmieni się w życie jej siostry. Aż poznała Danny’ego. I była wdzięczna za ich proste życie na przedmieściach. Dopiero po urodzeniu dzieci zaczęła znowu śpiewać. Dopiero kiedy dzieci podrosły, wróciła na studia. Teraz zastanawiała się nad magisterium z doradztwa. Danny powiedział, że przy wszystkim, czego się nauczyła podczas opieki nad Elise – od systemu szpitali po konflikt między współczuciem a praktycyzmem – mogłaby właściwie prowadzić cały oddział psychiatryczny.

– Jesteś tam jeszcze? – spytał. – Czy się rozłączyliśmy?

Jego głos był niczym okruchy chleba na ścieżce prowadzącej do domu.

– Nie, wciąż aż nazbyt tu jestem – powiedziała Caroline. – Powiedz mi coś optymistycznego.

SERIO

Ktoś zawołał: „Heli! Heli!”, i Helen odwróciła się przekonana, że to Anna uciekła od tego całego zgiełku i dołączyła do niej w śnieżnej ciszy.

To była Layla. Z trudem, rozstawiając szeroko nogi, brnęła przez pole w grubych futrzanych butach, a lód pękał z trzaskiem pod jej stopami. A potem padła Helen w ramiona. Przez warstwy puchowych kurtek Helen poczuła drżenie.

Usiłowała przypomnieć sobie coś na temat Layli. Ona i Connie były najbliższymi przyjaciółkami Anny w Dolinie. „Tandem, dzięki któremu nie zwariowałam”, mówiła o nich. Co ostatnio powiedziała Helen o Layli? Coś o nowym biznesie? O czymś związanym z rękodziełem czy też biżuterią? Helen nie była tego pewna na tyle, by ośmielić się zapytać.

– Szukam Zeusa. – Jeden policzek miała ciepły od łez Layli, drugi lodowaty, aż skóra piekła, od gradu. Uderzenie każdej grudki było niczym cicha eksplozja.

– O Boże. Przez cały czas był w domu. Zawsze chowa się w szafie.

„Zawsze”. Helen nagle zabrakło tchu, zdradziła ją nieznajomość codziennych szczegółów, o których tamta wiedziała. Wyplątała się z jej objęć i zobaczyła, jak Layla wyciera twarz rękawem kurtki.

– Anna się tobą chwali, wiesz – powiedziała Layla, gdy była w stanie mówić. – Nazywa cię swoją gwiazdą. – Jej twarz była wciąż śliska, mokra od łez i śniegu. – Słyszałyśmy o każdym muzeum, o każdym sukcesie.

– Potrzebuję pomocy, Laylo. – Ile razy jeszcze będzie musiała o to poprosić?

Lodowy deszcz siekł ich policzki. Żadna się nie poruszała.

– Przyszłam tu z Anną, kiedy pierwszy raz straciła włosy – odezwała się Layla. – Był piękny wiosenny dzień. Zaczęła wyczesywać je szczotką, a potem rwała rękami. Były wszędzie. Pasma jej pięknych włosów wplątane w trawę.

Helen wiedziała o tym od Anny.

Ale Anna nigdy nie mówiła, że była wtedy z Laylą.

Teraz Layla miała jeszcze więcej do powiedzenia.

– Czerń jej włosów wśród zieleni trawy to był wstrząsający widok. I jej głowa, te łyse placki. Ale dźwięki, dźwięki, które Anna wydawała, to było... nie wiem, jak to opisać, Heli. Surrealistyczne.

„Heli”. Znowu tak, jak mówiła na nią Anna.

Helen pamiętała wyraźnie, jak Anna zadzwoniła, żeby jej opowiedzieć o włosach. Ona była wtedy w pracowni. Starła się nie zawalić terminów dla dwóch galerii. Cały czas malowała ze słuchawkami w uszach. Anna powiedziała, że poszła na pole zupełnie sama. Helen pamiętała, że Anna położyła nacisk na ten szczegół. Poszłam na pole za domem. Musiałam być sama, powiedziała.

Layla wsunęła rękę pod ramię Helen. Śliski nylon kurtek zaszeleścił.

– Nie będę się z nią wyklócać, Helen. Nie mogę twierdzić, że chorowanie rok w rok ma coś wspólnego z życiem. Ale to nieważne. Zobaczysz. Ona odsunęła się już od nas gdzieś daleko.

Grad sypał Helen w twarz. Policzki miała zmarznięte i obolałe.

– Ale to ja będę cię potrzebowała, Heli. Anna zawsze mówiła, że jesteś jak skała. Czy będziesz dla mnie taką ostoją choć trochę?

Zbocze, na które musiały się wdrapać, idąc z powrotem w stronę lasu, było śliskie. Helen nie mogła znaleźć oparcia. Podeszwy jej sportowych butów nie ułatwiały sprawy. Layla brnęła pod górę; szła bokiem, ciągnąc za sobą Helen.

– Nadal uważasz, że jestem tą silną, na którą można liczyć? – Helen, uczipiona jej ramienia, niemrawo przebierała nogami. – Może powinnaś zrewidować swoje poglądy.

CIEMNE OKNO

– Ty teraz Amerykanka. Bez czci dla ojciec.

Anna naśladowała sposób mówienia ojca Ming. Ming zaczęła opowiadać starą historię o ich fiasku z odlotem na LSD i przekonała Annę, żeby opowiedziała ją do końca. Reszta chłonęła każde jej słowo. Anna widziała, że tamte są szczęśliwe, kiedy tak opowiada.

Nawet z tyloma przyjaciółkami – z taką chmarą, że większość osób by sobie z nimi nie poradziła, wręcz nie chciałyby ich tak wielu – Anna nadal czuła się samotna. Także teraz. Samotność zawsze jej towarzyszyła. Nawet z Reubenem – czyż nie czuła się samotna? Starła się nie okazywać dzieciom swojej samotności, ale i tak ją wyczuwały: bliźnięta gramoliły się na kolana i brały jej twarz w pulchne

łapki. A ona łaskotała je i chowała się w tej radości. Być tak kochaną, a mimo wszystko czuć uścisk tej ukrytej towarzyszki w łachmanach. Było jej wstyd, ale nie mogła się pozbyć tej samotności. Zresztą nie chciała. Sama jej się chwytła. Tej wady, która często wydawała jej się najbardziej rzeczywistą częścią jej duszy. Te godziny spędzone w utajeniu, gdy leżała skurczona i zapadnięta w siebie pod znajomym kocem.

Może to oddzielenie, ta drapiąca łuska samotności od zawsze była przygotowaniem do tego. Żeby nie bała się odejść. Mimo to przez tyle lat tak bardzo się bała. Ale w końcu przestała.

Helen rozsunęła drzwi od werandy; z tyłu czekała Layla. Wślizgnęły się do pokoju i Helen zamknęła drzwi. Obie były mokre od śniegu i gradu. Lodowe grudki stukały w wysokie okna.

– Czułam się taka zakręcona. – Anna starała się, by w jej głosie wciąż słychać było radość. – Schowałam się u Ming w pokoju. Ale narzuta na jej łóżku ożyła.

Jej dwie przyjaciółki razem. To dobrze. Z Laylą Helen będzie mniej zagubiona.

Helen miała zaciśnięte wargi. Spójrz na mnie, Helen. Anna rozchyliła ramiona, pokazując skrzydła ważki. Haftowane zwierzęta łąziły po całym czerwonym jedwabiu. Zamachała ramionami, naśladując szmaragdowozielone ważki, które podrywały się do lotu, by ją schwytać. Jej głos to wznosił się, migotliwy i podekscytowany, to znów opadał gwałtownie, gdy ojciec Ming niczym ogr domagał się coraz trudniejszych zadań. Ming bez protestów słuchała, jak Anna z udawanym chińskim akcentem odegrała rolę ojca żądającego, by córka uklękła i okazała mu szacunek.

Helen ścisnęła klamkę przy drzwiach, jakby zaraz miała znowu uciec.

Spójrz na mnie, Helen. Ona mnie karze, pomyślała Anna. No i znowu ta jej samotność. Cień, który tak długo ją ukrywał, aż jego obecność stała się krzepiąca. Aż jej zewnętrznego mroku stało się mniej. Z Helen łatwo było się przyjaźnić, była dobrą dziewczyną. Miała naturę optymistki. Anna zawsze była zaskoczona, dostrzegając, że Helen ma swoją ciemniejszą stronę. To emocjonalne skrzywienie w jej obrazach. I jeszcze tamten rok, gdy przyjaciółka się stoczyła. Faceci i narkotyki. Potem powrót do zdrowia. Anna nigdy nie mogła pojąć, jak to możliwe, że coś takiego stało się z jej dobrą Helen.

Wreszcie Helen się uśmiechnęła – i wtedy Anna to zobaczyła: wściekłość przyjaciółki. Chodź do mnie, pomyślała – nie dlatego, że potrzebowała jej przy sobie. Nie dlatego, żeby coś powiedzieć Helen. Nie dlatego, że chciała ją pocieszyć czy sprawić, żeby było jej łatwiej. Tylko dlatego, że wciąż chciała wiedzieć, że potrafi.

NOWE ODDALENIE

Helen oparła się o drzwi i słuchała, jak Anna szczebiocze, zabawiając gości tamtą głupią historyjką, jeszcze ze szkoły średniej, z podziałem na role.

Layla dotknęła pleców Helen.

– Dajesz wiarę, co ona wyprawia? – powiedziała i ruszyła w głąb pokoju, żeby dołączyć do zafascynowanej widowni.

Anna obrazowo i ekspresyjnie opowiadała swoją anegdotkę w gronie przyjaciółek, chłonących z wdzięcznością każde słowo. Właśnie to uwielbia, być w centrum uwagi, pomyślała Helen. Ona też powinna czuć wdzięczność.

Ale widziała tylko to, że zużywają siły Anny.

Może chodziło o coś gorszego. Bardziej samolubnego. Może nie mogła znieść, że to dzięki Ming i Molly Anna odżyła. Sama nie miała z tym nic wspólnego. Tak dużo zdarzyło się pod jej nieobecność. Przy Layli, która towarzyszyła Annie, gdy ta rwała sobie włosy. Bez względu na to, jak jasną gwiazdą mogła być dla Anny, tak naprawdę w niczym jej nie pomogła. Przyjaciółka ją okłamała. Kogo właściwie Anna chciała ochronić tym kłamstwem? To pytanie było spóźnione.

Umieranie zdawało się nowym rodzajem oddalenia, czymś niezbadanym, i Helen czuła, jak bardzo odsunęły się od siebie. Mimo wszystko jednak pragnęła precyzyjnie się jak najbliżej i zająć należne jej miejsce.

TELEFON

Skrzynka pocztowa pękała od wiadomości. Każdy miał jakąś sugestię. Każdy słyszał coś o innej rodzinie, która jakoś sobie poradziła. Wszyscy chcieli przedstawić swoje plany.

Reuben odbierał telefony od dzieci. Zawsze. Harper zagroziła, że nie będzie przy tym obecna. Andy dziś rano o mało nie zderzył się z jeleniem na drodze. Julian nakrzyczał na ojca, a potem się rozłączył. Potem oddzwonił. „Przepraszam, tato”. Nie mogli wytrzymać pobytu w tym domu. Nie mogli znieść, żeby w tym domu nie być.

Reuben słuchał.

Oddychał trzy razy, zanim się odezwał. Cztery razy.

HISTORIA SZTUKI, CZĘŚĆ 2

Helen weszła po schodach od strony sypialni i zatrzymała się na podeście. Na ścianie wisiał prezent ślubny, który dała Annie i Reubenowi. Zapamiętała ów obraz jako bardziej obiecujący niż to kłębowisko kolorów na papierze, przed którym teraz stała, zapaćkane karminem, szkarłatem i ochrą. W najlepszym razie nastrojowe i dekoracyjne. Ale nie przemawiało do widza. I na pewno nie było obiecujące.

Tamtej późnej wiosny przed ponad ćwierćwieczem, kiedy zaprowadziła Annę i Reubena do pracowni, czuła się – prawie w równym stopniu – już skazana na klęskę, a zarazem pewna własnego sukcesu. Podczas gdy Anna wychodziła za mąż i mówiła o kupnie domu, Helen żyła nikłą nadzieją na stypendium malarskie. Bardziej prawdopodobne było, że spędzi kolejny rok w zapuszczonej wiejskiej ruinie z przypadkowymi współlokatorami i brudnymi foliowymi płachtami, które wreszcie będzie można zdjąć z okien w maju, gdy zrobi się cieplej. Ale Helen czuła się także lepsza od Anny. Anna, jej najbardziej nieposkromiona, żywiołowa przyjaciółka, wybrała to, co oczywiście, bezpieczne i przewidywalne. Anna mogła stać się właściwie każdą kobietą, jaką by sobie wymarzyła, w każdym miejscu, gdzie tylko chciała, z mężem, dziećmi i pracą, która się liczy. Tymczasem to Helen, zawsze ta ostrożna i rozsądna, z własnej woli miała poświęcić wszystko, by wykuć sobie wyjątkowy i niepowtarzalny los.

Tamtego dnia w pracowni Anna obróciła się gwałtownie.

– Helen, nadmiernie intelektualizujesz. Widać to na kilometr. Daj spokój. Po prostu daj mi obraz i powiedz, że cieszysz się moim szczęściem.

Oczywiście, Anna okazała się nieposkromiona, zawsze bardziej żywiołowa niż Helen. Kiedy udzielała wywiadów lub oprowadzała gości po swojej pracowni, zawsze padało to samo pytanie. Młode malarki pytały, jak zdołała stworzyć sobie los artystki. Czuła się w obowiązku podkreślić, że nie poradziła sobie aż tak dobrze. Przypominała im, że jej małżeństwo zakończyło się fiaskiem. „Byłam samolubna, choć owszem, może wszyscy artyści są samolubni – wyjaśniała – ale ucierpiały na tym moje dzieci”. Młode malarki wybuchały śmiechem i wzruszały ramionami. Rany, kogo obchodzi małżeństwo? Egoizm w służbie sztuki wydawał się cnotą. Były za młode, żeby zrozumieć ciągłe wyrzuty sumienia, niekończące się przewożenie plecaków z domu do domu.

To napięcie – czym właściwie jest zwyczajne życie? Czym jest życie wyjątkowe i niepowtarzalne? Czym jest szczęście? – z biegiem lat właśnie to stało się tematem obrazów Helen. Jak wymierzyć skalę poświęceń czy namiętności? Jak wytworzyć niepowtarzalność codziennej niespodzianki?

Kiedy tak stała na podium i słuchała przenikających się warstw rozmów w salonie, wydawało jej się niepojęte, że kiedykolwiek namalowała ten pejzaż bez ludzi. Że w ogóle znalazła w nim coś interesującego. Prawdziwe żywioły ścierały się tam, na dole, gdy Ming łudziła się nadzieją, że namówi przyjaciółkę do zjedzenia jeszcze jednej miski ciepłej zupy, kiedy Caroline i Anna zaśpiewały *River* Joni Mitchell na dwa głosy, a miejscowe przyjaciółki, te, które pożyczały sobie sól lub mąkę, jeździły wspólnie na treningi dzieci i spotykały się na ploteczkach, teraz błagały o następną piosenkę. Za każdym razem, gdy Anna chorowała, te kobiety organizowały i koordynowały stałe towarzystwo dla niej i właściwie musiała wyganiać je z domu, kiedy chciała się zdrzemnąć.

– Oczywiście, że cieszę się twoim szczęściem – powiedziała Annie tamtego dnia przed laty.

I naprawdę się cieszyła. Była młoda, jeszcze nie umiała szybko wyważać sprzecznych uczuć. Tylko czy teraz jest jej łatwiej? Teraz to ona, Helen, wychodzi za mąż. Idiotyczna ekstrawagancja wieku średniego – owo pełne nadziei pragnienie. W sumie zupełnie zwyczajne. A Anna będzie martwa. Czy to będzie ta straszliwa cezura przyszłych zdarzeń – „po śmierci Anny”? To pytanie przynależało do niezbadanej nowej dali, dotyczyło tego, czego nigdy nie wiedziała. A teraz sama stanie się częścią obrazu pełnego ludzi. Jeśli w jej płótnach było coś istotnego, oryginalnego, to rodziło się z elementów zaskakujących, stłoczonych chaotycznie na pierwszym planie, z jakiejś dawki skołowania i współczucia, radości i samotności, tych granic codziennych wyborów.

WSZYSTKO NIEPOKOI

Pielęgniarka z hospicjum zbadła jej funkcje życiowe. Anna nie zapytała, co tamta zapisuje w zeszycie z grzbietem oplecionym drucianą spiralą.

Zaprzestała prób zapamiętania jej imienia.

Pielęgniarka była drobnej budowy, łagodna, poruszała się cicho.

– Staramy się, żeby twój organizm po prostu gasł. Będiesz spała coraz dłużej.

Anna była dobra w spaniu. Kolejna z jej wstydlivych wad, umiłowanie snu. Reuben zawsze zrywał się z łóżka z samego rana – był dumny i zadowolony z tego, co udało mu się zrobić w ciągu tych paru godzin, zanim wstała. Doprowadzało ją to do szału. Każde poranne przebudzenie dla niej stanowiło nieprzyjemny wstrząs. Mycie twarzy, zębów, drugie śniadanie do szkoły, zapiąć dzieciakom kurtki, napisać usprawiedliwienia. Całowała dzieci, całowała Reubena. Przygotowując śniadanie, słuchała, jak tamci opowiadali o wczorajszych snach i troskach. Bała się odezwać. W dni, kiedy nie musiała otwierać ośrodka matematycznego i nie miała wczesnych korepetycji, najchętniej zaszyłaby się znowu w zaciemnionej sypialni. Kiedyś pielęgniarka odsunęła szpitalne zasłony i powiedziała: „Wygląda pani, jakby zmagą się z depresją”. Anna, nawet nie otwierając oczu, podniosła rękę i pokazała jej środkowy palec.

– Boli cię coś? – spytała teraz pielęgniarka z hospicjum.

– Nie boli, tylko wszystko niepokoi.

Padły kolejne pytania. Anna nie zawsze umiała znaleźć odpowiednie słowa. Pielęgniarka powtarzała:

– To normalne.

Na wszystko, co mówiła, tamta odpowiadała: „To normalne”.

Tym, co Annie wydawało się nienormalne, był fakt, że młoda ładna pielęgniarka opiekuje się umierającą osobą. Te kwaśne zapachy. Ta jej obolała sina

skóra. Robota dla starych kobiet.
HISTORIA SZTUKI, CZĘŚĆ 3

Pierwszym obrazem będą *Zebrane*. Same kobiety. Ze wszystkich światów Anny.

Ale żadnych chorągiewek modlitewnych.

I tak więc. To tytuł następnego płótna. Będzie przedstawiało Annę samą w szpitalnym łóżku. Myśli o studiach matki autorstwa Luciana Freuda. O tym, co Monet powiedział o swoim portrecie żony Camille: „Pewnego dnia złapałem się na tym, że patrzę na martwą twarz mojej ukochanej żony i w automatycznym odruchu systematycznie przyglądam się kolorom!”.

A może na łóżku z Anną będzie też pies. Poręcze z metalicznym połyskiem.

Helen nazwie ten obraz: *Anna z Zeusem*. To najdrobniejsze zaburzenie złamanej bieli pościeli byłoby zarazem ich nieobecnością i kształtem.

ANNA: INNE POWODY DO WSTYDU, TE ZNANE I TE NIEZNANE

Nie czytała nawet gazety. Co tam codziennie – nie robiła tego nawet dwa razy w miesiącu.

Nie zawsze brała udział w wyborach. Właściwie głosowała tylko dwa razy. Polityka jej nie kręciła. To tylko chciwość i władza. Po co tracić czas na dowiadywanie się, jak się nazywają despoci?

Uważała, że demokraci są miłsi niż republikanie.

Nigdy nie zrozumiała, o co chodzi z kolegium elektorskim.

Pieniędźmi interesowała się tylko trochę. Pragnęła związanego z nimi bezpieczeństwa, ale nie zwracała sobie głowy inwestowaniem czy oszczędzaniem. Co to był plan 401(k)? Wszystkimi tymi rzeczami zajmował się Reuben. Tak samo jak bieżącymi rachunkami – za prąd, telefon, olej grzewczy, a także regulowaniem płatności na karcie kredytowej. To on wypisywał wszystkie czeki.

Skłamała Reubenowi. Tamtego lata, o dziecku, którego nie mieli.

Kupowała buty w sklepach z używanymi rzeczami. Nigdy nie kupowała wody w butelkach. Ale gdy zobaczyła w sklepie z antykami żyrandol, nie zastanawiała się ani przez chwilę i kupiła go za tysiąc pięćset dolarów.

Wolała ludzi atrakcyjnych. I to znacznie. Kiedy zaprzyjaźniła się z kobietą, która nie była piękna, wstydziła się pokazywać z nią na mieście. Ale też trochę była z siebie dumna. Jakby to dowodziło jej miłosierdzia.

Nie czytała tylu książek, ile powinna czytać osoba uważająca się za kulturalną. Zdarzały się lata, kiedy nie przeczytała zupełnie nic. Nie interesowały jej skomplikowane narracje. Lubiła powieści, gdzie można było zbliżyć się do postaci.

Sytuacje życia codziennego postrzegała hierarchicznie. Czyje dzieci są

bystrzejsze? Czyje dzieci mniej przystają towarzysko? Które są wysportowane, które artystycznie uzdolnione?

Nie dążyła do bycia zamożną, lecz nie chciała być najuboższa wśród swoich przyjaciółek.

Nie odbierała telefonów. Czasami kłamała, że na poczcie głosowej nic się nie nagrało. Niekiedy kasowała nagrane wiadomości, nawet ich nie odsłuchawszy.

Miała kiepski zmysł orientacji przestrzennej.

SKRYBA

– Potrzebujesz skryby? Kogoś, kto zapisałby twoje notatki lub życzenia. Może nawet list.

Pielęgniarka z hospicjum się pakowała.

Wydawałoby się, że ma w torbie tak mało rzeczy. Ciśnieniomierz. Termometr.

Skryba – to dopiero starodawne zajęcie! Anna zobaczyła zwój pergaminu o wystrzępionych brzegach, długą brodę i pióro.

Myślała, że spisywanie ostatnich słów ma już za sobą. Mimo wszystko spróbowała. W głowie.

„Kochane dzieci”.

„Najdroższy Reubenie”.

Nie. Uznała, że chce im powiedzieć coś, co już wiedzą. Mimo wszystko pragnęła jednak coś im przekazać.

UŻYWANE

Kołyska elektryczna Anny trafiła do Caroline, a potem do Helen, która oddała ją Annie, kiedy ta urodziła po raz drugi. Wózki spacerowe, z których wyrosło jedno z dzieci, trafiały do następnego i tak krążyły, dopóki kółko nie odpadło. Nosidełka podróżne podróżowały z domu do domu, a zielona kamizelka, którą Helen zrobiła na drutach dla pierwszego dziecka Ming, później była noszona przez większość ich pozostałych maluchów. Pajacyki z nogawkami na zatrzaski, sukienki przepasywane sznurkiem, kombinezony, buty zimowe, śpioszki, koszulki, spodnie dresowe, swetry – wszystkie ubranka posortowane, wyprane, zapakowane w pudeł, były wysyłane dalej, a potem znowu sortowano je, prano, pakowano do pudeł i wysyłano komuś innemu. Bawełniane piżamki, noszone tak długo, że przypominały najprzedniejszy jedwab, wreszcie były tak znoszone, że z wahaniem się je wyrzucało. Sukienka w naszywane lilie była ulubioną każdej z dziewczynek. Nikt już nie wiedział, skąd się wzięła granatowa marynarka z mosiężnymi guzikami, ale przydała się na niejednej szkolnej uroczystości. Jeszcze w tym roku Caroline rozesłała przyjaciółkom zdjęcie swojego najmłodszego syna w Pradze, ubranego w wełniany płaszcz po synu Helen. Helen odpisała: „Pasuje na Twojego lepiej, niż kiedykolwiek pasował na mojego”.

NASTĘPNE POKOLENIE

No więc są: Rico, Lily, Julian, Harper, Andy, Lucinda, Rusty, Tessa, Shana, Lewis, Maggie i Eli. Komu nie myliłyby się imiona? Która – wołając jedno ze swoich dzieci – nie pomyliła się i nie wykrzyczała imienia innego dziecka? Czasem nawet imienia psa. Kiedy wszystkie były razem i biegały po pokojach jak szalone, te najmniejsze w ślad za większymi, tak że nad wszystkimi wisiała groźba przewrócenia się i rozbicia głowy – wystarczało wrzasnąć: „Wszystkie bachory na podwórko za domem!”.

1994 – DAWCA

– Mamy problem. – To Molly swoim superpoważnym tonem.

Anna słyszy w tle Serenę. Może się śmieje. Ale może nie.

– Chodzi o Tima – mówi *sotto voce* Molly. – Wszystko się pochrzańiło, Anno.

– Zwolnij. – Anna daje Reubenowi znak, żeby podniósł słuchawkę po swojej stronie łóżka.

– Cześć, Moll – mówi Reuben. – Co tam?

– Co? Timowi odpięrdoliło. I jest na dole. W naszym domu.

Pierwotnie Tim należał do paczki Anny i Reubena ze studiów, ale Molly kumpłowała się z nim od pewnego lata, kiedy znaleźli się w mieszanej ekipie, która wynajęła na lato dom nad jeziorem Winnepesaukee. Dlatego nie było nic niestosownego w tym, że gdy Tim wpadł do Anny i Reubena w odwiedzinach, Anna napomknęła, że Serena i Molly mają kłopoty ze znalezieniem wśród znajomych dawcy nasienia. Reuben uniósł wyżej szczypce od grilla i oświadczył, że to tylko straszliwa strata czasu i oczywiście bank spermy to znacznie lepsze rozwiązanie.

Przez całą kolację Tim argumentował, że znany dawca to rozsądny wybór, jeśli chodzi o genetykę. Nikogo więc nie zaskoczyło, gdy tydzień później zgłosił się na ochotnika. Propozycja brzmiała sensownie. I to nie tylko dlatego, że Tim zawsze podkreślał, iż nie chce nigdy mieć dzieci. Zawsze, czyli od pierwszego roku studiów. „Dodatkowo brzmi to sensownie – wyjaśniła Molly Serenie przed pierwszym spotkaniem twarzą w twarz – dlatego że, o ile się orientujemy, on w ogóle nie jest zainteresowany seksem ani ze zwierzęciem, ani z warzywem, ani z minerałem”.

Reuben obstawał przy stanowisku, że bank byłby lepszy, lecz Anna stwierdziła, że jest tylko przewidywalnym pesymistą, który nie przyjmuje do wiadomości, że ktoś może być zdolny do zupełnie bezinteresownego gestu.

Wydawało się, że to rozwiązanie idealne z punktu widzenia genetyki. Tim był geniuszem komputerowym, do tego niezwykle przystojnym facetem. Rasy tak mieszanej, że mawiał o sobie „jaki to ja nie jestem”. Jego brat i siostra mieli błyskotliwe śliczne dzieci. Tim to była solidna firma. Odpowiedzialny. I nie chciał się angażować w wychowywanie. W przeciwieństwie do poprzednich kandydatów, Tim nie wyraził obaw, jak się poczuje, jeśli dziecko będzie do niego podobne. Nie wspomniał ani słowem o wspólnych wakacjach ani o roli wujka na specjalnych prawach.

– Musicie zrozumieć, że wszystko było obgadane. Zjawił się ze swoją dokumentacją medyczną jak na dobrego ogiera przystało. – W rozgrywającym się dramacie Serenę wyraźnie bawił lesbijski wątek komediowy.

Nagle – i tutaj Serena i Molly, schylone nad słuchawką, oświadczyły właściwie *unisono*, że za pięć dwunasta, przy świetle świec podczas uroczystej kolacji przed zapłodnieniem, kiedy odfajkowali już wszystkie formalności, przebrnęli przez badania lekarskie oraz testy genetyczne i byli umówieni na podpisanie dokumentów nazajutrz rano – Timowi odbiła szajba.

– Właściwie ni z gruchy, ni z pietruchy, kiedy jedliśmy tartę truskawkową, oświadczył, że musi przyjąć pełną odpowiedzialność za duchowe wychowanie dziecka.

– Tim? A kiedy to on odkrył w sobie duchowość?

– No właśnie. Jak to się stało, że Komputerowy Tim, Logicznie Myślący Tim zapomniał w ciągu dwóch miesięcy rozmów wspomnieć o swoim przebudzeniu religijnym i o tym, że stał się Nawiedzonym Timem? – mówi Molly.

– Wygląda na to, że nie tylko zaszył się ze swoim guru w pustelni – wtrąca Serena. – Okazuje się, że jest jednoosobowym wyznawcą wszystkich religii świata, jakiegoś pieprzonego zlepku buddyzmu, wyznania mennonickiego, katolicyzmu, sufizmu i wierzeń Indian amerykańskich.

– Gdzie teraz jest?

– Na parterze. – Molly znowu szepcze. – Spieraliśmy się przez dłuższy czas. Potem stwierdziłyśmy, że na dzisiaj mamy dość.

– Oj, tak. Kiedy akurat tłumaczyłyśmy mu, że nie przyjmie na siebie żadnej odpowiedzialności czy to duchowej, czy jakiegokolwiek innej, nagle wyciągnął ręką szytą zamszową sakiewkę z Bóg raczy wiedzieć czym w środku. „To mój woreczek leczniczy” – oświadczył. Zamachał nim w powietrzu i powiedział superpoważnym głosem: „Dziecię rodzi się z wielkiej kosmicznej energii”, a potem oznajmił, że tu, w naszym salonie, zamierza nam pokazać, jak pobłogosławi swój drogocenny dar nasienia.

– O rany, wyciągnął wacka z portek? – Rozbawienie Reubena jest aż nadto wyraźne.

– Przestań. To obrzydliwe. – Anna siada mu na kolanach, a on wsuwa rękę w dekolt jej T-shirtu i nakrywa dłonią pierś, przekazując bezgłośnie: „Robię się napalony”.

Anna przewraca oczami, a Reuben z głupkowatą miną kiwa głową. „Napalony jak diabli”.

– Oj, tak, moja droga, nie zamierzam tego dłużej ciągnąć. Rano odwiozę go na dworzec. – Serena wyraźnie się zapała. – Wystarczy, że moja matka nalega, żebyśmy wychowały dziecko po protestancku w Afrykańskim Kościele Metodystyczno-Episkopalnym, a mama Molly śle nam broszury z cytatami z Jana Pawła II przeciwko obrzezaniu, więc nie potrzeba nam jeszcze dawcy nasienia z religijnym świrem.

– O ile oczywiście nie wykona dziś w nocy żadnego rytualnego zapłodnienia w połączeniu z mordem. – Molly stara się mówić żartobliwym tonem, ale wszyscy wiedzą, jak uwielbia tanie horrory, w których krew leje się strumieniami.

– Szanowne panie, nie chcę rzec: „a nie mówiłem”, ale czy zrozumieliście wreszcie, że lepiej wybierać anonimowego dawcę?

– Tu nie chodzi o ciebie, Reuben. – Anna pokazuje mu język. A potem z leniwą kokieterią oblizuje górną wargę.

Wszystkie wiedzą, jak bardzo Reuben lubi mieć rację. A Anna wie, jak bardzo Reuben chce skończyć tę rozmowę i zabawić się w znachora.

1995 – MIKSTURA

Na czele dziecięcej bandy idą najstarsi chłopcy Ming i Anny, Rico i Julian, którzy taszczą wiadro nieopróżnionych do końca butelek powyciąganych z szafki w łazience.

– To ważne – oświadcza syn Ming, Rico. – To nie tylko zabawa.

Rico zawsze jest przywódcą. „Dobroduszny despota”, nazywają go wszystkie mamy. Oświadcza, że dzieci chcą – nie, potrzebują – kalaminy w płynie i długiego paska wyciśniętej z tubki neomycyny. Jest tam też niebieski płyn do kąpielii i szampon. Młodsze dzieci z dumą kiwają głowami, podczas gdy starsze przedstawiają pochwałę tych środków. – Potrzebujemy określonych mikstur – mówi Rico, odkręcając słoik z zasypką dziecięcą, a w powietrze unosi się obłok talku.

Dzieci rozglądają się dookoła. Wszystko w kuchni wygląda na konieczne, absolutnie niezbędne, jeśli nauka ma się posunąć naprzód. Czy można by zwinąć coś z lodówki? Ser? Musztardę? Słoik oliwek ze stołu?

Matki siedzą przy okrągłym stole, są na nim krakersy z serem i butelka wina – popołudniowa nagroda. Rozmawiają o – jakżeby inaczej! – życiu tych właśnie dzieci, które tłoczą się teraz przed nimi z rezolutnymi, pełnymi oczekiwania minami.

Na musztardę zgoda, na oliwki nie. Matkom udaje się przybrać poważny wyraz twarzy.

– I nie wolno jeść żadnych mikstur. Ani trochę – mówi Helen, a pozostałe znacząco patrzą w oczy swoim pociechom.

– Próbowanie absolutnie zabronione – przestrzega Caroline córkę, która bierze z półki pudełko płatków śniadaniowych. – I pamiętaj, wy, starsi, opiekujecie się małymi.

– Za naszych Einsteinów! – wznosi toast Helen, podczas gdy dzieciaki tłoczą się w drzwiach niczym szczenięta.

– Albo doktorów Strangelove’ów – dodaje Anna i stukają się kieliszkami.

Nie mogą uwierzyć, jakie mają szczęście, że przechodzą przez to wszystko razem. Jak by sobie poradziły, gdyby nie to? Nie trzeba udawać, że wie się, co się robi. Jeśli nadciąga katastrofa – a która z nich choćby przez chwilę nie bała się katastrofy? – to jeszcze nie nadciągnęła.

Z korytarza słychać, jak dzieciaki krzyczą:

– Dolej więcej, dolej więcej!

A potem do kuchni znowu wkraczają Lily i Rusty.

– Potrzebujemy dwóch jajek – oświadcza Lily z tym swoim najpromienniejszym uśmiechem.

Jakie chytre są starsze dzieci, że wysyłają te dwa słodziaki. Matki nie mogą się oprzeć ciemnym oczom, burzy kręconych włosów i pełnemu stanowczości

kuśtykaniu małej Lily. Dzielna Lily, dwa razy dziennie bierze tegretol, a i tak zdarzają się napady. Mimo to zawsze się upiera, żeby brać udział w zabawach starszych.

Oczywiście starsze dzieciaki wysłały Rusty'ego jako ochronę dla małej – doskonały wybór, świadczący o tym, że szaleni naukowcy nie stracili rozsądku.

– Czemu jajka? – pyta Anna tonem bezstronnego badacza. – I czemu dwa?

– Jajka to nasze spoiwo. Chcemy obserwować, jak bąbelki reagują ze spoiwem. – W połowie wykładu Rusty podnosi rękę.

Czy można się powstrzymać od parsknięcia śmiechem?

Kobiety mają ochotę przytrzymać tu Rusty'ego do końca świata, tego małego naukowca, paplającego radośnie czterolatka. Ich chłopczyk – nie tylko najmłodszy syn Helen – bo te dzieci wszystkie są ich wspólnym projektem, wspaniałym połączeniem, czymś, co całą piątkę wymarzyły sobie jako nastolatki, w trakcie wszystkich tych wieczornych dyskusji o cechach wrodzonych i wychowaniu – ten ich chłopiec chroni Lily i łączy za starszymi dziećmi, zaciskając kształtne wargi i marszcząc buzię, żeby się nie popłakać.

– To ważne – oświadcza.

– Dobrze. – Anna z szacunkiem kiwa głową. – Doskonale przedstawiłeś swoje argumenty. Właściwie dam wam trzy jajka. Pod warunkiem że osobiście rozbijesz to trzecie.

Zawsze stara się dodać dziecku odwagi. I wierzy, że wszystko dobrze się skończy. „Daj mu tylko trochę czasu”, mawia, kiedy któraś z pozostałych przejmuję się, że maluch nie chodzi spać zgodnie z planem albo przestaje pić mleko z butelki, czy też później, kiedy nauczyciel wyraża obawę, że uczeń nie czyta dostatecznie sprawnie albo źle się zachowuje w klasie. Kiedy Helen wytyka jej hipokryzję, przypominając, jak przejmowała się nieśmiałością zarówno Juliana, jak i Andy'ego, Anna unosi rękę.

– Zastrzel mnie za niekonsekwencję.

Teraz szepcze coś Rusty'emu na ucho i wręcza mu dwa jajka. Chłopiec z powagą kiwa głową.

– Obiecuję.

Potem Anna kuca i wkłada trzecie jajko w dłoń Lily, pomagając małej objąć je sztywnymi paluszkami.

– Co ci powiedziała? – Lily podbiega do Rusty'ego, gdy wracają do reszty dzieciaków.

– Właśnie, co mu powiedziałaś? – pyta Helen, patrząc na dumnie wyprężone plecy chłopca.

– A nie powiem. To tajemnica moja i twojego syna – mówi Anna. – Prawda, Rusty?

– Co? – jęczy Lily. – Co to za tajemnica?

– Nie mogę ci powiedzieć. – Rusty zerka łobuzersko na Annę. – Ale to coś dobrego dla nas obojga.

TE LATA

Na kocykach, w chustach, przy piersi, ułożone do snu, obudzone, głodne lub nigdy nieskarżące się na głód. Było dziecko bałaganiące, marudne, gaduła, marzyciel, beksa, dziecko ciągle wylewające mleko, dziecko z napadami hysterii, milczek, gorączkujące, niecierpliwe, strachliwe – każde z nich było aniołkiem, kiedy spało.

1997 – LILY

Przed operacją mózgu dwa miesiące trzeba było spędzić w szpitalu: głowa Lily w gipsowej czapie, z nawiertami w czaszce, żeby sondy mogły zmierzyć aktywność mózgu podczas napadów i zlokalizować objęte nimi obszary. Ming i Sebastian wymieniali się co tydzień w szpitalu. Sebastian przekazał prowadzenie kuchni w restauracji swoim pracownikom. Ming prowadziła praktykę prawniczą w szpitalnej poczekalni. „Ciągły wicher i błyskawice” – stwierdził młody lekarz. Z danych wyłaniał się obraz napadu padaczkowego jako błyskawicy nad jeziorem. Kilometrowe wykresy, poszarpane linie burzy w prawej półkuli. „To właściwie niesamowite, jak uważa jest Lily, że nie wspomnę o jej uroku i poczuciu humoru, jeśli wziąć pod uwagę ten ciągły szum rozpraszających wyładowań elektrycznych”.

Ming zobaczyła szerokie mętne jezioro i się rozplakała. Nie miałyby siły przez nie powiosłować, by uratować córkę, kiedy woda zacznie się burzyć od wzbierających fal.

– Możemy to zrobić – powiedział lekarz i wyjaśnił, w jaki sposób hemisferektomia mózgu da Lily szansę na życie wolne od ataków epilepsji. – Mózg dziecka jest tak plastyczny, że możemy się spodziewać, że wiele funkcji lewej półkuli zostanie przejętych przez prawą.

Ming zapisywała, co mówił. Robiła notatki za każdym razem, gdy rozmawiała z lekarzami. Musiała. Hemisferektomia, ciało modzelowate – same te słowa ją przerażały. Teraz wolną dłońią złapała Sebastiana za rękę. Może ich córka powinna zostać tutaj, bezpieczna pod opieką szpitala, bawiąc się w przyjęcia urodzinowe swoimi liliowymi i turkusowymi kucykami *My Little Pony*.

Sebastian ścisnął mocno dłoń żony, ale jastrzębi wzrok miał cały czas utkwiony w człowieku, którego ręce wytną połowę mózgu jego córki.

1997 – ŚWIETLANA PRZYSZŁOŚĆ

– Możecie państwo pójść do kina. – Lekarz wstał. – Będę operował Lily przez dwanaście godzin. Prawdopodobnie dłużej.

Sebastian uniósł ręce, jakby chciał odepchnąć od siebie tę sugestię. Nie

zamierzał się stąd ruszyć, póki córeczka nie trafi do sali pooperacyjnej.

Chirurg wzruszył ramionami.

– Też jestem ojcem.

– Zastosujmy się do zaleceń. – Anna wzięła za rękę Ming i postawiła na nogi. – Idziemy stąd.

Sebastian zaczął dziękować za to, że przybyła do szpitala, ale tylko spojrzała na niego jak na idiotę. Wszystko było ustalone. Przyjechała, żeby zostać z nimi aż do zakończenia operacji. Helen czekała w gotowości, miała się zjawić, kiedy mała będzie opuszczać oddział pooperacyjny.

Ale po wyjściu ze szpitala obie kobiety poczuły się zagubione, dzień wydawał się zbyt jasny, zbyt spokojny. Były w obcej części miasta, do której nie miały powodu przyjeżdżać, gdyby nie szpital, i żadna nie wiedziała, co jest dalej niż o dwie przecznice od parkingu. Central Park znajdował się wiele, wiele ulic dalej. Nie było tu sklepów, po których można by się poszwendać. Ziemia niczyja z mnóstwem ludzi w szpitalnych fartuchach. Ming zdecydowała, żeby nie oddalać się zbyt od szpitala.

– Nie mogę jeść, niczego nie przełknę – powiedziała.

– To pospacerujmy – zaproponowała Anna, ale gdy zmieniły się światła, jakoś żadna nie mogła się ruszyć.

Wreszcie jakimś sposobem przeszły kilka przecznic. Skręciły w lewo. Kiedy mijaly salon kosmetyczny U Lily, potraktowały tę nazwę jako znak.

– Czy to nie dziwne? – spytała Ming. – Wygląda, jakby rzeczywiście mogło tu być miło.

– Lily uwielbia ładne kolory. Powinnaś mieć jaskrawe paznokcie, kiedy się obudzi po operacji.

Pierwsza Żona. Madison Avenue. Kimono. Czytały nazwy rozmaitych lakierów do paznokci. Ming zdecydowała się na jaskrawoczerwony o nazwie Świetlana Przyszłość. Anna wybrała ostry róż nazwany Droga w Utrzymaniu.

– Te dwa właściwie nas podsumowują. – Ming roześmiała się, a kobiety w salonie zachichotały, jakby zrozumiały żart.

Jedna z pracownic nałala gorącej wody na kąpiel stóp.

– Wybiera się pani na imprezę? To dobry kolor na imprezę.

– Pewnie, na wielką imprezę. Na imprezę życia – potwierdziła Anna.

– To może dodatkowe szorowanie i masaż?

– Zamawiamy usługę ze wszystkimi bajerami – powiedziała. – Mamy mnóstwo czasu.

Ming nacisnęła guzik w poręczy swojego fotela i od podstawy siedziska aż po jej kark uruchomił się mechanizm masujący. Jej ciało falowało, podczas gdy fotel kołysał się i dygotał. Ming opadła na oparcie i zamknęła oczy.

Anna się roześmiała.

– Wyglądasz, jakbyś strasznie cierpiała.

– Bo to cholernie niewygodne. Ale miałam nadzieję, że później będzie lepiej.

Na ich oczach manikiurzystki poprzycinały i podpiłowały paznokcie, poprzycinały skórki i pościerały pumeksem podeszwy stóp. Potem było szorowanie i usuwanie martwego naskórka. Wreszcie kobiety powkładały im płatki kosmetyczne pomiędzy palce i potrząsnęły buteleczkami z lakierem, uderzając nimi w otwarte dłonie.

– Podoba się pani ten kolor? – upewniła się jedna z pracownic, kiedy pomalowała Ming duży paluch.

– Jest zachwycona – zapewniła Anna.

Ming spojrzała na nią z ogromną wdzięcznością.

– Podczas gdy Lily wycinano połowę mózgu, ja robiłam sobie pedikiur. To będzie teraz część całej historii. Czy to nie dziwne?

– Tylko małeńka część historii – odpowiedziała Anna.

2003 – BIERZ KOCHANKÓW

– Nie wychodź znowu za mąż. Bierz sobie kochanków – mówi Ming swoim pouczającym tonem. Wkłada następną szczapę do ognia. – Małżeństwo jest do rodzenia dzieci. Ty masz to już za sobą. Nie wskakuj drugi raz do tej samej rzeki.

Ona, Caroline, Anna i Helen siedzą w salonie Ming przed kominkiem. Podczas całych weekendowych odwiedzin pada deszcz. Mężowie zabrali pełne energii dzieci na kręgle. Wszyscy – oprócz męża Helen, który po roku separacji jest teraz oficjalnie niemężem. Nawet Ming, wśród przyjaciółek największa tradycjonalistka, uważa, że małżeństwo Helen nie mogło sprostać jej ambicjom jako artystki.

– Czy wy wszyscy, ludzie twórczy, nie spalacie się w małżeństwie? Nie popełniaj drugi raz tego samego błędu – ciągnie Ming.

Po lampce wina rozwiązały już wszystkie problemy Helen. Będzie prowadziła wspaniałe życie, uważają. Więcej wystaw, więcej galerii, więcej muzeów. Helen będzie coraz bardziej sławna. Będzie miała coraz więcej kochanków. Wszystko, co dotyczy Helen, jest poprzedzone słówkiem „więcej”.

– Wszystko to da się bardzo dyskretnie zaaranżować – mówi Caroline, przeciągając się leniwie niczym seksowny kociak. Opisuje, jak Helen będzie przyjmowała tabuny kochanków, podczas gdy Lucinda i Rusty będą u jej byłego. Jak szybko zaczęły mówić o nim „były” zamiast „Paul”.

– Potajemne schadzki są dobre, ale seksualne rozpasanie jeszcze lepsze.

– I będziesz stawać do raportu i wszystko nam opowiadać.

– Ale nie interesuje nas to, co złe. Nie wolno ci jęczeć: O, ja biedna i osamotniona. Trzeba było o tym pomyśleć, jak jeszcze miałaś męża. – Ming sprawia wrażenie odrobinę za bardzo podekscytowanej perspektywą rozbuchanego

życia erotycznego Helen po rozwodzie.

– Ktoś musi się bawić za nas wszystkie – mówi Anna. – Pamiętajmy, jak późno Helen odkrywała życiowe przyjemności.

– Był ten francuski kochanek. Poznałaś go na wernisażu na rue de coś tam. – Carol ekstrawagancko przeciąga grasejowane „r”.

– Mnie by pasował grecki kochanek z żaglówką.

– Czekał, czekał, Ming. To ty miałaś Greka, nie? – pyta Helen. – Czy ten antropolog nie był Grekiem?

– Ming to romantyczna obieżyświatka – zauważa Anna. – To był Alexi, jej szalony Grek. Był też Belg Maurice. I oczywiście nie zapominajmy, że poderwała Sebastiana w restauracji w Ekwadorze.

Ming nalewa sobie pół kieliszka wina.

– A teraz, drogie panie, jestem prawniczką i posiadaczką rancza w dzikich ostępach Berkshire. I dlatego właśnie naprawdę zależy mi na tym, żeby Helen zaszalała za nas wszystkie.

2009 – CIEMNOŚĆ

Lepiej, że nikt nie pytał. Helen uznała, że tak jest lepiej dla wszystkich. Niech Ming myśli sobie, że to było życie pełne romantycznych uniesień, w wielkich miastach, gdzieś na końcu świata. Niech wymyślają sobie interludia. Byli mężczyźni. Były szaleństwa. To akurat się zgadzało. Ale tak mało naprawdę romantycznych uniesień. Może na początku. Potem szybko zapadła ciemność. Komu by to pomogło, gdyby Helen ujawniła swoje stracone dni, nocne spacerunki po linie? Migotliwe kreski rozmaitych proszków, które przynosili ze sobą mężczyźni. Wkrótce sami faceci w ogóle przestali się liczyć. Co dobrego dałoby to jej najdroższemu przyjaciółkom, gdyby sobie wyobraziły, jak klęczy nad hotelowym biurkiem i rozpaczliwie liże rozwinięty papierek, szukając językiem tego ostatniego gorzkiego okruszka koki? Za oknem w jakimś obcym mieście wschodziło słońce. Jak to się w ogóle stało? A przecież się stało. Przed każdym otwarciem wystawy obiecywała sobie, że skoncentruje się wyłącznie na sztuce. Ale potem były afterparty, ktoś chwycił ją za ramię, mówiąc: „Jak chcesz zostać zapamiętana tak, jak najwięksi, musisz imprezować jak najwięksi”. Recenzje chwaliły ją z imienia. Helen – nowe zjawisko, które warto śledzić, powrót do malarstwa przedstawiającego, gdzie liczy się głębia tematu i technika, Helen – koniec ironii postwszystkoizmu. Była jak ci najwięksi; Picasso, Matisse, Basquiat. Helen. Nie zadawała sobie pytania, dlaczego nie jest znana z nazwiska. „Koniecznie musisz iść z nami” – ktoś brał ją za rękę, później były pokoje i dachy domów, zawsze jakiś mężczyzna mówiący coś, co na początku brzmiało jak pochwała, a potem promienie wschodzącego słońca, ona na kacu i głodzie w nieznanym miejscu. Byli mężczyźni. Jeden zostawił ją w szafie. Inny owinął jej

wokół kostki naszyjnik z szarych pereł, który kupił dla żony.

Anna ją przejrzała. Nie dlatego, że Helen zwróciła się do niej o cokolwiek. „Co jest grane? – zapytała. – Co ty wyprawiasz? Dlaczego nie jedziesz odebrać dzieci od Paula?”.

Helen kłamała. Przynajmniej z początku. Potem przestała odbierać telefony od Anny. Ta jednak naciskała i naciskała. Nie dawała za wygraną. Wreszcie Helen oddzwoniła. Była na ostrym głodzie, rozedrgana, napięta i spocona.

– Gdzie jesteś, Heli?

Helen popatrzyła na duży ekran telewizora, na szczelnie zaciągnięte pomarańczowe zasłony. W Berlinie. A może to było Monachium.

– Jestem w fantastycznym hotelu – powiedziała, jakby to mogło rozwiązać wszelkie wątpliwości zaniepokojonej przyjaciółki. A potem zrobiła się nieprzyjemna. – Myślisz, że jesteś teraz mną, Anno, jak wtedy, gdy musiałam zabierać cię pijaną z kolejnej szkolnej imprezy?

– Czy obok telefonu hotelowego nie ma notesu? Powinien być na nim adres, Heli.

– Nie jestem idiotką.

– Owszem, jesteś. Jesteś idiotką otoczoną zgrają idiotów. Twoje dzieci odchodzą od zmysłów z niepokoju. Wydzwaniamy do mnie. A teraz ja muszę cię sprowadzić do domu.

Helen spróbowała oskarżycielskiego tonu.

– Dobrze się bawisz, odgrywając lepszą ode mnie? Ja nie jestem tobą, Anno, z tym twoim idealnym życiem. Nie jestem idealną mamą.

Krzyknęła do telefonu:

– Nie mam żadnej z twoich zalet!

Wrzeszczała i wrzeszczała. Aż wykrzyczała wszystko. O narkotykach. O facetach. O szpitalu w Mediolanie, dokąd odstawił ją właściciel galerii. O próbie przedawkowania.

– Widzisz? – Głos Helen przycichł. – Nie jestem takim ideałem jak ty.

Naprawdę to zrobiła. Określiła życie Anny jako idealne już po tej koszmarnej diagnozie. Jak mogła tak bardzo skupiać się na sobie, być tak wpatrzona w siebie, że widziała tylko własną dupę? Nawet wtedy Anna jej nie opuściła. A powinna. Ona też Annę wykorzystywała. Płacz nad jej losem, łzawa historyjka, którą wciągała do nosa. Albo szlochała w ramionach jakiegoś faceta. Zasługiwała na to, żeby Anna ją opuściła. Praktycznie straciła już Lucindę i Rusty'ego. Zostali ze swoim tatą. „To po prostu łatwiejsze”, powiedziały dzieci, z początku obwiniając o to jej harmonogram. Kiedy nie odpuściła, Randy wrzasnął: „Mamo, dlaczego wciąż myślisz tylko o sobie? Potrzebuję po prostu normalnej matki, która troszczy się o normalne sprawy!”. Potem Lucinda przestała się do niej odzywać.

Helen traciła wszystko. Ale była malarką. Świat sztuki zwracał się do niej po imieniu. Helen. Jak do tych największych.

– Nie jestem taka, jak myślisz.

– Nie jesteś taka, jak sama myślisz – rzuciła Anna w ciszę.

2007 – POŁUDNIE

– Co ci się w tym obrazku nie zgadza? – spytała Helen, gdy ona i Anna pożegnały się z innymi członkami grupy, którzy po zakończeniu spotkania palili papierosy. Anna przyjechała specjalnie po to, by razem z Helen wziąć udział w południowym zebraniu.

– Czy to nie ja powinnam ciągać twój chudy tyłek na terapię? – Helen pomacała żeton dziewięćdziesięciu dni trzeźwości, który wrzuciła do kieszeni płaszcza.

– Takie są zalety skończenia z wielkim piciem i ćpaniem do osiemnastego roku życia, Heli. Miałaś tyle lat bycia grzeczną dziewczynką do nadrobienia.

Anna wzięła ją pod ramię. Zeszły z Hudson, kierując się ku sklepowi przy Bleecker Street, gdzie wcześniej zauważyła w witrynie świetny T-shirt. Każda miała kupić jedną koszulkę i dać ją w prezencie drugiej. Taki stary zwyczaj.

Anna odczekała, a potem zapytała o dzieci.

– Lucinda wciąż ze mną nie rozmawia. Ale pozwoliła mi przyjść na swój ostatni mecz siatkówki. A Rusty robi przerażoną minę za każdym razem, gdy wychodzę z pokoju.

– Wszystko się ułoży.

Helen pocałowała Annę w policzek.

– Powtórz to jeszcze z tysiąc razy, zanim odwieziesz mnie dzisiaj do domu.

2006 – UROCZYSTOŚĆ

Zaproszenie mówiło „Zapraszamy na nasz ślub”, a mniejszymi literami: „którego nie mogłyśmy wziąć osiemnaście lat temu”. Molly zażartowała, że mogłyby również napisać: „i na wesele, na które na pewno nie byłoby nas wtedy stać”. Hotel był gustowny, o niekrzykliwej staromodnej elegancji, z obiciami i tapetami w subtelnym wzorach i kolorach. Wszystko tutaj – przestronne pokoje, skoszone trawniki, ogrody o ścieżkach wyłożonych kamieniami – tworzyło ten uroczy, nienachalny, swobodny nastrój.

Caroline i Danny przyjechali pierwsi i ulokowali się w bujanych fotelach, a gdy przybywała reszta – Helen sama, a potem Ming i Sebastian, którzy przywieźli Annę – wszyscy po kolei brali fotele bujane i sadowili się obok nich na werandzie hotelu.

– Wszystko to przypomina wspaniałą układ baletowy – powiedziała Caroline, patrząc, jak robotnicy kończą rozstawiać namiot na trawniku.

– Za bardzo się podniecasz, że nie mamy na głowie dzieciaków – powiedział Danny.

Według Caroline wszystko było tego dnia idealne: brak korków, kształty obłoków na niebie, bułka z homarem w przybrzeżnej budce.

– Szkoda, że nie słyszeliście, jak rozwodziła się nad majonezem z bazylią.

– Przykro mi, ale jeśli nie wolno mi uważać, że to naprawdę doskonały dzień, to nie wiem już, co to doskonałość.

Wszyscy przyznali, że doskonałym pomysłem jest weekend bez dzieciaków. Oczywiście z wyjątkiem Tessy i Shany, które były druhami. Wszyscy się zgodzili, że nie należy przymuszać całego klanu do znoszenia obecności pociech. Z początku Ming, wykorzystując swój prawniczy autorytet, argumentowała, że obecność dzieci jest kluczowa. Powinny być świadkami ślubu Molly i Sereny, wydarzenia o znaczeniu historycznym dla Ameryki. Zaraz jednak jej wniosek oddalono. Sprowadzenie całej czeredy było zbyt skomplikowane ze względu na sezon sportowy w szkołach średnich i zakuwanie do egzaminów końcowych w college'ach. By nie wspomnieć o tym, że dzieci Helen właściwie nie rozmawiały z matką.

Siedząc na werandzie z Krwawą Mary w dłoni, Ming przyznała:

– Okay, bez dzieciaków już jest dużo fajniej.

Tymczasem przy namiocie Molly i Serena rozmawiały z kobietą trzymającą naręcze fioletowych peonii. Ubrane w skromne T-shirty i spodnie dresowe wyglądały, jakby wybierały się na wycieczkę po lesie, a nie jakby za pięć godzin miały wysztafirowane, w asyście córek, stanąć na ślubnym kobiercu. Nikt nie wspominał o tej sprawie na głos i wszyscy się zgodzili, że nie powinna ona przyćmić uroczystości Sereny i Molly, ale idealne było również to, że jest z nimi Anna. Tu, na tej werandzie. I rozmawia ze wszystkimi. Przeżyła chorobę, która zdaniem lekarzy powinna była ją zabić.

„Idealnie” stało się słowem kluczem w stosunku do całego popołudnia, do przedślubnego spaceru nad wodospad, do ceremonii, w której Molly i Serena w taftowych sukniach zdołały połączyć rodzinne tradycje – bostońskiego katolicyzmu mniejszości irlandzkiej oraz nowoorleańskiego baptyzmu czarnoskórych Amerykanów – tak, że ów związek wydawał się nieuchronny i konieczny nawet dla najbardziej sceptycznych krewnych.

Idealna okazała się także niespodzianka, którą Molly przygotowała dla Sereny, kiedy po obiedzie, toastach i tańcach do muzyki didżeja SureShota zaprosiła wszystkich do drewnianej chaty za namiotem. Tam w wielkim kamiennym kominku huczał ogień, a w drugim kącie izby rozstawił się ze swoim sprzętem Vince Welnick – ostatni klawiszowiec Grateful Dead – który razem ze swoim zespołem grał już *Truckin'*.

– Nie jestem pewna, jak można do tego tańczyć, ale zapraszam, dołączcie do

nas! – zawołała Molly, kiedy poprowadziła swoją pannę młodą i partnerkę od osiemnastu lat na parkiet z niebieskiego granitu.

Serena była zawołaną fanką Grateful Dead. Uwielbiała tę muzykę, ale podobało jej się także to, że zupełnie nie pasowała do jej wizerunku czarnoskórej lesbijki chirurga ortopedy i matki. Lubiła się przechwalać, że jest pewnie jedyną czarną dziewczyną z Południa w sukience z drukowanym w indyjskie wzory materiału, która w czasach młodości gibała się w rytm *Sugar Magnolia*. Teraz Serena, kręcąc głową zarówno z radości, jak i niedowierzania, mocno objęła Molly. Tessa i Shana podbiegły do nich, a one wzięły je również w objęcia.

– Powiedziałam Molly o Welnicku! – zawołała Anna, gdy wszystkie przyjaciółki tańczyły w luźnym kole. – Kiedy się dowiedziałam, że jest w trasie i gra z zespołem w przydrożnych budach, wiedziałam, że nie będzie miał nic przeciwko weselu.

Wyglądała na prawie tak podekscytowaną jak Serena.

Rozbrzmiał werbel i zespół zaczął funkować *Superstition* Steviego Wondera. Goście ucieszyli się z rytmu łatwiejszego do tańca niż piosenki Grateful Dead.

– Kto to? – Caroline wskazała dziewczynę, kołyszącą się samotnie w kącie. Wyglądała na osiemnaście lat. Najwyżej. Nawet z cienkimi blond włosami zakrywającymi twarz widać było wyraźnie, że jest na haju. A raczej naćpana.

– Przyjechała z Welnickiem. – Molly zakryła twarz rękami.

– Jego córka?

– Chciałabym powiedzieć, że tak. Bardzo staram się o niej nie myśleć.

– Kurde, to po prostu nie w porządku. – Danny wyglądał na wkurzonego, jakby powinien coś zrobić. W ich gronie było sporo córek w podobnym wieku. – To bolesne – powiedział.

Caroline położyła mu dłoń na plecach, przypominając, że to wieczór Sereny i Molly. Zasługiwały na noc niezmaconej radości.

Później Vince Welnick przesunął wzrokiem po parkiecie.

– Gdzie jest Anna? – zapytał, jakby szukał jej cały wieczór. – Anno – powiedział oficjalnym tonem, kiedy Molly podniosła za nią rękę. – Czy możesz tu do nas podejść?

Anna nie dała się długo namawiać, przebiegła między gośćmi i w wielowarstwowej spódnicy i kowbojskich butach wskoczyła na scenę. Zespół zagrał pierwsze akordy, a ona wrzuciła ramionami i posłała całusa Molly i Serenie. Potem chwyciła oburącz mikrofon i zaczęła śpiewać jak z nut *Friend of the Devil* z Vince'em na dwa głosy.

– Bałam się, że odmówi. – Wszystkie wiedziały, że Molly ma na myśli niechęć Anny do występu w tej okropnej peruce z gęstych włosów sklejących się w grube strąki.

Anna nie występowała ze swoim zespołem, odkąd zdiagnozowano u niej

chorobę, ale gdy teraz była na scenie, nie czuło się, aby nastąpił jakiś dysonans, nie widać było miesięcy spędzonych w szpitalu. Potrafiła zawładnąć zespołem. Wczuła się w muzykę. Pstrykała rytmicznie palcami, gdy tamci zagrali *Baby I Need Your Loving Four Tops*, i zaśpiewała chórki.

Molly zawczasu ustaliła wszystko z Vince'em. Ale bez względu na jej zapewnienia, muzyk był wyraźnie zaskoczony. Piosenki sypały się jedna za drugą.

Później gitarzysta użyczył Annie swojego akustycznego gibsona do piosenki Lowella George'a *Willin'*. Anna zamknęła oczy, zaczęła swobodnie trącać struny, a wkrótce dołączyła do niej harmonijka. Anna wzięła głęboki wdech. *I've been warped by the rain, driven by the snow, I'm drunk and dirty, don't ya know, but i'm still... willin'*. Zespół dotrzymywał jej rytmu. Anna się nie śpieszyła. Dała się ponieść lamentowi i nadziei obecnymi w słowach piosenki. Kiedy potrząsnęła głową, peruka trzymała się na miejscu niczym gruby hełm. Anna pozwoliła, by pauzy wypełniły salę, gdy dochodziła do refrenu, w którym pomagał jej Vince.

Kiedy skończyła śpiewać, podeszła do Vince'a i kucnęła przy jego keyboardzie. Wdali się w ożywioną rozmowę. Jakby się z nim kłóciła, jej ręce cięży powietrze niczym tępe noże. Popatrzyła w głąb sali, a potem znowu na muzyka. Później wskazała dłonią w stronę dziewczyny opartej w omdlewającej pozie o ścianę. Vince słuchał, energicznie kiwając głową. Potem wziął Annę za rękę i przyłożył je sobie do piersi. Pochylił się do mikrofonu.

– Rany. Ta drobna kobieta to prawdziwy żywioł. Zdaje się, że nie warto z nią zadzierać. A teraz dwie kolejne piosenki na prośbę Anny. Pierwsza jest autorstwa jedynej i niepowtarzalnej Laury Nyro. Dla wszystkich tych, którzy tego potrzebują.

Jego dłonie zatańczyły jazzująco i swobodnie na klawiaturze, podczas gdy Anna zbliżyła się do swojego mikrofonu. Zespół przysłuchiwał się, jak Vince i Anna śpiewają *Gonna Take a Miracle*. A potem wszyscy płynnie przeszli do *Angel from Montgomery* Johna Prine'a. Od całego tego wysiłku, by utrzymać się przy życiu, Annę ścisnęło w gardle.

Ming i Sebastian tańczyli na parkiecie – Sebastian ze swoim latynoskim poczuciem rytmu z łatwością odnalazł się w stylistyce country. Danny objął Caroline od tyłu, gdy ta kołysała się i płakała, śpiewając refren: *Just give me one thing that I can hold on to. To believe in this livin' is just a hard way to go*², a jej głos bez wsparcia mikrofonu splatał się z głosami Vince'a i Anny.

Helen podeszła od tyłu do Sereny i Molly i objęła je ramionami.

– Kurczę – mruknęła.

Molly odwróciła zalaną łzami twarz do Helen, tak, że mokrym policzkiem dotknęła jej mokrego policzka.

– Ona naprawdę umie namieszać publice w głowie.

OJCOWIE

Trzy tygodnie później Vince Welnick popełnił samobójstwo. Poderżnął sobie gardło. Tak krwawo i gwałtownie, jak się dało.

– Wiem, że nie cały świat kręci się wokół mnie – zażartowała nerwowo Molly. – Ale to chyba zmienia nastrój naszego albumu weselnego.

– Teraz przynajmniej wiemy, w jak kiepskim stanie był tamtego wieczoru – powiedziała Anna.

– Ludzie czasem naprawdę się gubią – stwierdziła Helen.

Ale wszystkie przyznały, że ciągle wspominają tamtą dziewczynę. Jej rozczochrane blond włosy, płynne ruchy, jakby tańczyła pod wodą. I to, że pod koniec wesela Ming znalazła ją skuloną na stosie poduszek w kącie chaty, a potem Danny i Sebastian chodzili z nią w kółko po namiocie, podczas gdy goście opuszczali imprezę, a obsługa hotelu składała stoły i krzesła.

1 Giął mnie deszcz, niósł mnie śnieg, jestem pijana i brudna, ale wciąż... gotowa.

2 Daj mi choć jedną rzecz, której mogłabym się uczepić. Wiara w to życie utrudnia tylko odejście.

SZKLANKA

Na dworze słyhać było hałas. Lód łomotał o wysokie okna. Drzewa kołysały się ze świstem i trzeszczały. Coś dużego z łoskotem uderzyło o dach. Plan od początku był taki, żeby przenocować u Anny, ale teraz wydawał się też proroczy. Na dworze było niebezpiecznie. Szklanka na drogach, szosa międzystanowa nieprzejezdna.

A chociaż Molly wcześniej oświadczyła, że musi jechać do domu, gdyż obawia się o Tess, inne zawetowały jej decyzję.

– Zostajesz – powiedziała Ming tonem ostatecznego wyroku. – Nie dotarłabyś tam teraz, tylko rozbiłabyś się na drodze. Nie zgadzamy się na żadne nagłe katastrofy. Nie zniosłybyśmy czegoś takiego w tej chwili. Więc wyluzuj.

Zresztą w domu było bardzo przytulnie. Świeciły się lampy. Płonął ogień w kominku. Reuben przyniósł mnóstwo drewna na opał, zanim pojechał do siebie.

– I możemy pić – zaszcebiotała Caroline, nalewając Molly pełny kieliszek cabernet. Dla Helen naląła wodę sodową z syfonu i dodała cząstki limonki. – A w każdym razie, niektóre z nas nadal mogą.

ODMŁODZIĆ

– Mogę cała się nakryć powiekami. – Helen uszczypnęła skórę nad okiem. – Przypomnijcie mi, dlaczego właściwie jesteśmy przeciwko skalpelowi.

Wreszcie w wygodnych bluzach i za dużych T-shirtach stanęły całą grupką przy lustrze w łazience. Kurze łapki, zgodziły się wszystkie, to zbyt ładny eufemizm na określenie katastrofy wokół oczu.

– Cały sekret polega na odżywieniu i odmłodzeniu skóry – powiedziała Ming, proponując przyjaciółkom tubkę kremu stymulującego wzrost komórek.

– Spróbujcie tego. – Caroline zanurzyła koniuszek palca w słoiku kremu pod oczy i wklepała odrobinę w powieki i ich okolice. – I oby działał tak, jak napisali, i robił jeszcze większe cuda, bo wydałam na niego fortunę.

– Mam pomarszczoną twarz, ale każda sekunda na słońcu była tego warta. – Molly wetknęła dwa palce w ten sam słoik.

Pożyczyła szczoteczkę do zębów od Caroline. Jak za dawnych lat. Tylko że wtedy ładowały się po dwie, czasem trzy, do łóżka, a mama zaglądała przez uchylone drzwi, udając zaskoczenie: „Ile was może się zmieścić na tym łóżku?”. Jedna z dziewczyn spała smacznie na pufie-worku. Za dawnych lat sen zawsze był smaczny.

Dzisiaj Helen będzie nocowała z Anną. Pozostałe rozlokowały się w pokojach gościnnych. Ming i Caroline przywozły własne poduszki. Każda z przyjaciółek miała kłopoty ze snem. Melatonina lub pół czegoś na receptę, ale na pewno i tak będzie czytanie w środku nocy. Przyznały się sobie do chrapania. Poranki nadchodziły coraz wcześniej.

MEŻCZYŻNA

Potem zjawił się ten mężczyzna.

Wszystkie zamarły, ale on wydawał się jeszcze bardziej zaskoczony, gdy zobaczył je wylegające się na kanapach.

– Pomyślałem, że jeszcze wpadnę. – Głos mu zadrżał.

Był kosmaty i przemoczony, woda kapiała z niego na ciemną sosnową podłogę.

– Anno – powiedział z cicha.

– Ona odpoczywa, Jarrett – odezwała się powściągliwym tonem Ming.

Och, to Jarrett. Pozostałe się rozluźniły. To tylko Jarrett, facet z zespołu, ten, który grał na gitarze prowadzącej.

– Chciałbym na chwilę zostać sam z Anną.

– Jest zmęczona całym dzisiejszym dniem – odrzekła stanowczo Ming.

– Właśnie dlatego wróciłem. Żeby dla niej pograć. Piosenki, które pomogą jej zasnąć.

Sprawił wrażenie nieugiętego. I zagubionego. Mokra broda, mokra wełniana kurtka w kratę, kałuże wody wokół obu buciorów. Jak zbity z tropu drwal Paul Bunyan. Nie, raczej przemoczony Tchórzliwy Lew.

– Zostajemy na noc, Jarrett – wtrąciła się Molly. – Wpadnij jutro, Jarrett. – Jej głos był ustawiony w innym rejestrze asertywności, łagodny i wyznaczający granice – głos, od którego rozmówca się kurczył. To, jak powtarzała jego imię, było obliczone na podkreślenie stosunku podległości.

– Może chociaż jedna piosenka. – Jarrett wyglądał, jakby miał się rozplakać. Właściwie wyglądał, jakby płakał już od jakiegoś czasu.

Wiedziały, że Anna zaprosiłaby go do domu. Zrobiłaby miejsce dla jego zwalistego przemoczonego cielska na kanapie, nalałaby kieliszek wina. Dałaby mu się wygadać, zrzucić kamień z serca. Zagrać na gitarze. Czy to znaczyło, że same też muszą mu na to wszystko pozwolić?

Molly wstała z kanapy i podeszła do niego.

– Jutro.

Wyciągnęła rękę i położyła mu dłoń na ramieniu. Jarrett rozsypał się pod jej dotknięciem, ten barczysty, masywny facet; zdawało się, jakby całe jego ciało rozpadło się na kawałki, a potem gdzieś z głębi wydobył się zdławiony, bolesny dźwięk. Łkanie jak ośli ryk? Jak huk spadającego kamienia? Jak zwierzę

w potrzasku? Jak coś, czego żadna z nich nigdy wcześniej nie słyszała.

Po tym, gdy Molly wyprowadziła Jarretta za drzwi, a Ming zjrzała do Anny, kiedy Caroline naląła do szklaneczek wina lub wody sodowej, wszystkie cztery zamilkły. Nie było to dobre milczenie, milczenie ulgi po całym dniu krzątania i zgiełku – pokrzepiania, goszczenia, odganiania – i na pewno nie wspólne milczenie we czwórkę, na które czekały cały dzień. Było to milczenie po sytuacji awaryjnej. Nie umiały się otrząsnąć po rozpaczliwym widoku mokrego i kapiącego wodą przybysza, po tym pierwotnym dźwięku, który wyrwał mu się z gardła, ani po tym, jak Jarrett runął, rozsypał się jak wieża z drewnianych klocków. Wszystkie cztery nie tyle milczały, ile raczej dryfowały. Każda z nich samotna jak rozbitek. Potem wzięły się w garść i znowu przysiadły jedna obok drugiej.

Caroline uniosła kieliszek.

– Właściwie zasłużyłaś na miano bohatera narodowego, że wypchnęłaś tego drwala za drzwi.

Molly pociągnęła pełen wdzięczności, upragniony łyk cabernet.

Rozległy się aprobujące pomruki i potakiwania.

Chwała Molly.

Chwała Ming, że sobie przypomniała, że Jarrett ma na imię Jarrett.

Chwała im wszystkim, że nie wrzasnęły i nie dostały zawału, kiedy nagle się zjawił.

– Jak Wielka Stopa prosto z lasu – powiedziała Helen.

Chwała za to, że w ogóle słyszą swoje głosy w tym pokoju.

– Stanowczo jest zakochany w Annie po uszy.

– Cały zespół w niej się durzy.

– Myślicie, że doszło między nimi do jakiegoś bzykanka, o którym Anna nigdy nie raczyła nam wspomnieć?

– Kto to właściwie był ta Betsy z pracy?

– Widziałyście, jak sprawnie Caroline poradziła sobie z tą sąsiadką wariatką?

– Wariatką?

– Na pewno ma żółte papiery.

– Koniec z tym mruzeniem modlitw.

– I musimy porozmawiać o tych chorągiewkach.

– Nie można by tego zakazać na całej kuli ziemskiej?

– Może z wyjątkiem Dharamsali.

GLÓD

– Hej.

Tak po prostu: Anna. Obudzona, przysła o własnych nogach i stanęła oparta o framugę drzwi do łazienki. Z wypiekami na twarzy okolonej pasemkami włosów, które wysypały się z poluzowanego warkocza.

– Jest coś do jedzenia? – Wyglądała przepięknie. Może to przez obrzęk, ale dziś wieczorem nie miała zmarszczek.

– Widzisz? – Helen trąciła łokciem Ming. Pal sześć tę chujkową karteczkę przyklejoną przez Reubena na lodówce. – Nadal jest zainteresowana.

Odgrzana zapiekanka bakłażanowa z parmezanem. Łosoś. Ser kozi i krakersy. Sama możliwość zadania przez Annę tego właśnie pytania nadawała sens wypychaniu lodówki jedzeniem po brzegi.

Nagle wszystkie zrobiły się głodne.

Ming zapaliła świece.

– Powiedz mi, co z Tess – poprosiła Anna Molly, gdy już bez niczyjej pomocy podeszła do długiego stołu farmerskiego. – Zostały jeszcze jakieś lody? – spytała i natychmiast zmaterializowało się przed nią pięć półlitrowych pojemników.

– Chodzi o więcej niż tylko o trawkę. Boję się, że to, co się dzieje z Tess, to coś naprawdę poważnego. – Molly usiadła obok Anny, podczas gdy po drugiej stronie kuchennej wyspy reszta przyjaciółek zajęła się przygotowywaniem uczy. Molly cieszyła się z tej odrobiny czasu sam na sam z Anną. Starła się opowiedzieć wszystko, zanim dołączy do nich reszta. – Wyczuwam, że coś jest bardzo nie halo.

– Powoli, kochanie. Przypomnij sobie, jakie same kiedyś byliśmy. Musisz pamiętać, jak nam odbijało – powiedziała Anna, wbijając łyżeczkę głęboko w lody z kawałkami czekolady.

– Dobrze, że mi przypomniałaś. Rodzicielstwo to trudna sprawa.

– Nie miałaś najlepszego wzorca. – Caroline usiadła obok nich i nasmarowała dwa krakersy kozim serkiem. Kiedy inne pokiwały głowami, Molly poczuła, jakby przebiegł jej prąd po krzyżu.

– Rzeczywiście. W modelowej rodzinie to ja się nie wychowałam. – Ilekroć zdawała sobie sprawę, że tamte zauważają choć część jej traumy, czuła bolesne ukłucie.

– Cieszę się, że mamy tę noc dla siebie. – Anna zgarnęła łyżeczką miękkie na brzegach pojemnika lody z orzeszkami pekan w karmelu.

Podczas jedzenia nie przestawały się na nią gapić.

– Postanowiłam odstawić jedzenie – powiedziała. – Ale obudziłam się z wielką ochotą na lody. I niech tam, przecież jutro też mogę się zabrać poważnie do przygotowań na tamten świat.

– Ty to masz fantazję. – Caroline się zaśmiała.

– Pewnie. Aż do granicy, zza której nie ma odwrotu, Carrie.

– O co ci chodzi? – Helen zakryła twarz dłońmi. – Chcesz zostać Joan Rivers umierania?

Anna trąciła ją łokciem.

– Wyluzuj, Heli, nie zachowuj się jak tamta nudna, grzeczna dziewczynka,

którą kiedyś byłaś. Zabawmy się trochę.

– Chciałabym, ale nie wiem, czy potrafię. – Helen zerknęła przez palce, a potem opuściła dłonie. – Naprawdę czujesz się tak swobodnie?

W tym pytaniu nie było gniewu. Helen nie czuła już wściekłości, która nie dawała jej spokoju przez cały dzień.

– To rzeczywiście dziwne. Całymi latami walczyłam, żeby choroba nie określała tego, kim jestem. Tak bardzo mi na tym zależało, tak bardzo się starałam. Teraz widzę, że choroba mnie nie określiła. Miałam takie słodkie życie. Dzieci. Rodzinę. Was wszystkie.

– Czujesz się gotowa? – spytała Molly.

– Tu nie chodzi o gotowość. Kto by był gotów wyrzec się całej tej słodyczy? Chodzi o to, że tak naprawdę mnie już tu nie ma.

– Ale mówisz, że cieszysz się, że jesteśmy tu razem tej nocy – odrzekła Helen. Tak bardzo jej ulżyło, że wreszcie wszystkie rozmawiają. Nie o dzieciach. Tylko o tym.

– Nie umiem tego wyjaśnić. Przykro mi.

– To takie słodko-gorzkie. – Ming wylizała metalową łyżeczkę. Nie próbowała nawet zetrzeć z twarzy łez.

– Tylko słodkie – powiedziała Anna i wzięła pojemnik lodów waniliowych.

ZALETY

Przynajmniej już nigdy więcej nie będzie musiała czyścić zębów nicią dentystyczną.

Ani golić nóg.

HISTORIA SZTUKI, CZĘŚĆ 4

Helen zawsze się podobało, że Leonardo da Vinci namalował *Ostatnią wieczerę* na ścianie refektarza klasztoru Santa Maria delle Grazie, tak że zakonnicy spożywali codzienne posiłki wśród dwunastu apostołów. Jakby apostołowie i Chrystus byli tuż obok, przy stole, za mnichami. I wszyscy na obrazie zostali przedstawieni w różnych fazach reakcji na pytanie Chrystusa. Uwielbiała ruch w tym malowidle, ukazanie istotnego dramatu. W *Wieczery* Helen będzie pięć kobiet w średnim wieku, bez staników, przy późnowieczornym stole zastawionym pojemnikami lodów, syfonami z wodą i winem. Kobiety będą rozmawiały tak samo, jak robiły to od dziesięcioleci. Zamiast sielankowego krajobrazu za oknami u Leonarda da Vinci, Helen namaluje tę gwałtowną burzę, niezmordowany wicher i lód. Warstwy historii. Tajemnic. Stare urazy i przymierza wyłożone na stół pomiędzy talerzami i kieliszkami. Kobiety są ożywione, drocą się ze sobą, przeskakują z tematu na temat, jakby jutro miał być koniec świata.

ROZKWIT

– Opowiedz mi o Lily, Ming. – Anna chciała się dowiedzieć, ale przede wszystkim pragnęła odpłynąć.

Wciąż siedziały przy długim drewnianym stole. Nie wyobrażała sobie, że kiedykolwiek uda jej się od niego wstać. Zamknęła oczy. Lily w college'u, kto by przypuszczał? Wydawało jej się, że pokiwała głową. Nowe wyróżnienia. Och, Lily. Codziennie udowadniała, że zasługuje na swoje imię, pięknie rozkwitająca i wytrzymała.

– I jakby tego było mało... – Anna usłyszała głos Ming, która opisywała, jak Sebastian wyposażył subaru w specjalne udogodnienia. Lily zdała egzamin na prawo jazdy za pierwszym podejściem. – A w szkole ma chłopaka. Chciała, żebym ci to powiedziała, Anno.

Potem Anna jechała z Lily wąską drogą. Było lato. Lily prowadziła samochód i mówiła: „On za mną szaleje”. Skupiska jaskrawopomarańczowych lili tygrysi obficie porastały trawiaste zbocza. Szukały stawu. Staw był skuty lodem. „Popływamy w jeziorze polodowcowym” – powiedziała do Lily.

Nagle gdzieś w pobliżu Ming krzyknęła:

– Dajcie koc! Prędko! Dzieje się coś złego! Anna cała się trzęsie!

GORĄCZKA

Nadeszło błyskawicznie. To drzenie. Drżała jak liść. Dosłownie. Była równie chuda. Krucha. Próbowwała się odezwać, ale nie mogła wymówić słowa. Zęby dzwoniły jej tak mocno, jakby miały się pokruszyć.

– Ona płonie. – Molly wzięła Annę na ręce jak dziecko i zaniosiła ją do sypialni.

– Ale ziąb. – Anna ledwo wydusiła to z siebie.

Podniosła wzrok na Molly. Dygotała tak gwałtownie, że skóra na jej twarzy się trzęsła. Jakby miała zejść płatami. Czy to wszystko przez lody? Czy powinny były wziąć pod uwagę, że lody mogą jej zaszkodzić? Skupiły się wokół niej. Ale gdy ją owijały w koce, wykopywała się z nich. Ciało Anny trzęsło się z siłą, jakiej nie miała przez cały dzień. Nie chciały podnieść poręczy z obawy, że będzie się o nie obijać.

– To nie napad padaczki – zapewniła je Ming. W każdym razie nie taki, jakie widywała u Lily.

Stały wokół łóżka i przytrzymały miotającą się Annę. Reuben powiedział, żeby zadzwoniły, gdyby działo się coś bardzo złego. W którym miejscu na skali złego znajdował się ten przypadek? Popatrzyły po sobie. A jak to już? Jeśli to koniec? Jeżeli ona umiera? Pod ich opieką.

Paracetamol? Czy to wbrew zasadom, żeby podawać paracetamol przy wysokiej gorączce? Czy istniały jakieś zasady opieki paliatywnej?

– Zadzwoń do Johna. – Helen miała telefon do Connie.
– Nie – odezwała się Anna. Miała niewyraźny głos, jakby dobiegał z oddali. Ale mimo wszystko to był jej głos. – Nie dzwońcie do nikogo. To się zdarza. Samo ustąpi.

- Możemy coś dla ciebie zrobić, kochanie?
- Rozmawiajcie o ciepłych zakątkach świata.

NOCOWANIE

– Anno – spytała Ming – pamiętasz windsurfing?

Helen położyła się za Anną na łyżeczkę, a Caroline z przodu. Helen przysunęła się tak, że jej nogi stykały się z nogami Anny.

Ming podniosła boczne poręcze, żeby żadna z nich nie wypadła. Anna była niczym strzępek między Helen i Caroline. Bały się tulić do niej zbyt mocno. Szczekanie jej zębów wydawało się głośniejsze niż zwykle dzwonienie.

– Opowiedz im. – Głos Anny zabrzmiał cicho i słabo między nimi.

Ale wszystkie znały tę historię. To była jedna z ulubionych szpitalnych opowieści, jedna z tych, których Anna lubiła słuchać po przebudzeniu z gorączki neutropenicznej lub w ciągu szarpiących nerwy godzin po odstawieniu leków, gdy czuła się, jakby miała wyskoczyć ze skóry. O plaży w Hiszpanii, gdzie Ming, Sebastian, Anna i Reuben spędzili raz wakacje z dziećmi. Opowiadano to sobie w kółko podczas leczenia. Teraz wszystkie znały już wersję Ming, wersję Reubena, a nawet wersje dzieci. Oczywiście, była też pełna irytacji wersja Helen zdenerwowanej, że została wykluczona, bo wyjazd został zaplanowany tak, że absolutnie nie miała możliwości wybrać się z nimi. Raz, gdy Anna miała halucynacje po lekach, Caroline, mimo że jej również nie było w Hiszpanii, opowiedziała pielęgniarce wersję, w której jej rodzina też brała udział w wycieczce. Wszystkie opisywały tę jazdę krętymi drogami wzdłuż wybrzeża, strome skaliste urwiska i cierpiące na chorobę lokomocyjną dzieciaki. Domino zwymiotował. Do ilu wymiotów może dojść w jednym samochodzie? Sebastian i Reuben z uporem godnym lepszej sprawy chcieli jechać aż do Sewilli, gdzie mieszkała kuzynka Sebastiana, aż w końcu Ming i Anna, maksymalnie wkurzone już od kilku godzin, stanęły okoniem, tak więc zatrzymali się w Tarifie, która okazała się hiszpańską mekką windsurfingu. Nie tylko zwykłego windsurfingu, bo były też zatoczki, gdzie surfowano nago, czego, owszem, wszyscy w ciągu trzydniowego pobytu spróbowali, włącznie ze słynącą ze skromności Ming. No i jeszcze Azul, hotel i restauracja, gdzie Sebastian i bardzo przystojny szef kuchni Roberto urządzali pojedynki na paille i pieczoną jagnięcinę, a po kolacji Anna zaśpiewała z Robertem i jego zespołem *Hotel California*.

– Anno, pamiętasz te przepiękne niebieskie kafelki w recepcji? – zapytała Ming.

Składała pranie, które zrobiła wcześniej, w ciągu dnia. Ciągłe prosiła Annę, żeby sobie coś przypomniała. A to treliaż z kwiatami pomarańczy, a to zapach jaśminu. I wściekłość kuzynki Sebastiana za to, że nie dotarli do niej do Sewilli. Dzieci, szczęśliwą bandę oblepionych piachem dzikusów, łączące wszędzie całą grupą.

Ming opisała kupki drewna wyrzuconego na brzeg, które zbierały dzieciaki, i zapach suchej wanilii unoszący się z opalanego drewnem pieca. I jak ostatniego wieczoru Roberto z Anną śpiewali flamenco.

– Ale go pociągałaś, Anno. – Ming wyciągnęła rękę i przyłożyła dłoń do czoła przyjaciółki.

– Co w tym dziwnego? – rzuciła Molly. – Widziałaś dzisiaj członków kapeli? Wszyscy się w tobie kochają, Anno.

– Anno, pamiętasz, jak mówiłam, że Reuben by ci wybaczył, gdybyś została? Musiałby, Anno. To flamenco było takie ogniste, a Roberto tak przystojny.

– Masz dość miejsca, Anno?

– Wróćmy do Tarify – powiedziała Ming. – Dobrze, Anno?

W każdym zdaniu było imię Anny.

TMNa zegarze obok łóżka widnieją cyfry 11:11. Wszystko ułożone, w pionie, pojedynczo i w parach są takie same, godzina palindromowa. To szczęśliwy moment, dwa razy w ciągu doby. W każdej nagłej sytuacji zagrożenia życia, przy każdym nawrocie, Helen życzyła sobie, żeby Anna przeżyła. Życzyła sobie także wytrwania w trzeźwości, wybaczenia i zrozumienia ze strony dzieci, udanego kolejnego obrazu. Wyprosiła sobie w ten sposób mężczyznę, którego pokochała. Życzyła sobie dobrego życia wspólnie z nim. Czy nie za dużo już było tych życzeń? Czy nie zostało jej ani jedno, które by się spełniło? 11:11. Anna to palindrom. Asa to też palindrom. Helen przyłożyła policzek do pleców przyjaciółki, przesuając nim po tkaninie bluzy do chwili, gdy zahaczyła o wystającą kość łopatkową. Drzenie ustało. Anna oddychała lekko i spokojnie.

Zegar na wyświetlaczu piekarnika pokazał 11:12, ale równomierny oddech Anny w łóżku odmierzał własny czas.

Anna nie pachniała już Anną.

CISZA

Teraz jest cicha i spokojna, jej organizm zwolnił. Myśli się uspokoiły. Sny są spokojne. Jej oddech przypomina łykanie powietrza, nie oddechy. Nawet jej pierdzenie się uspokoiło. To Annę rozbawiło.

SKRYBA

I spójrzcie tylko! Nie musi nawet czekać na skrybę.

„Najdroższe Moje”. Tak Anna mówi do nienarodzonego dziecka. To będzie

dziewczynka. „Najdroższe Moje” – powie wszystkim chłopcom i dziewczynkom, które pojawią się później.

Pozostałe są w pokoju, ale ona rozmawia tylko z tym jeszcze nienarodzonym. Píše list. Píše długą książkę dla „Najdroższego Mojego”.

„Najdroższe Moje” jest znacznie bliżej niż cała reszta.

Spójrz, stoją razem przed bramą, Anna i ta przepiękna delikatność, pierwsze dziecko jej pierwszego dziecka.

KWIECIEŃ 2013

SEZON BŁOTA

Wrócili z szelestem papierowych toreb, szumem plastikowej folii, pstryknięciami odkręcanych nakrętek. Przy kuchennych drzwiach zrzucili z łoskotem buty, z ziemią w bieżnikach podszew i na zdartych obcasach, a mimo to przy zamiataniu zawsze słychać było chrobotanie drobinek naniesionego błota. Sezonu błotnego nie sposób było utrzymać na zewnątrz. Chodzili po pokojach w znoszonych bawełnianych skarpetkach, pytając: „Czy Annie czegoś potrzeba?”. Siadali przy łóżku lub kładli się obok niej, pachnąc miastem – sklepem i chodnikiem – benzyną samochodową i lawendowym płynem do prania. Na ich ubraniach czuć było posmak restauracji – imbiru i czosnku, lepkich oparów smażeliny. Jedzenie było jak wakacje, na których była wiele lat temu. Jak miejsca, których nie mogła już sobie dobrze przypomnieć. A to, co pamiętała, nie powinno było znaleźć się w obiektywie: białe ucho porcelanowego kubka w jakiejś kawiarni, brzęk metalowych wieszaków w sklepie, gdzie ostatniego lata kupiła sukienkę. Musi oddać ją komuś. Musi oddać wszystkie rzeczy ze swojej szafy. Wyobraziła sobie, jak jej sukienki śpieszą przez miasto, łopot falbanek na przejściu dla pieszych, sukienka w kształcie litery „A” wybiera pieniądze z bankomatu. Wciąż знаła dźwięki tego domu, skrzypienie szafki pod zlewem, łoskot zablokowanej szuflady w komodzie i trzeszczenie nierównych stopni schodów, prowadzących do pustych pokoi dzieci. Dzieci, które wróciły do tych pustych pokoi, przychodziły i kładły się obok niej. „Mamusiu, mogę ci coś powiedzieć?”. „Proszę” – odpowiadała, kiedy mogła się odezwać, lub po prostu kiwała głową raz po raz, gdy pytali, czy chce, żeby nadal opowiadali. Chodzili na rozmowy o pracę i na filmy z napisami, nakręcone w krajach, gdzie wyświetlanie ich było zabronione. „Do zobaczenia niedługo, mamo” – żegnali się, a potem wracali. „Nie uwierzysz, na kogo dzisiaj wpadłem” – mówili. Próbowwała wyobrazić sobie, jak w biegu wpada na kogoś niespodziewanie, ale wszystko to ją dezorientowało; nie rozumiała, jak ktoś może dokądś dotrzeć, po co i skąd. Ktoś został, a ktoś inny wrócił. Pielęgniarka spytała: „Wygodnie pani?”. Przynieśli kwiaty z ogrodu. „Proszę, to twój ogród” – powiedzieli, tak żeby nawet z zamkniętymi oczami zobaczyła słoiki narcyzów i tulipanów. „Co za wiosna – zachwycali się. – Moglibyśmy wynieść cię na dwór”. Wkrótce zakwitną bzy, obiecywali. Twoje ulubione.

Pokręciła głową.

Nie są twoje ulubione?

Nie. Na dworze kwiecień. Anna odsuwa od siebie perspektywę maja.
SKRYBA

Pragnie więcej powiedzieć. To, co ma do przekazania, jest proste, ale brzmi jak frazesy. Miej odwagę. We wszystkim. Przyglądaj się z bliska kwiatom. Słuchaj wiatru. W liczbach kryje się ukojenie. Aby zagwizdać mocno i czysto, napnij i zwilż źdźbło świeżej trawy między kciukami. Potem dmuchnij. Bądź głupiutkie. Wygłupy są dobre. Sumiennie myj zęby. Kochaj gorąco. Kiedy zabraknie ci odwagi – a zabraknie – znajdź ją ponownie.

CONNIE I JOHN

– Wreszcie będzie sobą. W zgodzie z własną wolą. Bez żadnych procedur leczenia paliatywnego. – John opuścił poręcz i usiadł na brzegu mechanicznego łóżka.

Teraz, gdy przebywał w pokoju Anny, cały czas był tylko Johnem, nawet gdy dwa dni temu z powodzeniem wyłączył defibrylator i zostawił działający rozrusznik.

– Chociaż nigdy nie była pacjentką, która stosuje się do wszystkich zasad leczenia.

– Co masz na myśli? – warknęła Connie w obronie Anny, podczas gdy druty do robótek stukwały jak znaki przestankowe. – Co ty mówisz? – Była na skraju wyczerpania. Ostatnie dwie noce spędziła u przyjaciółki. – Oskarżasz ją, że zrobiła coś złego? – Sen Anny był coraz bardziej niespokojny, towarzyszyły mu skurcze nóg, nieprzyjemne majaki. Zdarzały się ostre halucynacje i nagłe przyływy energii.

Dziś rano John zajrzał do nich przed wyjazdem do pracy, przyniósł termos z kawą i kubek w żółte irysy Connie. Była wdzięczna za kawę, ale jeszcze bardziej ucieszyła się, że może zobaczyć twarz męża. Wystarczyły dwie noce, a ich życie, dom, pierwsze pąki na drzewach w ich ogrodzie wydały się tak odległe, prawie jak widok we wstecznym lusterku. Wszystko skurczyło się teraz do kawałków lodu, nawilżania spierzchniętych warg, do radzenia sobie z halucynacjami.

Ale oto zjawił się John. Wciąż żałowała, że jest tu nie tylko jako jej ukochany mąż, lecz także jako lekarz.

– Mówię tylko, że z lekarskiego punktu widzenia potrafiła być denerwująca. Co ci mam powiedzieć, Connie? Anna nie była idealną pacjentką. Z jednej strony jest po swoim uparta. Z drugiej strony prawdopodobnie funkcjonowała tak dobrze tylko dzięki mechanizmowi wyparcia.

Connie pociągnęła za koniec motka spoczywającego w torbie. Wybrała trudny ścieg, który wymagał koncentracji. Różne kolory włóczek, a także druty z żyłką. Ale przez cały czas robiła podstawowe błędy – gubiła oczka, myliła się

w liczeniu. Skomplikowany wzór wydawał się dobrym pomysłem, bo pozwalał skupić na czymś myśli. Teraz jednak Connie żałowała, że nie wybrała czegoś banalnego, prostego robienia oczka za oczkiem rząd za rządem.

– Myślisz, że jej nie znam?

Connie wiedziała, że John nie to ma na myśli. Jej głos zrobił się piskliwy. Lepsza przyjaciółka zmusiłaby Annę do przychodzenia na każde badanie, do wypełniania wszystkich zaleceń medycznych. – Czasami po prostu musiała się poczuć inaczej niż każda pacjentka – powiedziała.

– Nie, Connie, wiem, że ją znasz. Po prostu warto zdawać sobie sprawę, że jej umieranie będzie takie samo jak życie.

– Hej, wciąż tutaj jestem – wtrąciła się Anna spod stosu kołder na łóżku. – Przynajmniej technicznie rzecz biorąc.

John i Connie parsknęli śmiechem, Connie prawie histerycznym. Wyraźnie dla obojga było aż nazbyt ważne, że Anna wciąż może ni stąd, ni zowąd zażartować.

„Ona to, ona tamto” – Connie wiedziała, że to kolejna rzecz, jakiej Anna nienawidzi w byciu pacjentką.

– Rany, ale z ciebie wrzód na dupie – powiedział John. Zamaszystym ruchem przesunął dłonią po kołdrze, przyglądając ją w poszukiwaniu ramienia Anny. – Nieprzewidywalny wrzód na dupie.

Connie odłożyła robótkę na kolana i wzięła kubek z kawą. Oto jej mąż trzymał Annę za rękę. A potem – wiedziała, że John nie może się powstrzymać – jego palce zsunęły się na nadgarstek chorej i dostrzegła, jak zmrużył oczy w skupieniu, mierząc Annie puls.

SKRYBA

Wybierz jakąś liczbę, Najdroższe Moje. Pomnóż ją przez dwa. Dodaj dziewięć. Odejmij trzy. Podziel przez dwa. Odejmij pierwotną liczbę. Twój wynik zawsze wyniesie trzy.

Nie wspomnienia krążą jej w głowie. Tylko matma. Sztuczki matematyczne.

Wybierz jakąś liczbę. Pomnóż ją przez dwa. Podziel przez dwa. Odejmij pierwotną liczbę. Twój wynik zawsze wyniesie pięć.

Najdroższe Moje, wybierz liczbę, myśli Anna. Podnieś ją do kwadratu.

MING W DRODZE

– No więc co pani właściwie sądzi?

– Proszę dać mi chwilę na zastanowienie.

Ale zamiast rzeczywiście zastanowić się nad negocjacjami rozwodowymi klientki, Ming pomyślała, że powinna szybko wyjść z sali. Pojechałaby prosto do Anny. Przez cały tydzień toczyła ze sobą wewnętrzną dyskusję. Helen miała rację. Poddała się zbyt łatwo, pozwoliła się przekonać emocjom. Oddała pole bez walki.

W praktyce prawniczej poczytywała sobie za powód do dumy, że spokojnie kontynuowała sprawę, gdy klienci gotowi byli skapitulować. Radziła, żeby nie pozwolili, by okoliczności podyktowały warunki zbyt łatwej ugody. Opieka paliatywna była taką łatwą ugodą. Jak to możliwe, że ona, Ming, nie pojęła tego wcześniej? Po tygodniu, odkąd u niej były, Anna najwyraźniej nie tylko dobrowolnie przestała przyjmować pokarm, ale też kazała wyłączyć sobie rozrusznik. Mimo wszystko Ming potrafiłaby to wszystko odwrócić. Anna mogła znowu zacząć jeść. Można było znowu włączyć rozrusznik. Ming by ją przekonała. Jej logiczna argumentacja zadziałałaby lepiej niż szantaż i pogróżki Helen. Nawet jeśli rozsądne argumenty Ming w pierwszej chwili nie zdołały przemóc impulsywności Anny, zwykle ta przyznawała później, że powinna była jej posłuchać.

– Zastanowiła się już pani?

Ming z trudem puściła płazem kąśliwy ton i uśmiech adwokata drugiej strony. Aż zakręciło jej się w głowie. Wystarczyło pomyśleć, że mogłaby odsunąć wysłużone krzesło obrotowe i wstać od stołu rozmów, by pojechać do Anny, gdzie jej umiejętności negocjacyjne przydałyby się bardziej niż podczas dyskusji o wysokości alimentów dla jej klientki i o tym, kto ma zapłacić za pobyt dzieci na obozie letnim.

Owszem, pomysł wyjścia z sali sprawił, że Ming poczuła się lepiej, niż czuła się przez wiele tygodni.

Wystarczyło, żeby wstała.

Zamiast tego zagłębiła się bardziej w fotelu i przesunęła dłonią po zarysowanej powierzchni tekowego stołu konferencyjnego.

– Myślę, że powinniśmy iść do przodu i postarać się nie podważać uzgodnień, które na ostatnim spotkaniu obu stronom udało się tak dobrze omówić – oświadczyła.

Ponieważ bez względu na to, jak wspaniałe było jej marzenie, istniały dwa

rozsądne powody, dla których wciąż siedziała przy stole.

Przede wszystkim była aż do bólu obowiązkowa. Nie zanieczywała niczego. Nie uciekła nigdy z żadnego spotkania. Dzięki ojcu zawsze cieszyła się z nadmiaru pracy, a od czasu gdy otworzyła własną kancelarię, nigdy nie udało jej się wyłączyć genu niepokoju: była przekonana, że nikt w tej małej społeczności na północy stanu nie wynająłby prawnika kobiety z chińskim imieniem i ekwadorskim nazwiskiem. Wciąż obawiała się, że klienci przestaną przychodzić. Z tego powodu pozostała na posadzie doradcy w swojej starej kancelarii w Albany, u Wintersa i Trella. Sebastian próbował jej tłumaczyć, że już od dwudziestu lat przejmuje się bez potrzeby, że jej kancelaria ma się świetnie i że to jego praca w branży restauracyjnej jest dużo bardziej narażona na kaprysy losu. Co on tam wiedział? Dzięki płynącej w jego żyłach latynoskiej krwi był tak optymistycznie nastawiony do życia.

Ale w gruncie rzeczy, tak naprawdę – bo kogo Ming chciała oszukać? – praca przynosiła jej ulgę. Miło było ruszyć głową i skupić na czymś uwagę, zawęzić pole widzenia do tego stopnia, że traciła z oczu Annę. Mijały godziny. Z dobrym nastawieniem na pewno by coś osiągnęła. Nawet przy rozwodzie, który się przeciąga jak ten obecny, w pewnym momencie w żmudnej płątanie ludzkiej małostkowości dostrzeże ścieżkę, która doprowadzi strony do satysfakcjonującej ugody. Na ludzką przyzwoitość nie należało liczyć, jak się przekonała, ale można było liczyć na działanie prawa. Ming wierzyła w prawo. To właśnie wyróżniało ją wśród innych adwokatów: rzeczywista wiara, że logika prawa pomaga przewycięzać ludzkie słabości. W tych negocjacjach rozwodowych Ming też zatriumfuje. A nawet jeśli przegra, to kto tak naprawdę na tym ucierpi?

Porażka związana z Anną to inna sprawa.

– Teraz już nie ma odwrotu. – Wczoraj Helen doniosła, że Anna jest ledwo przytomna. To traci przytomność, to ją odzyskuje. Głównie traci.

– Nieprawda – odparła Ming. Mogła popracować nad Helen, ściągnąć Annę z powrotem. – Przepraszam, że nie poparłam cię w zeszłym tygodniu.

Zamierzała skończyć – doprowadzić do finału te idiotyczne negocjacje dotyczące obozu letniego i czesnego za college – a potem wyjść ze spotkania i pojechać z gór Berkshire na wschód do Doliny. Wykorzysta całą potęgę swojej logiki, by przekonać przyjaciółkę. Sebastian przygotował obiad i kolację w nadziei, że Ming uda się namówić Annę do jedzenia. W samochodzie była lodówka i wiklinowy kosz z potrawami, które organizm Anny łatwo mógł przyswoić. Znowu zupa grzybowa z czosnkiem. Miód i pyłki od pszczoł Sebastiana.

Było jej przykro, że już straciła chwilę. Nie może tracić czasu. Anna jest jej petardą radości, zawsze była. To Anna wytrąciła Ming ze świata sztywnych zasad i porządku, które narzucili surowi rodzice. Anna żyła z pasją i swoim przykładem zdawała się przekonywać, że każdy może robić tak samo. Wiele lat później to Anna

nakłoniła Ming do żartów, podczas gdy chirurdzy usuwali Lily część mózgu. Siedziały w tych głupich fotelach z masażem, zażyczywszy sobie pedikur, i wystarczyło, by Anna na nią spojrzała, a Ming od razu robiło się lżej. Nikt inny nie umiał jej rozbawić z taką łatwością.

– Trzymasz się? – Ming dotknęła ramienia swojej klientki.

Klientka, Jenny Hyde, przybrała powściągliwy, zacięty wyraz twarzy zarezerwowany na tego typu spotkania, zbroję z pudru i pomadki. W zeszłym tygodniu, przeciwnie, Jenny przyszła do kancelarii na lunch. Wcześniej była w stadninie – zero makijażu, strój jeździecki; wyglądała pięknie. We dwie usiadły na tylnej werandzie przy kancelarii Ming, chłonęły wiosenne ciepło i jadły kanapki z indykiem.

– Właściwie to mi go brakuje – ni z tego, ni z owego powiedziała Jenny. – Obudziłam się dziś rano i przypomniałam sobie coś, co mi kiedyś mówił, a co zawsze mnie rozśmieszało. Nie jestem pewna, czemu przestałam uważać, że jest zabawny.

Ming zdjęła górną kromkę chleba i w milczeniu jadła swoją kanapkę. Najlepiej nie komentować. Jenny mówiła do siebie. Może za sprawą wiosennego powietrza. A może to coś poważniejszego. Ming nie umiała tego odgadnąć z dostatecznym stopniem pewności, bo widywała już pary, które schodziły się ponownie, mimo że wcześniej skakały sobie do gardeł. Nie różniło się to zbyt od pozostawiania w małżeństwie. Właściwie codziennie Ming bywała wściekła lub poirytowana na Sebastiana albo też wdzięczna za jego obecność, pociągał ją – listę tych sprzecznych odczuć można by ciągnąć. Ming pamiętała wykładowcę prawa, który kiedyś prowokacyjnie stwierdził, że każde małżeństwo ma powody do rozwodu. Miała wtedy dwadzieścia cztery lata, była świeżo po ślubie i uznała tego człowieka za cynicznego dupka. A jednak to, co powiedział, zapadło jej w pamięć. Dwadzieścia pięć... nie, dwadzieścia osiem lat później i każdego wieczoru na sam widok starych skarpet Sebastiana, porzuconych na podłodze w łazience, miała ochotę poderznąć mu gardło. Mimo to uwielbiała, jak kilka minut później szorstko przytulał się do niej w łóżku i zasypiali razem, ułożeni we własne, dobrze pozaginane origami.

Udział w aż nazbyt wielu sprawach rozwodowych i związanych z tym negocjacjach przekonał Ming o jednym: kiedy w grę wchodzi dzieci, małżeństwo trwa nadal nawet po podpisaniu papierów. Taka para nie mieszka już razem, nie uprawia ze sobą seksu. Chociaż Ming mogła wskazać przypadki rozwodników, którzy nadal mieszkali wspólnie, a nawet takich, którzy nadal uprawiali ze sobą seks. Lecz bez względu na to, czy rodzice mogą ze sobą wytrzymać czy nie, nadal są odpowiedzialni za dzieci. Ona i Sebastian mieli chore dziecko, wszystkie statystyki rozwodowe były przeciwko nim. Codziennie musieli się borykać z wyzwaniem daleko wykraczającymi poza koszty lekcji muzyki czy letnich

kolonii. Ming wierzyła we wspólne pokonywanie problemów w związku.

– Do niczego! – Nagle pan Hyde zaczął krzyżeć. – Jest pani do niczego! – Zerwał się z krzesła, przewracając je z łoskotem na podłogę. Jego głos był niczym brzytwa. – Nie mam na to czasu!

– Proszę zapanować nad swoim klientem. – Ming zobaczyła, jak drugi adwokat obrócił się na krzesle w stronę zasłoniętego okna, dając znak, że nie pochwała, ale i nie potępia takiego zachowania.

Musiła uważać. To była gra. Kto ucieknie pierwszy?

Zamiast tego włączyła dyktafon w swoim telefonie, nagrywając całą wiązkę ohydnych inwektyw, które wylewały się z ust pana Hyde'a.

– Dzisiejszą rozmowę uważam za zakończoną – oświadczyła, kiedy na chwilę przerwał.

I tak oto Ming zakończyła spotkanie. Wstała i wyszła z sali, czując się, jakby głos pana Hyde'a popychał ją naprzód niczym wiejący w plecy mocny wiatr. Musiała przejechać przez góry do Anny.

Otwierając drzwi samochodu, przypomniała sobie jeszcze jedną scenkę z wakacji w Tarifie. Rodzinę nudystów grubasków na plaży i kredowobiałe fałdy ich ciał, które przypiekły się jak raki po kilku dniach skakania i grania na golasa w badmintona na plaży. Liczyła, że owa historyjka rozbawi Annę. A Ming wykorzysta tę chwilę wesołości i krok po kroku pokaże przyjaciółce drogę z powrotem do jedzenia i leków, do kolejnego etapu życia.

Zacząła przygotowywać argumentację, jeszcze zanim zapięła pasy. Anna zaufała jej już wcześniej, umiała docenić zmysł praktyczny Ming. Od pierwszego rzutu choroby Ming zadbała o to, by Anna spisała testament, a także udzieliła pełnomocnictwa w sprawach opieki medycznej, na wypadek gdyby nie była zdolna podejmować decyzji osobiście. „To najlepszy sposób na niedopuszczenie do katastrofy”, przekonywała, kiedy Anna stwierdziła, że sporządzenie testamentu wydaje jej się aktem kapitulacji. Ming nadzorowała każdą z kolejnych modyfikacji testamentu. Pomagała Annie przy każdym nawrocie choroby, zachowując trzeźwy pragmatyzm, tak jakby jej rozsądek i staranność, jej poczucie ładu i logika miały powstrzymać kolejne postępy choroby. Jakby zawsze można było zawrzeć korzystną ugodę z rakiem.

Teraz też jej się uda. Helen miała rację co do istoty sprawy, ale obrała złą taktykę. Caroline i Molly też ją poprą. Dzisiaj wspólnie rozegrają wszystko jak należy, Ming była o tym przekonana. Umiała wygrywać.

HELEN W DRODZE

Tego ranka, gdy Asa przyniósł dwa kubki kawy i położył się znowu do łóżka razem z Helen, powiedział jej:

– Miałaś nadspodziewanie dobry tydzień. Pomyśl o tym, jak będziesz

jechała. Powiedz Annie. Ona uwielbia słuchać nowin z twojego życia.

Helen oparła się o niego.

– Tak zrobię.

Ale to wszystko – idealnie zaparzona kawa, niespodzianki tego tygodnia – wydawało się raczej pomyłone niż dobre. Tydzień byłby ekstra, gdyby Anna nie umierała. Byłoby super, gdyby Helen nie dowiedziała się, że Anna przestała przyjmować pokarm. I gdyby rozrusznik, czy jak to urządzenie się nazywa, nie został wyłączony, mimo że Layla powtarzała przez telefon, że tak naprawdę to nie przyspieszy śmierci.

Teraz, tutaj, na postoju w New Haven, Helen pochyliła się nad samochodem, kiedy pistolet odbił przy tankowaniu, i pomyślała: Szczęście chodzi trójkami. Odwiesiła pistolet na miejsce i wcisnęła „Tak”, gdy komputer zapytał, czy wydrukować paragon, ale nie mogła się doczekać na kwitek, zapięła pasy i natychmiast ruszyła, rozpędziła się szybko i wjechała na szosę międzystanówki.

Wiedziała, że gdyby powiedziała na głos, iż nagle ogarnęła ją pewność, że Anna będzie żyła, oskarżono by ją o myślenie magiczne. Zabobonne. To była jej mała, brzydka tajemnica. Niereligijna, twardo stąpająca po ziemi Helen po cichu czytała horoskop dnia, wsiadała do samolotów zawsze prawą nogą, uwielbiała łańcuszki listów, które obiecywały fart lub zapowiadały pecha. Helen, która kręciła nosem na wszystkie czary-mary spod znaku New Age, jechała właśnie na złamanie karku, by obwieścić to, co nieuchronnie przyniesie przyszłość, jakby była cholernym Tejrezjaszem.

Ale taka była prawda: szczęście chodzi trójkami.

Pierwsze było potwierdzenie wystawy. Retrospektywa dwudziestu lat twórczości w Instytucie Sztuki w Chicago zaplanowana na jesień dwa tysiące piętnastego roku, włącznie z wynegocjowaną sprzedażą dwóch obrazów do muzeum.

Drugie zdarzyło się wczoraj wieczorem. Kiedy Helen szła ze spotkania na Prince Street do Café Select, gdzie umówiła się z Asą na kolację, odebrała telefon z nieznanego numeru, a kwadrans później, gdy nakładała chrzan na mięso homara, dała Asie słowo, że „Jak powiedział: «Hej, Helen, tu Larry Page», nie miałam zielonego pojęcia, kto to taki, a kiedy potem oświadczył: «Chcielibyśmy, żebyś w dwa tysiące trzynastym roku została laureatką naszej pierwszej nagrody Google Arts Prize», stanęłam na rogu Lafayette i Prince i wykrzyczałam: «Sto pięćdziesiąt tysięcy dolarów! No, nie wierzę, Larry!». Ale szczerze mówiąc, nadal nie mam pojęcia, kto to taki ten cały Larry Page”.

Asa włożył do ust kawałek homara i pokręcił głową.

– Słyszałaś kiedyś o czymś takim jak Internet, Helen?

Więc to było szczęście numer jeden.

I numer dwa.

A teraz, kiedy grzała dobrze ponad sto dwadzieścia kilometrów na godzinę, wydawało się oczywiste, że Anna musi być numerem trzy. To miało sens.

W każdym razie, na poziomie pogaduszek starych kumoszek.

I dlatego że trzy to liczba mistyczna.

To było oczywiste, wręcz nieuchronne. Nieważne, że rozrusznik został wyłączony, i w ogóle nieważne, co mówiła Layla. Nagle wszystko zaczęło dobitnie wskazywać, że Annie się poprawi i że wszystko będzie z nią dobrze. Na przykład jeśli Helen spojrzy w lewo i zobaczy światło skaczące w oddzielnych, ostrych i prostopadłych promieniach między drzewami, będzie to znak, bo Anna zawsze mówiła, że to Helen nauczyła ją zauważać oświetlenie i zwracać uwagę na grę światła i prędkości. No dobrze, może światło i drzewa nie stanowiły niezbitego dowodu, ale Helen pragnęła być już u Anny. Chciała przyjechać pierwsza, żeby mieć tę niezbędną chwilę sam na sam z przyjaciółką. I wszystkim się podzielić. Podzielić się dobrymi wiadomościami bez domieszki poczucia winy, tylko z oszałamiającym przekonaniem, że Anna wyzdrowieje.

Możliwe, że Helen w ogóle nie będzie musiała jej przekonywać. Może Anna obudziła się dziś rano z poczuciem siły, niewiele myśląc, poszła do kuchni i wzięła wszystkie swoje leki, a potem zjadła omlet z cheddarem. Prawdopodobnie zastanie ją w salonie. Cześć, Helen, powie Anna, trochę zawstydzona, gdy ona, Helen, wejdzie. To nowy plan.

*

Helen usłyszała wycie syreny, jeszcze zanim ujrzała trzy migające światła. Grzała prawie sto pięćdziesiąt kilometrów na godzinę. Skręciła na pobocze, w kabinie zadudniło, gdy samochód wjechał na pokrytą rowkami nawierzchnię.

Opuściła szybę i popatrzyła na radiowóz policyjny we wstecznym lusterku. Myślała gorączkowo, jak się wymigać od mandatu. I ile punktów karnych to za dużo?

Gliniarz powoli wygramolił się z auta. Policja stanowa, jasnoszary kapelus z niebieskim otokiem Connecticut. I krawat w identycznym kolorze. Funkcjonariusz poprawił pasek. Jego lekko rozstawione nogi i ramiona, a także powolny krok były wyraźnie zamierzone, jakby miały wywołać dodatkowe wyrzuty sumienia. Helen, w przypiływie adrenaliny, poczuła się winna czegoś więcej niż jazdy z nadmierną prędkością. Wydawało się, że policjant zwolnił jeszcze bardziej, szurając butami po żwirze, aż wreszcie przystanął tuż za samochodem. Z bliska wyglądał bardzo młodo, jeszcze na nastolatka. Była prawdopodobnie za stara, by wykić się od mandatu zalotnym uśmiechem.

Pochylił się do przodu. Rondo kapelusza miał nisko nad czołem, dłonie splecione i oparte o szeroki pas, jakby dla podkreślenia swojej władzy. Zajrzał do kabiny auta. Zobaczył butelkę wody, kubek kawy, małą torbę podróżną na tylnym

siedzeniu.

- Dokąd pani jedzie?
- Do Massachusetts.
- Po co?

Helen nagle ścisnęło w gardle. Z wysiłkiem przełknęła ślinę.

- Do przyjaciółki.
- Orientuje się pani, jak szybko jechała?
- Za szybko? – Uśmiechnęła się blado.

– Owszem, proszę pani, sto czterdzieści pięć kilometrów na godzinę. Bardzo pani zależy, żeby tam dotrzeć?

Miała ochotę powiedzieć mu wszystko. Zrozumiałby. Odwołałaby się do jego współczucia i może by nawet zaproponował, że odeskortuje ją na sygnale aż pod dom przyjaciółki.

- Pani prawo jazdy i dowód rejestracyjny proszę.

Wyciągnęła aktualny dowód, z samego dołu, pod pięcioma starszymi, a potem ją grała w portfelu, aż chwyciła róg prawa jazdy. Potem odprowadziła wzrokiem policjanta, który powoli wrócił do radiowozu. Wciąż była podminowana, musiała jak najszybciej dojechać do Anny, a policjant z mlekiem pod nosem robił z wystawienia mandatu wielkie przedstawienie.

Musiała odetchnąć i się uspokoić. Zamknęła oczy i znalazła się z powrotem w pokoju szpitalnym, podczas trzeciej terapii Anny w Nowym Jorku, w tym czasie, kiedy poznała Asę. Anna przekonywała, że z łatwością mogłaby przejść kurację w Springfield, ale Helen właściwie podobało się, że może wrócić do starych szpitalnych zwyczajów – odprowadzała syna do autobusu, kupowała Annie pojemniki świeżej sałatki z jajkiem oraz zupę, a także bajgla z kremem łososiowo-twarogowym, po czym jechała metrem na obrzeża miasta. Wychodziła schodami na sto sześćdziesiątą ósmą, za każdym razem zaskoczona gryzącym zapachem smażonych potraw, a potem szła spory kawałek aż do następnej przecznicy, mijając po drodze wózki małej gastronomii, przed którymi ustawiały się kolejki po kanapki i słodkie bułki. Wczesnym rankiem w rotundzie szpitala panował spokój, pracownicy ochrony kiwali do Helen głowami. Wbiegała na czwarte piętro, a siatki z zakupami obijały jej się o łydki. Wejście po schodach było bardzo ważne: w ten sposób udawadniała sobie, że sama nie jest chora.

Kolejne źródło ulgi: jeśli Anna umrze, to Helen też. Taka była pokrętna logika zabobonu. Helen zawsze była z Anną, a zatem nie mogłaby istnieć, gdyby Anna przestała żyć.

– No i wygrałaś na całej linii – stwierdziła Anna na koniec leczenia. – Ja nadal żyję, a ty jeszcze znalazłaś faceta.

Zanim jednak Helen zdążyła wymyślić dowcipną ripostę, Anna dodała:

- Trzymaj się Asy. Możliwe, że będziesz mogła na niego liczyć bardziej niż

na mnie.

– Proszę pani. Proszę pani.

– Tak, panie władzo? – Helen otworzyła oczy.

Policjant wrócił i jeśli to możliwe, wydawał się teraz jeszcze młodszy, policzki miał obsypane trądzikiem, a postawą z nadmiernie rozstawionymi nogami i rozchyłonymi ramionami usiłował zamaskować młodzieńczą chuderlawość.

Wręczył jej mandat.

– Przyjaciółka poczeka na panią, nawet jeśli będzie pani jechała z dozwoloną prędkością.

– Tak, panie władzo – powtórzyła.

Popatrzyła za nim, gdy odszedł sprężystym krokiem i nawet po drodze kopnął jakiś kamyk. Poprawił mu się humor. Miał poczucie dobrze wykonanej roboty.

Jechał za samochodem Helen aż do najbliższego zjazdu, a ona mknęła z maksymalną dozwoloną prędkością. Nawet długo po tym, jak zniknął jej z oczu.

– Tak, panie władzo! – krzyknęła w aucie. – Tak, panie władzo! – zawołała jeszcze głośniej.

Udało jej się. Utrzymała język za zębami. Nie powiedziała niczego, ani jednej głupoty, żeby młodociany policjant zlitował się nad panią w średnim wieku i jej odpuścił, dając tylko upomnienie zamiast mandatu.

Bo wówczas policjant stanu Connecticut oznaczałby szczęście numer trzy.

A wtedy Anna już byłaby martwa.

„Wisisz mi przysługę”, podroczy się z nią Helen, kiedy będzie opowiadać o mandacie. O tym, jak policjant powiedział: „Przyjaciółka poczeka na panią”, a ona powstrzymała się i nie odrzekła: „Tak, panie władzo, dzięki temu mandatowi”.

Nie mogła się doczekać, kiedy powie: „Naprawdę wisisz mi przysługę, Anno. Dla ciebie przyjąłam punkty karne. Wystarczy, że w zamian przyjdiesz na mój ślub i spełnisz toast”.

*

Na podjeździe u Anny stał już wóz Ming. Helen wolałaby być sama, ale nie przejęła się zbyt. Z Anną wszystko będzie dobrze.

Z najwyższego stopnia kamiennych schodków zaszczekał pies.

– Hej, Zeus.

Helen poczuła chwilowy przyływ sympatii do niego.

Kiedy otworzyła drzwi, zadzwoniła jej komórka. Lucinda, najstarsza córka. Helen ucieszyła się z telefonu. Z dobrego sygnału wbrew wszelkiemu prawdopodobieństwu, z tego, że może usłyszeć głos córki, że Lucinda znowu zaczęła się do niej odzywać, z tego, że może się pochwalić dziecku wyróżnieniem

od Google. Może zabierze Lucindę na wręczenie nagrody. Rusty'ego też. Była im winna znacznie więcej niż taką wycieczkę.

– Hej, cukiereczku.

Lucinda zawołała „Mamo!” z taką radością, że Helen natychmiast ścisnęło w żołądku.

Zapagnęła się rozłączyć. Kiedy córka zadzwoni po raz drugi, niech się włączy poczta głosowa.

Wepchnęła mandat do torebki i wysiadła z samochodu. Zatrzęsnęła drzwiami i oparła się o karoserię, podnosząc wzrok na dom Anny. Chorągiewki modlitewne zwisały ze szczytu dachu. Kawalek sznurka dyndał z okapu.

Lucinda chciała powiedzieć coś wspaniałego, ale Helen, chociaż pragnęła dla niej wszystkiego co najlepsze i codziennie czuła wielką wdzięczność za to, że tamta wspaniałomyślnie jej wybaczyła, teraz chciała, żeby córka umilkła. Żeby teraz nie mówiła już nic więcej.

Chciała jej przerwać, powiedzieć: „Poczekaj, cukiereczku, zaraz do ciebie oddzwonię. Tylko wejdę do domu, zobaczę, co z Anną, i zaraz oddzwonię”.

Ale nie mogła się rozłączyć. A Lucinda, jej piękna córka, ta cudowna córka, którą tak dużo trudu i czasu kosztowało, żeby znowu zaufać Helen, mówiła dalej:

– Mamo, dostałam ją! Dostałam pracę!

Głos Lucindy brzmiał niczym dzwon, jej radość była tak ogromna, że Helen też ją odczuła. Boleśnie.

– Tak, jak mówiłaś, mamo. Dziękuję, że we mnie wierzyłaś. To tak, jakbym dostała ją za twoją sprawą.

No i koniec. Pozamiatane.

Szczęśliwe zdarzenie numer trzy. Przyjęte i zatwierdzone.

Podczas gdy Lucinda opowiadała o planie emerytalnym i pakiecie dodatkowych korzyści, Helen przeszła do ogrodu. Huśtawka na zardzewiałym stelażu skrzypiała i pobrzękiwała, łańcuchy były tak poskręcane, że pokryte płótnem siedziska kołysały się bokiem. Helen rozplątała łańcuchy, by huśtawka poruszała się jak należy.

– Jestem z ciebie taka dumna – zdobyła się na pochwałę odpowiednio entuzjastycznym tonem.

– Kultura w firmie jest super – ciągnęła córka. Jeszcze ją czekała rozmowa o wynagrodzeniu, ale Lucinda miała żyć pełnią życia i rozkwitać. – Takich słów właśnie używają, mamo. „Żyć pełnią życia” i „rozkwitać”.

Głos córki był niczym muzyka dla jej uszu. I Helen odpowiedziała. Z głębi serca zaśpiewała matczyną pieśń dumy, tę samą, którą chwaliła kolejne ważne etapy w życiu dziecka: raczkowanie, chodzenie, pierwsze udane próby pływania pod wodą.

Później ruszyła w stronę granitowych schodków, prowadzących do drzwi

frontowych. Ale już bez pośpiechu, przecież nie było powodu, żeby wejść do środka. Zamiast tego więc obeszła dom od strony, gdzie teren się wznosił. Było za późno na cofnięcie tego wszystkiego, za późno na wyplątanie wydarzeń całego dnia z nici głupiego, zabobonnego myślenia.

– Zasługujesz na to, Lucindo. Wiedziałam, że ci się uda. – Helen wspięła się na palce, wyciągnęła ramię, podskoczyła i złapała koniec sznurka. Pociągnęła. Ciągnęła i patrzyła, jak girlanda pomarszczonych chorągiewek modlitewnych odczepia się od dachu.

Helen to wchodziła pod okap, to cofała się na podwórze, żeby mocniej szarpać za sznur. Jedną ręką to machała nim na boki, to ciągnęła go w dół, podczas gdy drugą przytrzymała telefon przy uchu, słuchając, jak Lucinda świergocze, i odpowiadała jej tym samym tonem.

– To naprawdę wspaniała wiadomość – powiedziała i znowu szarpnęła mocno za sznurek.

Szła dookoła domu, ciągnąc, szarpiąc i poluzowując sznurek, ilekroć się zaczepił.

– Czeka cię wspaniała przyszłość. Jestem tego pewna. – Myśl o ogromie życiowych niewiadomych, jakie córka ma jeszcze przed sobą, wywoływała u Helen mieszaninę zachwyту i trwogi.

Znalazła się teraz pod ostatnimi chorągiewkami. Wisiały bezwładne i wiotkie. Pociągnęła jeszcze raz za sznurek i powoli opadły wraz z nim na błotnistą ziemię.

MOLLY W DRODZE

Szosa numer dwa. Wkrótce po minięciu ronda w Concord po wiosnie nie zostało prawie ani śladu. Miało się wrażenie, jakby wjeżdżało się z powrotem w marzec, a za Fitchburgiem i Leominsterem, gdzie królowały lutowe szarości i ogołoczone gałęzie drzew, na skrajach lasów wciąż zalegały hałdy odgarniętego przez pługi brudnego śniegu. Dołujący widok.

Przy domu Molly wszystko wybuchowało i rozkwitało kwietniem. Narcyzy stroiły głupie miny na rabatce, podczas gdy z ziemi sterczały już zielone pędy innych roślin. Zdawało się, że przez jedną noc magnolie zrzuciły mechate łupiny pąków, a drzewo przy huśtawce na podwórzu obsypało się różowymi kwiatami w różnych stadiach rozwoju.

Nadleciał jastrząb. Przefrunął nisko przy samochodzie, szukając przydrożnej padliny. Całe pobocze szosy wyglądało jak jeden długi bufet dla jastrzębi i sępików. Ale niezależnie od tego, jak ponuro wyglądała droga, Molly cieszyła się, że jest w samochodzie sama. Żałowała, że do Anny nie jedzie się dłużej. Powiedzmy tyle, co do Dakoty Północnej. Nawet bez przekraczania dozwolonej prędkości była już prawie przy Millers Falls i wjeździe na szosę numer

sześćdziesiąt trzy. Zazwyczaj Molly uwielbiała być pomiędzy, w trasie, gdzie nikt nie mógł jej znaleźć. Teraz jednak były telefony komórkowe. Teraz ludzie oczekiwali, że zawsze można każdego znaleźć. Wszędzie. Jechała samochodem z wmontowanym systemem głośnomówiącym. Ale Molly i Serena podjęły decyzję, że nie będą rozmawiać przez telefon, siedząc za kierownicą, co, odkąd dzieci porobiły prawa jazdy, miało być przykładem dla całej rodziny. Molly ze strachem myślała o dzieciach za kółkiem. Zwłaszcza teraz.

Wiadomość, którą nagrała na pocztce głosowej aparatu Helen, była kłamstwem. Wcale nie miała trzygodzinnego opóźnienia dlatego, że pilnie wezwano ją na sesję terapeutyczną z pacjentem o skłonnościach samobójczych. Dałaby wszystko za znany świat pacjentów niezwłocznie potrzebujących leczenia, za spokój, rozlewający się po całym jej ciele, kiedy zdołała sobie poradzić z sytuacją kryzysową i wprowadzała odpowiednie procedury terapii. Dałaby wszystko za taką pewność siebie.

Kiedy dziś rano siedziała w gabinecie dyrektorskim z Sereną i Tessą, doktor Drake, który nadmiernie starał się mówić przekonująco, pokazywać, że bardzo nowoczesnie nie przejmuje się mamami lesbijkami i jest czuły na problemy młodzieży, modulowanym głosem zasugerował, żeby zajęli się sytuacją. „Skupmy uwagę na tym, co się dzieje”. Molly była zaskoczona, że brakuje jej pewności siebie. Miała nadzieję, że nie wygląda, jakby była w kompletnej rozsypce, roztrzęsiona jak galareta. Ale nie sprawiała wrażenia kompetentnego lekarza, to, kurwa, na pewno.

Samochód przechylił się, biorąc ostry zakręt. Molly poczuła uderzenie gorąca i mdłości. Przełknęła ślinę. Opuściła trochę szyby w oknach. Możliwe, że będzie musiała zatrzymać się na poboczu.

W zeszłym tygodniu u Anny przyjaciółki zbagatelizowały jej obawy. Dzieci już takie są. Same też się tak zachowywałyśmy. Nastolatki palą trawkę, zgodziły się wszystkie. Opowiedziały o fazie używania i nadużywania rozmaitych substancji u każdego ze swoich dzieciaków. Jakby to miało ją uspokoić. Czy musimy ci, Molly, przypominać o bezwstydnym miłości pewnej nastolatki do maryški w dawnych czasach?

Ale ta sytuacja była inna. Nie chodziło o to, że Molly zapomniała o frajdzie i głupotach, jakie się robi w wieku szesnastu lat. Albo że nie pamiętała o popołudniowych popijawach i łykaniu leków przez jej własną matkę. Albo o tym, że musiała się kłócić z partnerką, bo u Sereny, która wychowała się wśród braci narkomanów, widok marihuany wywoływał ataki paniki. Nie chodziło nawet o to, że Tessa była na tyle głupia, że nosiła marihuanę do szkoły. (Bogu dzięki, doktor Drake nie był zwolennikiem „nadgorliwości”, jak sam się wyraził, w kontaktach z policją). Ani o to, że dziewczyna przez całą rozmowę siedziała z nie dość skruszonym wyrazem twarzy.

Chodziło o to, co Molly zobaczyła. Akurat gdy wszyscy siadali w kółku na wysłużonych plastikowych krzesłach, Tessa zdjęła płaszcz i Molly spostrzegła tatuaż. Na brzuchu córki, tuż nad pasem. Zanim Tessa poprawiła sobie sweter i wsunęła go w džinsy. Molly przesiedziała całe spotkanie, usiłując skupić uwagę na słowach dyrektora, który mówił o priorytetach i odpowiedzialności. Starła się znowu zaangażować w rozmowę. „Oczywiście, jak najbardziej”, odparła rodzicielskim tonem, dzieląc się spostrzeżeniami klarownie i z troską, bez chęci umniejszania problemu ani też rozdymania go ponad miarę.

Ale przez cały czas zerknęła na miejsce, gdzie angorowy sweter Tessy stykał się z džinsami, i modliła się o to, by było to tylko przywidzenie. Wiedziała jednak, że nic jej się nie przywidziało. Już sam tatuaż jako taki jej się nie podobał, a rozcięte serce było jeszcze gorsze. Ale dwa słowa, które na ułamek sekundy mignęły Molly przed oczyma, w tym błyskawicznym „a kuku”, okazały się największym ciosem. JEBAĆ MIŁOŚĆ. Widziała je. Zdawało jej się nawet, że była tam kropka: JEBAĆ. MIŁOŚĆ.

Jej córka. Ich córka. To samo kochające dziecko, które zaledwie dwa tygodnie temu spędziło całą niedzielę na kanapie przed telewizorem wraz z siostrą Shaną. Oglądały swoje stare ulubione filmy i śpiewały razem z Sebastianem przy *Małej syrence*. To samo nerwowe dziecko, które dostawało ataku paniki na myśl o zastrzyku u pediatry, poszło i zrobiło sobie tatuaż. I nie dość, że wybrało się do jakiegoś parszywego salonu tatuażu i naraziło swoją nieskazitelną skórę na nakłucia cholera wie jak niestarannie odkażonymi igłami (czy jakieś przepisy nie wymagały w wypadku nieletnich zgody rodziców?), to jeszcze obrazek, który Tessa sobie wybrała, był przygnębiający i cyniczny. A napis jeszcze smutniejszy. I na zawsze.

Co takiego kłębiło się w sercu Tessy, że wybrała to rozcięte serduszko i te ponure słowa? Jak to możliwe, że bez żadnej zapowiedzi, bez żadnych znaków ostrzegawczych córka zmieniła się prawie nie do poznania? I jak to możliwe, że Molly nie zorientowała się wcześniej, że coś złego – jakiś żal, jakaś bolesna zadra, coś naprawdę mrocznego – dręczy jej dziecko?

W samochodzie zabręczała komórka. Serena. Molly nie odebrała. Nie odebrała także, kiedy tamta zatelefonowała po raz drugi. Gdyby zadzwoniła jeszcze raz, Molly musiałaby odebrać. Serena nie wiedziała o tatuażu. Nie widziała go. Molly nie zamierzała mówić jej o tym przez telefon.

Na rozmowie u dyrektora doszło do pewnych uzgodnień. Co tydzień badania na obecność narkotyków. Psychoterapia.

– Nie zapominajmy, że Tessa osiąga bardzo dobre wyniki w nauce – powiedziała Molly, zwracając się do córki.

Chciała... nie, potrzebowała uśmiechu Tessy. Czy chociażby wzruszenia ramionami. Czegokolwiek, co potwierdziłoby ich więź, mówiłoby: „Mamo, wiem,

że nawaliłam, i kocham cię za to, że wciąż we mnie wierzysz”. Zamiast tego Tessa łypnęła na nią, jakby chciała powiedzieć: Nie traktuj mnie jak dziecka.

Molly z trudem powstrzymała się, by od razu, w gabinecie dyrektora, nie wstać i nie krzyknąć: „Przestań”. Żeby nie wybuchnąć płaczem i nie błagać: „Kimkolwiek jesteś, oddaj mi moją Tessę z powrotem i zmyj z niej to paskudne coś”.

Co było takiego cholernie super w rodzicielstwie? Dlaczego choć jedna osoba przy zdrowych zmysłach świadomie zgadzała się na lęk i niepewność? Czy ktokolwiek zdecydowałby się na to, gdyby przewidział, że to urocze dziecko, to raczkujące, a potem chodzące, biegające, malujące paznokcie, czytające, śmiejące się, tulące się cudo, ta szepcząca: „Kocham cię tak bardzo, mamo”, córeczka zmieni się w istotę, która wbije ci nóż w serce swoim ponurym, paskudnym spojrzeniem, mówiącym: „Szkoda mi czasu na te pierdoły”.

Molly skręciła do Millers Falls. Kiedyś było to małe, lecz dynamicznie rozwijające się miasteczko fabryk napędzanych przez młyny wodne przy pobliskich wodospadach. Teraz miejscina zeszła na psy, zmieniła się w zapadłą dziurę bez przemysłu, gdzie budynki popadały w ruinę, a każdy ze zbiedniałych mieszkańców prawdopodobnie zrobił sobie tatuaż. Liczne tatuaże. To nie tak, że Molly i Serena nie miały znajomych z tatuażami – bo miały. Niektórzy z nich ciągle szukali okazji, którą mogliby uczcić nową dziarą. Ale tatuaż jest na zawsze. JEBAĆ. MIŁOŚĆ. Czy kropka między „Jebać” a „Miłość” mogła oznaczać filozoficzną deklarację rozdzielenia seksu od miłości? Ale to przecież Tessa powiedziała Molly, że kropkę używa się w esemesach dla podkreślenia wagi słów. Molly nie chciała, żeby córka nosiła na sobie coś takiego do końca życia.

Minęła miasto, szosa była teraz wąska i stalowoniebieska od cieni sosen, domy chowały się za kamiennymi murami. Przejechała obok Bookmill w Montague i pozostało jej jeszcze tylko dwadzieścia minut samotności. Czy powinna po prostu zatrzymać się na kawę, poszukać książki, którą mogłaby dać Tessie w prezencie? Nic z tego. Wybór każdej książki zbyt łatwo można byłoby opacznie zinterpretować. Potem minęła dom, gdzie razem z Helen mieszkały milion lat temu, kiedy musiały się martwić tylko o to, jak nie zamarznąć w chałupie, w której ciągle hulał wiatr.

Po przyjeździe do Anny będzie musiała wycofać się z kłamstwa. Musi pogadać. Powiedzieć przyjaciółkom o rozmowie z dyrektorem szkoły. O marihuanie i tatuażu. Potrzebuje pomocy. Pomocy Anny. W takich sprawach zawsze była niezastąpiona. Najlepiej ze wszystkich przyjaciółek umiała odróżnić to, co w wychowywaniu dzieci rzeczywiście powinno martwić, od lęków Molly, które tylko zaciemniały sytuację. Anna zawsze umiała dojrzeć jej perfekcjonizm i obawy, migiem odrzucała to, co nieistotne, i zawsze wspierała Molly w jej trzeźwym osądzie.

– Postępuj łagodniej – radziła jej w tak wielu kluczowych momentach, a wtedy coś się w Molly zmieniało.

Teraz potrzebowała samotnego popołudnia, aby pójść na długi spacer z przyjaciółką. „Rozumiem. To trochę niepokojące – wyobrażała sobie, jak Anna to mówi. – Ale przysięgam ci, Moll, że w osiemdziesięciu pięciu procentach to tylko zwyczajna nastoletnia durnota. Jak niebieskie włosy w latach dziewięćdziesiątych. Albo przekłuwanie brwi. To naprawdę nie tak bardzo różni się od tego, co same robiłyśmy, od tego, co wyrabialiśmy z narkotykami i chłopakami. One muszą nas drażnić. To ich zadanie”.

Ale Helen powiedziała jej, żeby nie spodziewała się po wizycie zbyt wiele. Przez większość czasu Anna po prostu spała. Często w ogóle nie reagowała. Molly jednak nie do końca w to wierzyła. Może i nie pójda na długi spacer, ale porozmawiają. Anna jako mama miała w sobie swobodę, która pomagała Molly uwierzyć we własną intuicję.

Telefon samochodowy znowu zabrzączał.

Nie mogła dłużej unikać Sereny.

– Hej, kochanie. – Molly usłyszała łkanie Sereny.

Serena nigdy nie płakała. To nie było w jej stylu. W obliczu problemów zachowywała chłodny spokój. Spokój chirurga. Molly wiedziała, kiedy Serena panikuje, bo im bardziej panikowała, tym bardziej wydawała się opanowana.

– Co? Co się dzieje? – Płacz Sereny w głośnikach samochodowych był cienki i słaby. – Czy chcesz, żebym wróciła do domu? Gdzie Tessa?

Molly przyhamowała. Zbyt wiele katastroficznych myśli naraz. Przy wszystkich tych katastrofach tatuaż był maleńki.

– Mów do mnie, kochanie. – Molly przybrała ostrzejszy ton. – Czy Tessie nic nie jest?

– Sama mi powiedz – odpowiedziała cierpko, prawie oskarżycielsko Serena.

– To ty jesteś psychologiem.

– Myślę, że nic jej nie jest.

Molly skręciła na pierwszy lepszy podjazd, prowadzący do domu w stylu ranczerskim w trakcie remontu. Mężczyzna na rusztowaniu, dwie półciężarówki na podjeździe, przy domu huśtawki i zjeżdżalnia z drewnianych bali.

– Jesteśmy rodzicami. Musimy w nią wierzyć, żeby Tess wierzyła w siebie.

Molly słyszała pewność w swoim głosie i nie umknął jej fakt, że to, co mówi Serenie, jest z zawodowego punktu widzenia bez zarzutu i mogłaby to samo oświadczyć pacjentowi podczas sesji. Mimo to czuła się tak, jakby przysłuchiwała się sobie z oddali. Żałowała, że jako rodzic nie myśli nawet w połowie tak klarownie jak jako terapeuta. Spoglądając na mężczyznę na rusztowaniu, na to, jak wychylał się całym ciałem w bok, opierając się tylko o słup, pomyślała: Jaki dureń ufa wytrzymałości tak niesolidnej konstrukcji.

Serena powiedziała:

– Kocham cię. Pozdrów ode mnie całą paczkę. I ucałuj mocno Annę.

Molly cmoknęła głośno i wcisnęła „rozłącz”.

Wrzuciła tylny bieg, lecz potem wdepnęła pedał hamulca. Łudziła się tylko, że uda jej się pójść z Anną na długi spacer. Nie pójdą dzisiaj. Już nigdy. Musiała zaufać własnej intuicji. Wyciągnęła z torebki telefon i napisała esemes: „Tess, musimy porozmawiać. To twoje ciało. Ale. Żadnych. Więcej. Tatuazy. Mam gdzieś, czy zachowuję się jak hipokrytka. Kocham Cię. Zadzwoń”. I wcisnęła „wyślij”.

CAROLINE W DRODZE

Przez cały tydzień Caroline ogarniał spokój – działało to jak natychmiastowy lek wyciszający – kiedy wyobrażała sobie, jak opowie swoją anegdotkę. Wyobrażała sobie, jak przyjaciółki otwierają usta ze zdumienia, gdy mówi im, że tym razem Elise poleciała na St. Martin i zamieszkała w hotelu La Samanna pod nazwiskiem Jacqueline Bouvier.

Serio, widok ich rozdziawionych ust mógłby prawie zrekompensować całe to wariactwo. A było to wariactwo non stop, od przekonania recepcjonistki, żeby nie wyrzucała Elise z hotelu, póki Caroline nie załatwi lotu na wyspę, poprzez wypłacenie beczek złota na nadmorski apartament Elise, obsługę hotelową i wszystkie nieprawdopodobne uszkodzenia w pokoju, aż po przelot powrotny, kiedy to Elise, w psychozie, odpięła swój pas bezpieczeństwa i łaziła między fotelami, bredząc o teoriach spiskowych związanych z zamachem na Kennedy’ego, od oczywistej „Na trawiastym pagórku był snajper” aż po mętniejsze, typu: „To była wspólna operacja Rosjan i Lyndona Johnsona”.

Elise nigdy nie miała przewidywalnych urojeń z Jezusem lub kosmitami w roli głównej. Skłaniała się raczej ku bardziej bajecznym klimatom. A tym razem naprawdę zaszalała. Caroline nie mogła się doczekać, aż zaproponuje przyjaciółkom, żeby zgadły, ile kosztowała ją i Danny’ego ta ekstrawagancka eskapada na St. Martin.

Kiedy Elise odstawiała leki, zawsze miała klasę, trzeba było jej to przyznać.

Nie zapominajmy o plażowych warkoczykach z paciorkami z kamieni półszlachetnych, które kosztowały dwieście dolców.

Ale Jacqueline Bouvier!

Czy naprawdę nikt się nie kapnął, że coś może być nie halo, kiedy Elise zarejestrowała się w hotelu pod tym imieniem i nazwiskiem? Czy obsługa naprawdę mogła się dziwić, gdy Elise zjawiała się na kolacji w sznurze pereł, rękawiczkach i butach na wysokim obcasie?

A tak, moje panie, nie miała na sobie nic więcej.

Przynajmniej była z tego fajna anegdotka dla przyjaciółek. Caroline

z przyjemnością powtórzy: „Tylko sznur pereł, rękawiczki i buty na obcasie”.

Chociaż wcale nie było jej do śmiechu, kiedy po przylocie na wyspę zobaczyła znajomy hipomaniakalny wyraz twarzy Elise. Język wysuwający się co kilka chwil jak u kotki, by oblizać spierzchnięte od ciągłego przygryzania wargi. Wyregulowane do cienkiej kreski brwi, unoszące się w jakichś szaleńczych zalotnych minkach.

Teraz to już na pewno nie była dobra, tylko stara i smutna historia.

Ale warto ją opowiedzieć. Znowu w salonie u Anny Caroline będzie odgrywać wszystkie role – francuskiej recepcjonistki, upierdliwej stewardesy, wkurzonej pielęgniarki w szpitalu – i patrzeć na przerażenie i zachwyty na twarzach przyjaciółek. To rozpaczliwe posunięcie, żeby podśmiewać się z choroby psychicznej Elise. Ale co by jej było po szaleństwie starszej siostry, gdyby nie mogła nawet zabłysnąć w towarzystwie dobrą anegdotką?

Jadąc przez Hartford, Caroline postanowiła oszczędnie dawkować napięcie – niebieskie zasłony z jedwabnej organzy, z których Elise wycięła bikini i płaszcz kąpielowy do kompletu; słowa, które wypisała palcem umoczonym w ketchupie i Bóg wie, w czym jeszcze, na stiukowych ścianach apartamentu. Elise w fazie maniakalnej była tak nieczuła na ból, że gdy Caroline opisze plątaninę siniaków i ran na nogach siostry, która wciąż błagała, by pozwolić jej pójść na dyskotekę, Anna powie: „Musisz przyznać, Carrie, że z Elise wariactwo zawsze wydaje się frajdą. No, weź, Jacqueline Bouvier!”.

W drodze na północ Caroline czuła się pełna energii. Odmierzała trasę dwudziestominutowymi skokami – z Hartford do Springfield, ze Springfield do Northampton. Właściwie sama popadała w maniakalną euforię. Ale dwadzieścia minut później, kiedy przejeżdżała przez Springfield, mijając most Pamięci przewieszony przez rzekę Connecticut po lewej stronie, poczuła się wyczerpana, odrętwiała, bez sił w rękach i nogach. Tylko jej zapętlony mózg wciąż pracował na wysokich obrotach, gorączkowo rachując grube tysiące dolarów, jakie ona i Danny wydali już na opiekę medyczną i utrzymanie Elise. A ile godzin poświęciła, by zapewnić siostrze bezpieczeństwo!

Między innymi dlatego musiała dotrzeć do Anny i zobaczyć się z przyjaciółkami. Wracała z tych wypraw ratunkowych wiele razy, opowiadała o dziwactwach Elise Bóg raczy wiedzieć jak często. A one zawsze jej na to pozwalały. Przy nich Caroline mogła śmiać się bez współczucia i złośliwie, dawać upust gniewowi, nadziei, wściekłości i filozoficznemu zdystansowaniu, a także zwykłemu smutkowi. Tak bardzo było jej smutno, kiedy patrzyła na coraz bardziej wystrzępione i poobijane życie jej cudownej starszej siostry. A Molly, Helen, Anna i Ming pozwalały jej wyrazić cały ów zagmatwany splot emocji i wrażeń, spowodowanych faktem bycia siostrą Elise.

Aż wreszcie Caroline skręciła ostro w lewo na drogę, przy której mieszkała

Anna, i zahamowała, ślizgając się kołami po błocie, by zaparkować samochód obok auta Helen.

– Hej, hej, moje panie! – zawołała, przytrzymując stopą metalowe kuchenne drzwi.

Zamaszystym ruchem położyła na blacie torebkę i trzy butelki chardonnay. Nie było śladu niczyjej obecności. W domu panowała dziwna cisza. Ale wszystkie samochody stały na podjeździe. Wszystkie dokądś poszły? Bez niej? Przecież wiedziały, że się spóźni.

Caroline wstawiła wino do lodówki. Tak naprawdę nie wierzyła w to, by mogły ją zostawić. Nie, jednak wierzyła. A to był niezbity dowód. Że po tym, jak w szkole średniej oddaliła się od nich, nigdy w pełni nie pozwoliły jej wrócić. Jakby za karę. Jakby przegrupowały się tak, że nigdy nie dadzą jej znaleźć się w samym trzonie. Jak długo ma im jeszcze udowodniać, że jej się to należy?

Przeszła aż do salonu, a tam zauważyła Ming i Helen skulone na kanapie, płatanina kończyn wśród poduszek.

Helen miała zamknięte oczy.

Ming kiwnęła głową do Caroline.

– Jesteś. – Głos Ming był tak cichy i obojętny, że Caroline pomyślała, iż tamta cierpi na jedną ze swoich migren.

– Gdzie Anna?

Caroline spostrzegła Molly, która stała na werandzie, rozmawiając przez telefon. Wolną ręką szerokimi gestami cięła z emfazą powietrze.

– Czy wszystko w porządku? Gdzie Anna?

Czyżby się spóźniła? Czy to możliwe?

– Wejź, Caroline. – Ming skinęła głową w stronę sypialni. Te słowa, ten gest zdawały się wyczerpywać rezerwy jej energii. – Kiedy pielęgniarka ją obróci, Anna się obudzi. To odzyskuje przytomność, to ją traci. Tak teraz z nią jest.

– Bez obaw, dziewczyny. Już ja ją postawię na nogi. – Caroline nie dopuszczała do siebie negatywnych myśli.

– Od zeszłego tygodnia, kiedy tu byliśmy, ani razu nie przyszła do salonu.

– Mam do opowiedzenia taką historię, że padniecie z wrażenia. Poleciała na Karaiby i z powrotem. Uratowała Elise, więc mogła uratować i Annę. Anna się uśmieje, „Jacqueline Bouvier, a to dobre”. Caroline pokaże im wszystkim, jaka jest niezbędna.

– Wejź do niej. Lubi słyszeć nasze głosy.

Helen otworzyła oczy, a po chwili znów je zamknęła.

– A przynajmniej pocieszamy się, że lubi.

PIĘKNO ABSOLUTNEJ PEWNOŚCI

Przy dziewięć razy osiem odpłynęła i ocknęła się przy czternaście razy siedem.

– Powiedziała „dziewięćdziesiąt osiem”. – Ktoś nad nią stanął. – Anno, powiedziałaś „dziewięćdziesiąt osiem”?

To Ming. Za nią zobaczyła Helen.

– To ja, kochanie. Mówiłam ci, że wrócimy.

W tabliczce mnożenia wciąż była taka ulga. Piękno absolutnej pewności liczb. Chce im to powiedzieć, ale znowu odpływa, a tymczasem: szesnaście razy dziewięć...

SUPERBOHATERKI

Bez obaw! Stare Znajome mają nadludzką moc. Drużyna superbohaterek. Superkobiety w średnim wieku, z huśtawkami hormonalnymi i podfarbowaną siwizną.

Zmieniają się przy łóżku, gładzą Annę po włosach, szyi, ramionach i nie tyle mówią do niej, gdy odpływa, ile raczej włączają ją do podzielonej na głosy, urywanej relacji o wysiłku, szaleństwie, lęku, niesamowitości – o wszystkim, co każdej z nich przydarzyło się w tym tygodniu, przy czym żadna nie jest w pełni gotowa na to, by być w centrum uwagi.

Kiedy rozpoczynają drugie okrążenie, Helen mówi: „Właśnie przed chwilą, jak zaparkowałam na podjeździe, zadzwoniła Lucinda. Zaproponowano jej świetną pracę i uwaga, werble, ta praca jest w Londynie”. Anna poruszyła się, ale nie w jednym z tych straszliwych spazmów, których były świadkami, kiedy weszły do pokoju, lecz przeciągnęła się niczym kotka, leniwie rozpostarła ramiona, rozciągając zeszywniałe w nadgarstkach mięśnie i kręcąc barkami, a potem poprosiła Ming, żeby poprawiła jej poduszki, podczas gdy Helen pomagała jej usiąść.

– Lucinda powiedziała, że to dzięki mnie. Dzięki temu, że w nią wierzę – zdołała wykrztusić Helen, zanim się rozplakała.

Anna kiwa głową, oczy wciąż ma zamknięte.

– Okay, dziewczyny, jedna maleńka zajawka z mojej strony. – Caroline prostuje się wystudiowanym gestem. – Wczoraj rano byłam na karaibskiej plaży, a Elise miała na głowie warkoczyki *à la* Bo Derek.

Anna powoli unosi powiekę. A potem, jak w kreskówkach, gwałtownie

otwiera drugie oko. Ściera okruszki „spiochów”, które przykleiły się do rzęs. Caroline podaje jej ciepłą szmatkę. Anna rozkłada tetrowy kwadracik na dłoni i powoli wyciera twarz.

Ze zwiniętą szmatką przy policzku spogląda w otwarte okno.

– Powinnyśmy wyjść na dwór.

– To właśnie przed chwilą proponowała Ming – odpowiada Helen, jakby była to najprostsza myśl na świecie. – Na zewnątrz jest cudownie. Masz ochotę na wycieczkę?

– A co takiego może mi się stać? – Anna się śmieje.

MOŻE PARYŻ

Molly jechała krętymi bocznymi drózkami Amherst Północnego. Kiedyś, w szkole średniej, popołudniami robiły dokładnie to samo, Molly za kierownicą, a reszta ściśnięta, czasem nawet z dwiema dziewczynami upchniętymi na fotelu pasażera. Jeździły bez celu czy planu i ostatecznie często lądowały na Farmie, gdzie spędzały parę godzin, po czym znowu pakowały się do samochodu i Molly rozwoziła je do domów.

Skręcała w tę i we w tę stronę, próbując omijać dziury, ale nieutwardzona droga, rozryta przez ostrą zimę, usiana była dołkami i głębokimi koleinami. Molly zwolniła do dziesięciu kilometrów na godzinę, a mimo to samochodem trzęsło, jakby to był ciągnięty przez konia wóz na drewnianych kołach, a nie nowoczesny cud niemieckiej technologii z hydraulicznym zawieszeniem. Przy każdym wertepie Molly zerkła we wsteczne lusterko. Głowa Anny kołysała się, nawet gdy jechały po równej drodze. Była jak dziecko przypięte pasami na tylnej kanapie; gdy wyglądała na zewnątrz, jej oczy ledwo wystawały ponad dolną krawędź okna. Helen przysunęła się do Anny, obejmując ją ramieniem, żeby się nie zsunęła i nie uderzyła o coś czołem przy każdym wstrząsie. Co im strzeliło do głowy? Wyciągnięcie jej z bezpiecznego azylu sypialni wydawało się czystym szaleństwem.

Molly skręciła na szosę. Kiedy przyspieszyły, Anna wcisnęła guzik i opuściła szybę w oknie. Nagły furkot wiatru zabrzmiał niczym alarm.

– Wspaniałe uczucie. – Odchyliła lekko głowę, odgarniając niesforne włosy, które przyłgnęły do jej warg.

– Nie za bardzo wieje? – Helen objęła ją mocniej. Anna wydawała się tak krucha. Podmuch wiatru mógł ją złamać jak trzcinę. – Zimno, prawda?

– Otwórzcie je wszystkie.

– Dokąd jedziemy? – zawołała Molly, przekrzykując szum powietrza.

– Poszwendajmy się po prostu. – Anna wyglądała na zachwyconą i jak psotne dziecko zadarła lekko brodę, nadstawiając twarz do wiatru i słońca.

Kiedy wcisnęła guzik, podnosząc szybę, pozostałe natychmiast zrobiły to

samo. Zapadła cisza tak nagła i spokojna, jak nieposkromiony był wiatr. Minęły gimnazjum, w którym Anna uczyła matematyki, a potem stadninę, gdzie jej młodszy syn, Andy, trenował skoki przez przeszkody. Zdobył tyle trofeów, że obwiesił nimi całą ścianę, a przy okazji raz złamał obojczyk i ramię i parę razy doznał wstrząśnienia mózgu. Później dotarły nad jezioro Puffer's, gdzie przez lata wylegiwały się na piaszczystej plaży i patrzyły, jak wszystkie dzieciaki skaczą z unoszącej się na wodzie platformy.

Ming wskazała nieoznakowaną drogę i Molly skręciła na parking z widokiem na taflę jeziora.

– Przywiozłam kosz piknikowy – oświadczyła Ming. – Sebastian mówi, że w ten sposób również może cię odwiedzić, Anno.

Helen zasugerowała rozpalenie ogniska. Ale żadna się nie ruszyła. Wiatr marszczył wody jeziora. Nawet błękitne niebo zdawało się mieć chłodny odcień.

– Może zjemy w samochodzie? – zaproponowała Ming.

– Zróbmy sobie wakacje. – Anna spojrzała przez okno na zabite deskami przebieralnie. – Możemy?

– Oczywiście, Anno. – Ming nie wytoczyła jeszcze swojej argumentacji. Może nie będzie musiała. Jaka to ulga słyszeć, że Anna mówi o przyszłości. Szturchnęła Helen lekko w bark, a ta z nadzieją wzruszyła ramionami, jakby mówiła: „Może masz rację”.

– Zawsze chcieliśmy pojechać gdzieś wszystkie razem – powiedziała Helen.

To prawda. Zawsze planowały wielką wspólną eskapadę. Kobiety znacznie mniej zżyte niż one potrafiły świętować urodziny w Paryżu. Niech to, nawet głupie kluby czytelnicze organizowały sobie wakacyjne czytanie na Turks i Caicos.

– Nie zastanawiajmy się nad tym, dlaczego nam się dotąd nie udało – powiedziała Ming. – Planujmy.

Od nadmiaru pomysłów szumiało im w głowach.

Joga w Tulum.

Dajmy spokój z wyginaniem się na macie, ja poproszę tylko margaritę.

Narty w Park City.

Wielkanoc w Rzymie.

Rejs po Morzu Śródziemnym.

– Nie – powiedziała Anna. – Mam na myśli teraz. Wyrwijmy się po prostu z tego głupiego grajdołu.

INKANTACJA

Layla weszła kuchennymi drzwiami, zabręczały drewniane i metalowe dzwoneczki. Usłyszała, jak Zeus ujada hałaśliwie w głębi domu. Pewnie w pokoju Anny. Wpadła tylko na chwilę. Wiedziała, jak nerwowe robią się Stare Znajome, kiedy ktoś zakłóca ich święty czas z Anną. Rozumiała je. Ale musiała

porozmawiać z Helen.

– Co Anna chce później? – zapytały kobiety z Doliny przedwczoraj wieczorem, kiedy zebrały się w salonie na modlitwę. Anna nie pozwoliła się tam przenieść, nie chciała również, by modliły się w kręgu przy jej łóżku. Kiedy Layla przyznała, że nie wie, czego Anna sobie życzy, popatrzyły na nią jak na złą przyjaciółkę. Connie też nie wiedziała. I wtedy Layla poszła do sypialni.

– Czego sobie życzysz? – Miała sobie za złe, że nie umie się powstrzymać od płaczu, gdy o to pyta. Nie była pewna, jak dużo Anna jeszcze rozumie.

– Wszyscy mnie o to pytają – jęknęła Anna. – Helen się tym zajmie. Nie pozwoli, żeby było nudno. Nie chciałabym, żeby wszyscy zanudzili się na śmierć.

W trakcie codziennych teraz rozmów telefonicznych z Helen Layla powstrzymywała się przed poruszeniem kwestii uroczystości żałobnej. Mowa była tylko o tym, jak czuje się Anna. Layla dostała polecenie od piątkowego Kółka Rękodzieła i Degustacji Wina, ale zdawała sobie sprawę, że wystarczy napomknąć słówko o inkantacji, a Helen natychmiast się nastroszy. Przyjaciółki z dzieciństwa wydawały się mocno przeciwne wszystkiemu, co ich zdaniem trąciło New Age. Może należałoby powiedzieć: „Chcemy zaśpiewać pewną piosenkę”. Kiedy rozmawiały wczoraj wieczorem, Helen poprosiła: „Wpadnij, proszę. Chciałabym się z tobą zobaczyć”. Wytworzyła się między nimi jakaś bliskość. Zazwyczaj obie zaczynały płakać, gdy Layla opisywała, jak stan Anny się pogarsza.

Bez względu na to, co Helen sądziła, Anna uwielbiała tę inkantację, Layla nie miała co do tego cienia wątpliwości. Bez względu na to, jak Helen mogłaby się krzywić i kręcić nosem, pozostawało faktem, że Anna prosiła, by każde spotkanie Kółka Rękodzieła i Degustacji Wina kończyło się właśnie tą inkantacją. Przez lata wspólnego śpiewania udało im się wypracować subtelne wielogłosowe harmonie. To coś znaczyło. Właściwie na samą myśl o tym Layli burzyła się krew. Powinno wystarczyć, że powie: „Helen, spotykałyśmy się czy to u mnie w kuchni, czy u niej prawie codziennie przez dwadzieścia lat. Ja też wiem, czego Anna może sobie życzyć”. Ale czemu miałyby się tłumaczyć? Przez to wszystko Layla czuła się, jakby znowu była w siódmej klasie. I nie w tym kręgu koleżanek, które najbardziej jej odpowiadały.

– Hej, zbóju! – zawołała, odpowiadając na ciągle ujadanie Zeusa. Czekala, aż przybiegnie z korytarza i zacznie skakać wokół niej, szczekając.

Ale coś się nie zgadzało. Nikt nie krzyknął, żeby Zeus się zamknął. Nic się nie gotowało, żadne ekstrawaganckie pyszności w rodzaju tych, jakie przyjaciółki przywiozły w zeszłym tygodniu. Na kuchence nie było garnka zupy Ming.

Może nie przyjechały? Wymiękły, kiedy sprawy przybrały naprawdę zły obrót. To nie dla nich, skoro nie mogły już zgrywać wielkich bohaterek, stawiać się z pełnymi samozadowolenia uśmiechami na wezwanie Anny, by wspólnie wspominać szkolne lata.

Teraz, gdy Anna była ledwie przytomna, stchórzyły – uznały, że zrobiło się zbyt ciężko.

Albo, co bardziej prawdopodobne, po prostu się spóźniły.

Layla mogła zostać aż do ich przybycia. Każda chwila z przyjaciółką była dla niej cenna. Nawet gdy Anna spała. Jej lekkie, terkoczące chrapanie działało kojąco.

Ale w sypialni był tylko Zeus.

Zaparł się wszystkimi czterema łapami na szpitalnym łóżku i czekał tak zjadle, jak na czujnego miniaturowego pudelka przystało.

– Co się dzieje? – Layla schyliła się, żeby pies mógł jej wskoczyć w ramiona. – Gdzie są wszyscy, zbóju? Gdzie Anna, Zeusku? – Starala się stłumić niepokój w głosie. – Gdzie nasza Anna?

Ubrania Anny, te, których zdjęcia odmawiała – fioletowe spodnie od dresu, zielona koszulka Billabong i niebieskie skarpety narciarskie, wszystko w spadku po dzieciach – leżały razem na łóżku.

Layla obróciła się dookoła. Gdzie Anna?

Opuściła Zeusa na podłogę. Podbiegł do poduszki, złapał ją w zęby i zaczął gryźć i szarpać.

Layla znowu się obróciła, jakby za pierwszym razem mogło jej coś umknąć.

– Dokąd poszła, Zeus? Powiedz mi.

Nie chciała płakać, ale się rozplakała.

Złożyła równiutko spodnie i T-shirt, zwinęła skarpetki w kulkę i ułożyła wszystko starannie na fotelu. Kiedy znów spojrzała na łóżko, zakręciło jej się w głowie i rzadka ślina napłynęła do ust. Fala nudności. Naprawdę zbierało jej się na wymioty. Łóżko było takie puste.

– Co jest grane? – Layla starala się mówić lekkim, śpiewnym tonem. – Gdzie twoja zwariowana pańcia?

Wczoraj u Anny nocowała Connie. Był harmonogram. Gdyby stało się coś złego, Connie by o tym wiedziała. I John. On także.

Zeus biegał nerwowo po łóżku, w skotłowanej pościeli, aż ugrzązł w niej i upadł. Od wielu dni leżał skulony przy Annie, czekając, ilekroć ktoś siadał przy niej.

– Już dobrze, Zeus.

Ale nic nie było dobrze. Miała wrażenie, jakby powietrze w domu było naelektryzowane. Jakby wszędzie porozpinano wystrzępione sznurki, podwiązane do ukrytych ładunków wybuchowych. Przez otwarte okno wpadało rześkie, pachnące igliwem powietrze. W dużym drewnianym domu ziało groźną pustką.

Musiła zadzwonić do Connie i Johna.

Ale nawet telefon wydawał się groźny. Nie mogła go dotknąć. Ani podnieść słuchawki. Co by usłyszała, gdyby to zrobiła?

Musiała się stąd wydostać. Pójść do Connie i Johna. Gdy już dotrze do ich domu, poczuje się lepiej. Zastanie Connie przykucniętą w ogrodzie. Connie podniesie się, zdejmując rękawice. „Herbaty?” – zaproponuje, a potem staną z filiżankami w dłoniach, przyglądając się grządkom sałaty i świeżo zasadzonym gruszom.

Layla się wystraszyła, ale prawdopodobnie wszystko było w porządku.

– Chodź, zbóju. – Wyciągnęła ramiona. Zeus ujadł piskliwie i gonił skołtuniony ogon. – Chodź. – Pochyliła się nad łóżkiem i spróbowała złapać psa za ozdobioną strasem obrozę. Nie mogła się przemóc, żeby dotknąć pościeli. Gdyby to zrobiła, stałoby się coś strasznego. Zeus zawarczał nisko, gardłowo, jakby ktoś sypał żwir. Sięgnęła po niego obiema rękami, a wtedy ją capnął. Błyskawiczne ostre ugryzienie. Poczowała wilgoć na dłoni. Wzięła koszulkę Anny, owinęła nią rękę. Zeus stał, machając kudłatym ogonkiem. Musiała stąd wyjść. Ale nie powinna zostawiać go tu, na łóżku. Anna by sobie tego nie życzyła. Gdziekolwiek teraz była. Ale Layla nie zdobyła się na to, by znowu wyciągnąć ramiona po psa.

BALSAM

Samochód mknął szosą I-91, pod Springfield skręcił na zachód, na dziewięćdziesiątkę.

W kierunku Stockbridge.

W kierunku hotelu i spa Nad Ruczajem.

Kluczowe słowo – „spa”.

Uwielbiały „spa”. Tę jasną samogłoskę. Wystarczyło wypowiedzieć to słowo, by poczuć się świeżo. Żadna nie odwiedziła wcześniej Ruczaju, ale słyszały, że to elegancja-Francja. Nie zadzwoniły zawczasu, żeby spytać, czy można po prostu tam przyjechać, czy też trzeba dokonać rezerwacji.

Były na wakacjach. Kto by się ośmielił ich nie wpuścić?

Poza tym były zbyt zajęte. Każda wyobrażała sobie swój idealny pobyt w spa – sauna mokra i sucha, masaż tkanek głębokich, maseczki błotne, masaże relaksacyjne, peeling, pedikiur, niekończące się wcieranie w ciało jedwabistych kremów bogatych w substancje odżywcze.

– Chcę wykorzystać mnóstwo ręczników z egipskiej bawełny, które będę z całą nonszalancją rzucać na podłogę, żeby ktoś je za mnie podnosił – powiedziała Caroline, wyginając nadgarstki niczym tancerka flamenco.

– Sebastian słyszał, że tamtejsza restauracja jest fenomenalna, ale też fenomenalnie droga.

Zaśmiały się z tego, jak trudno było Ming choćby na chwilę zapomnieć o oszczędności.

Anna wyciągnęła kartę kredytową.

– Właśnie po to Bóg stworzył plastik. Jaki komornik ośmieli się ściagać mnie

tam, dokąd się wybieram?

Wcale nie mówiła bełkotliwie, głos miała tak mocny, a dowcip tak celny, że nawet Helen się roześmiała, jakby samo słówko „spa” już zadziało na nie wszystkie niczym balsam.

– Urodowo jestem zaniedbana. – Anna chwyciła w palce obwisłą skórę na przedramieniu. Odrzuciła cienki koc. – Pieprzyć aplikację miejscową. Jak już tam będziemy, zamierzam wszystkie te buteleczki cudownych balsamów do ciała po prostu wypić.

Molly skręciła i wjechała w bramę spa. Pozwoliły sobie na ostatnie grupowe sprawdzenie telefonów (Ming: trzy wiadomości od adwokata pana Hyde’a; Asa: Powiedz Annie, że kupisz jej fotel w niebie w pierwszym rządzie za tę całą forszę od Google; Tessa: nic, nawet żadnego: „Zamknij się. Mamo”). Potem włączyły tryb samolotowy i auto ruszyło powoli ocienionym drzewami długim podjazdem.

Mijały łagodne zbocze porośnięte murawą, starannie wytyczone ścieżki, zagajniki i klomby pełne niedawno poprzycinanych roślin, przygotowanych już do bujnego rozkwitu na wiosnę. A w głębi, oczywiście, wznosił się gmach spa. Dokładnie tak go sobie wyobrażały – ogromny, z wieloma skrzydłami, z cegły i wydobywanego w pobliżu marmuru. Czemu, będąc na wakacjach, zgadzać się na coś gorszego niż ta pięknie odrestaurowana i przywrócona do pierwotnej świetności rezydencja z wieku pozłacanego. I właśnie tutaj, w spa, miał się rozpocząć powrót Anny do zdrowia, do życia. Czują, że wszystko jest możliwe. Stare Znajome odprawią swoje czary i przywiozą do domu Annę o różowych policzkach.

Molly zaparkowała i nie wyłączyła jeszcze silnika, a już portierzy otwierali drzwi samochodu.

– Witamy serdecznie, szanowne panie. – Krzątali się i witali całą piątkę, jakby niecierpliwie czekali cały dzień, aby to zrobić.

Ming wcisnęła się przed któregoś z mężczyzn i chwyciła Annę z jednej strony, podczas gdy Helen wślizgnęła się od tyłu i niczym w subtelnej baletowej choreografii pomogła jej postawić przyjaciółkę na nogi, a następnie wyprowadzić spomiędzy boyów. Niosły ją tak, że zdawała się frunąć centymetr nad ziemią, gdy wkroczyły frontowym wejściem, cały czas z ożywieniem rozmawiając z Caroline.

Molly puściła oko do przystojnego boya, gdy powoli rozprostowała najpierw jedną, a potem drugą nogę, wysiadając z auta.

– Nie, żadnych bagaży. Bez obaw.

Mrugnęła do niego raz jeszcze i rzuciła mu kluczyki.

PIĘĆ MINUT

– Helen? Ming? – Czuł się jak idiota, że tak woła.

Natychmiast stało się jasne, że nikogo nie ma w domu. Jeśli nie liczyć psa,

który prześlizgnął mu się między nogami i wybiegł przez tylne drzwi, gdy tylko Reuben je otworzył. Czemu, mimo jawnej oczywistości, że dom jest pusty, że Anny nie ma w łóżku, wbiegł na piętro, przeskakując po dwa schodki, i pootwierał drzwi do pokoiów dzieci?

Czego się obawiał?

Zaparkował obok samochodu Helen. Auta Ming i Caroline też stały na podjeździe. Ich torby z bagażami leżały rzędkiem w przedpokoju od frontu.

Więc co tu jest grane?

Poszukał liściku na blacie w kuchni, na stole w jadalni. Wszędzie, gdzie ludzie zostawiają wiadomości. To zwyczajna grzeczność. Dowód pamięci. Krótki liścik. Czy tak trudno było go napisać? Ale to dla nich typowe, prawda? Zwalą się tu święcie przekonane, że przez cały tydzień, kiedy zajmowały się własnym życiem, nic się nie zdarzyło. Właściwie to zdumiewające, do jakiego stopnia potrafiły nie dostrzegać tego wszystkiego, tego ogromnego codziennego wysiłku.

Codziennie trzeba było wszczynać jakiś alarm. Przez ostatnie trzy dni pięć razy odebrał telefon: „Reuben, musisz tu przyjechać” – albo esemes: „Przyjedź natychmiast, potrzebuję pomocy”. Jeżeli nie musiał się zająć rzeczywistym kryzysem, to proszono go o gaszenie pożaru duszy. To wcale nie metafora. Dzieci mają nagłe problemy. Bracia Anny znowu sprzeciwiają się leczeniu paliatywnemu. I jeszcze telefony w związku z tym cholernym psem. Któregoś dnia Zeusa znaleziono dziesięć kilometrów od domu. Nazajutrz próbował ugryźć pielęgniarkę, gdy ta przewracała Annę na drugi bok.

I jeszcze noce. Reuben pada na łóżko półprzytomny i myśli, że zaśnie w niecałą sekundę, tymczasem dwie godziny później wspomina opaloną twarz Anny na rodzinnych wakacjach w Belize. Płyną motorówką, wracając ze swojego pierwszego nurkowania z butlą tlenową. Reuben liczy wszystkie odcienie niebieskiego, które widzi na niebie i w oceanie. „Tam w głębi jest cały świat – zauważa Anna śpiewnym głosem, jej twarz jest pełna zachwyty i usiana nowymi piegami. – Mówiłeś mi, ale nie wierzyłam. Tamten świat jest równie piękny jak ten”. Albo sparaliżowany strachem budzi się gwałtownie z koszmarne snu, a ona leży w szpitalnym łóżku, skurczona do rozmiaru noworodka, i błaga: „Obiecuj mi. Po prostu mi obiecuj”.

Wrócił do sypialni Anny. Może jednak przegapił jakiś liścik. Zwykle Ming wykazywała w takich sprawach zapobiegliwość i rozsądek. Przecież była cholernym prawnikiem, na litość boską. Ale nie. Nic. Żadnej karteczki na poduszce. Żadnej wiadomości. Żadnego śladu refleksji, że przecież może wejść do domu, zobaczyć, że Anny nie ma, i się zdenerwować.

Jedyną wskazówkę stanowił brak koca na łóżku. Koca, którym Anna zawsze okrywa plecy lub nogi.

Zamiast koca Reuben zauważył kropelki krwi na pościeli. Wyglądały na

świeże.

Wiedział, że nie ma powodu się denerwować. Gdyby coś się stało, na pewno by do niego zadzwoniono. Krew pochodziła wyraźnie z jakiegoś drobnego skaleczenia. Skóra Anny była tak cienka, że czasami raniły ją nawet bawełniane ubrania. Mimo wszystko jednak się niepokoił.

Zaczął poprawiać pościel, wygładził kołdrę, która była skotłowana w nogach łóżka. Wcisnął guzik sterownika i patrzył, jak zagłówek się opuszcza, a materac wraca do płaskiej pozycji leżącej. Reuben położył się na szpitalnym łóżku. Pokręcił gałkami sterownika i jak dzieciak jeździł z materacem to w górę, to w dół. Mocno nacisnął guzik, przyspieszając, a potem zwolnił. I znowu przyspieszył. Miał ochotę spróbować tego od chwili, gdy tu zainstalował Annie to łóżko. „Żadnych szpitalnych łóżek”, upierała się. Typowa dla niej pierwsza reakcja. Na wszystko najpierw reagowała odmową: „Nie chcę tego, nie potrzebuję”.

– Okay, masz rację. – Uśmiechnęła się do niego, gdy pierwszy raz wcisnęła guzik sterownika i łóżko podjechało w górę, podnosząc ją do pozycji siedzącej. – Ale niech ci z tego powodu nie odbije sodówka.

Sprawnym ruchem podniósł boczne poręcze łóżka. Jak w kołysce. A gdyby tak ktoś wszedł i zastał go w tym łóżku? Reuben miał to w nosie. To był kiedyś także jego pokój, chociaż przy wszystkich dodatkowych meblach, które tu przez ten czas wtuszczono, ledwo przypominał ich dawną sypialnię; pokój, do którego przydreptywały w nocy dzieci przestraszone niedobrymi snami, pokój, w którym próbował brać się w garść podczas pierwszego rzutu jej choroby, pokój, w którym kłócili się i uparcie obstawali przy swoim.

Reuben przewrócił się na bok i nakrył kołdrą. Nie pozostało w nim już tyle uporów. Pięć minut. Pozwoli sobie na pięć minut przerwy. Miał od groma spraw do załatwienia, mimo wszystko zrobi sobie pięć minut przerwy. Wszyscy pozostali robili sobie przerwy, żeby nie zwariować, tylko on nie. Kurczę, brat Anny, Michael, zapisał się na kolejny maraton i podczas ostatnich odwiedzin więcej czasu spędził na trenowaniu niż na dotrzymywaniu towarzystwa siostrze. Reuben potrzebował pięciu minut, żeby poradzić sobie z wkurwieniem. Zasadnie czy nie, głównie był wkurwiony na Helen. I Annę. Tak, no właśnie. Ten gniew. Ten pusty pokój. Jak ona mogła? Chorowała tyle lat, że trudno mu było sobie przypomnieć życie, ich życie sprzed choroby. Nie chodziło o to, że nie pamiętał, tylko o to, że wspominając, jeszcze bardziej cierpiał. Te wczesne lata, jej zniewalająca uroda. Pragnął jej na okrągło. Przez całe lata. Ich intymna zabawa. Jej słodki senny uśmiech po seksie. Jej idealna miedziana skóra – poorana, posiniaczona, wiotka. Jej drobne uszy o obwisłych płatkach, sterczące teraz na boki. Anna nigdy tego nie chciała. Opatulił się kołdrą i zacisnął powieki.

PROMIENNOŚĆ

– Jestem Mindy. – Urocza młoda kobieta zbliżyła się lekkim krokiem. – Czy mogę w czymś pomóc?

Od Mindy biło zdrowie, łagodny blask rzeźkości. Nawet jej uśmiech zdawał się jędrny i sprężysty. Jak obietnica wszystkiego, co ma do zaoferowania spa. Pomieszczenie za jej plecami było przestronne i jasne. Zielone jabłka w szerokiej szklanej misie pośrodku stołu – stanowiły pierwszy dar dla zdrowia.

– Och, Mindy, z rozkoszą skorzystałybyśmy z zabiegów – zaszcebiotała Anna pierwsza. – Bez żadnych męczących ćwiczeń.

– Mają panie rezerwacje?

– Żyj tu i teraz, złotko – odpowiedziała śpiewnie z hipisowską egzaltacją. – To nasza mantra.

– Poprosimy karnety na jeden dzień. – Do rozmowy wtrąciła się Caroline, po ostatnim tygodniu przygód z Elise przyzwyczajona do szybkiego przejmowania kontroli nad sytuacją.

– Przykro mi, ale obowiązują u nas zapisy z co najmniej dwudniowym wyprzedzeniem.

Mindy nadal uśmiechała się szeroko, jak na profesjonalistkę przystało.

– Nie mam tyle czasu. – Anna zamachała swoją kartą kredytową. – Żyję według zasady: nie odkładaj na jutro tego, co możesz zrobić dziś.

Jej śpiewny głos przybrał na sile.

Stał się skrzekliwy.

Po raz pierwszy, odkąd rozpoczęły te beztrioskie wakacje, odkąd wybrały się w podróż za miasto jak Jack Kerouac hen, przed siebie, Ming, Caroline, Helen i Molly uświadomiły sobie, że cały entuzjazm Anny – cała ta kipiąca energia, którą przypisywały swoim dziewczynskim mocom – brał się z czegoś innego. Może z pobudzenia morfinowego, które, jak donosił Reuben, często wyglądało na przypływ energii.

Nie, żadne „może”. Kiedy patrzyły na Annę w recepcji hotelu i spa Nad Ruczajem, na wrzecionowate ramiona falujące nad głową niczym macki i trzepoczącą w palcach kartę kredytową, nie miały wątpliwości, że ich przyjaciółka jest kompletnie odurzona.

Patrzyły, jak Mindy w popłochu rozgląda się po recepcji.

Anna nie czuła się dobrze, odleciała jak odpalona petarda. Były takie głupie.

Przy frontowych drzwiach grupa spacerowiczów – z kijkami do maszerowania w jednej garści i kubkami krzepiącej gorącej czekolady w drugiej – przestała jodłować *This Land Is Your Land*. Gapili się teraz na Annę. Przerażeni.

Dwie kobiety w identycznych strojach do jogi stanęły pośrodku recepcji i uniosły ręce do serca.

Co sobie wyobrażały, wyciągając Annę z domu? Ile ona teraz ważyła – trzydzieści, trzydzieści pięć kilogramów? Wyglądała jak drobne, skurczone,

słaniające się na nogach dziecko.

Za późno.

I za późno dla Mindy. Tej sytuacji nie pokazano w żadnym podręczniku o traktowaniu gości. Nieśmiała, zdolowana, anorektyczka, bulimiczka czy korpulentna – z tymi sobie poradzimy. Tak jak z kobietą, która nie wie, czy chce ćwiczyć, a także z fanatyczką fitnessu, ze spiętą klientką i ze śniętą rybą.

Ale Anna, o pociągłej twarzy i lśniącej błękitnoszarej cerze, o wychudłych ramionach wymachujących w powietrzu, o wysuszonym ciele, poruszającym się płynnie niczym morskie wodorosty, Anna – a do diabła ze współczuciem i serdecznym przyjęciem! Czy ktoś mógł tu jeszcze kogoś oszukać? – ta oszołomiona wiotka istota na pewno nie została opisana w żadnym podręczniku.

I pal sześć zażenowanie.

Ta klientka nie tylko psuła atmosferę ośrodka.

Amatorki jogi zastygły w pozycji góry i wytrzeszczyły oczy.

Mindy wyraźnie drżała, kiedy pojawiło się dwóch zwalistych mężczyzn. Widać został uruchomiony bezgłośny alarm: „Uwaga, wariatka”. Przerazone skinienie głową młodej kobiety zdawało się mówić: „To gorzej niż wariatka. To sprawa dla policji i pogotowia”. Ale zanim Mindy lub wkurzeni trenerzy-siepacze mieli okazję zaprowadzić przybyłe na zaplecze, gdzie wszystko można by sprawnie załatwić z dala od oczu i uszu gości płacących za ciszę i spokój, Anna opuściła rękę i wyciągnęła je do Mindy, a karta kredytowa upadła na ziemię.

– Może przyjedziemy tu innym razem. – Caroline przytrzymała Annę, żeby ta nie upadła. Przyjaciółka wymknęła jej się i rzuciła niebezpiecznie do przodu.

– Jak fajnie. – Przytknęła rozpostarte dłonie do brzucha Mindy. – Właśnie zauważyłam. W którym jesteś miesiącu? W szóstym? Moje dzieci są już dorosłe.

Mindy natychmiast przestała się trząść. Nerwowo przetykała ślinę. Zapędzona w kozi róg, osaczona, próbowała odepchnąć, oderwać dłonie Anny od swojego ciała.

– Och, to przepięknie, Mindy. – Głos Anny był cichy i jakby nie z tego świata. Dłonie wciąż miała przyklejone do brzucha dziewczyny.

– Zachodzisz w ciążę i nagle, Mindy, inne kobiety zaczynają opowiadać ci własne historie z tego okresu. A potem historie porodów. Później, jak dziecko ma kolkę, jakaś kobieta w kolejce do kasy, zupełnie obca osoba, mówi ci, żebyś kładła mu na brzuszek ciepły ręcznik. Na każdym etapie są kobiety, które otwierają przed tobą kolejne drzwi.

Anna zamknęła oczy, jej dłonie kolistymi ruchami gładziły brzuch Mindy.

– Najdroższe moje – powiedziała i zaczęła coś szeptać. Jakby mamrotała jakąś modlitwę. Błogosławieństwo?

„Najdroższe moje?” – powtórzyła bezgłośnie Ming i popatrzyła to na Helen, to na Molly i Caroline. Unosiły brwi, dając sobie do zrozumienia, że nie wiedzą, co

to znaczy, ale wszystkie słyszały, jak Anna mamrotała te słowa. Jeszcze w domu, kiedy myślały, że przyjaciółka śpi, pochylały się nad łóżkiem i wtedy słyszały, jak szepcze: „Najdroższe moje”.

Musiały ją stąd natychmiast zabrać.

Mindy zatkało w niemyim krzyku. Czy powinny poczekać, aż ta kobieta cofnie ręce? Czy już zareagować? Oczywiście czuła obrzydzenie.

Wydawało się, że najwyższa pora brać Annę i wiać. Zejść za lewą kulisę.

Wtem oczy Anny otworzyły się z trzepotem rzęs, nagle błyszczące i pewne siebie.

– To szalona jazda, Mindy, ale przygotuj się na mnóstwo radości i satysfakcji.

– Ona ma rację – potwierdziła Helen. – Proszę się nie przejmować, Mindy, już sobie idziemy. – I dodała cichszym głosem: – Chciałyśmy tylko zabrać ją na miłe wakacje.

– Tak mi przykro – raz po raz szlochała Mindy, kiedy przyjaciółki we cztery otoczyły Annę, która zaczęła się ślaniać, a potem omdlewać i opadać niczym mokra kartka papieru.

TAKIE ŻYCIE

Stojąc w drzwiach, z torbą pielęgnarską i plecakiem opartymi o futrynę, Kate popatrzyła na śpiącego Reubena. Leżał skulony, szczelnie okryty niebieską kołdrą, ściskając w pięściach jej róg. Wyglądał jak przybłęda, który opadł z sił. Spał naprawdę głęboko. Jakby wypił zaczarowany eliksir. Taki z książki dla dzieci, którą wieczorami czytała synkowi. Reuben był Złotowłosa, tylko loki miał ciemniejsze. Albo, jeśli wziąć pod uwagę basowe chrapanie, może raczej dobrym wilkiem, o ile w jakiegokolwiek bajce występuje dobry wilk. Chrapał jak rytmicznie terkoczący silnik. Miał więcej niż raz złamaną przegrodę nosową, Kate poznawała ten specyficzny dźwięk.

Poręcze łóżka były podniesione. On to zrobił? Pewnie, bo niby kto. Tak, on, oczywiście. A kiedy spojrzała na jego palce, które to zaciskały się, to rozprostowywały, chwytając i puszczając poszewkę, uprzytomniła sobie, że to kiedyś była również jego kołdra. A ten pokój był także jego pokojem. Jego i Anny. Przez ile lat? Jakoś nigdy nie udało jej się tego dokładnie dowiedzieć. Podobnie jak tego, czy wciąż są małżeństwem, czy już nie. Więc to nie tyle Złotowłosa wypróbująca obce łóżko, ile raczej powrót na stare śmiecie. Która baśń by tu pasowała?

Patrząc na Reubena, zupełnie zapomniała o Annie! Gdzie ona jest? Czy to już koniec?

Nie, gdyby to był koniec, ona, Kate zostałaby powiadomiona. Procedury były pod tym względem jasne. A Kate nie została powiadomiona.

Kiedy przyszła, z radością powitała ciszę i spokój. Ostatnio trudno było znaleźć się z chorą sam na sam choćby przez chwilę. Kate nigdy nie wiedziała, kogo zastanie koczującego w pokoju – jakąś nową koleżankę, która uprze się, żeby opowiedzieć o starych przygodach, albo robiąc radosną minę, będzie zadawała pytania świadczące o zagubieniu i narastającej rozpacz? W każdy weekend przyjeżdżali dwaj bracia... i siostry, a może bratowe – nie była pewna. I dzieci – oczywiście dorosłe dzieci Anny – ale także bratanice, kuzyni, różne dorosłe dzieci zjawiały się i chciały trzymać ją za rękę. Pewnego razu Kate zastała nawet grupę facetów w średnim wieku, którzy w pokoju Anny grali koncert rockowy.

Każdy z gości wydawał się wielce urażony, ilekroć prosiła, żeby opuścili pokój. Bracia nie ruszali się z miejsca, tłumacząc, że są lekarzami. Zawsze jej się stawiali, zawsze złożyli na opiekę hospicyjną, jakby hospicjum było wynalazkiem Kate. Nawet kiedy się uparła i udało jej się ich wyprosić, słyszała, jak czatują pod samymi drzwiami, by jak najszybciej wrócić na należne im miejsce.

Oczywiście wykonywała tę pracę na tyle długo, by wiedzieć, że to obsypywanie miłością, ten cały jej nadmiar jest tysiąc razy lepszy niż samotność w mieszkaniach i domach, gdzie pomagała umierać chorym mężczyznom i kobietom, których właściwie nikt nie odwiedzał. Ileż to razy szukała dorosłego dziecka jednego ze swoich podopiecznych, wertowała miejscowe książki telefoniczne i usilnie starała się przybrać neutralny ton? „Nawet krótka popołudniowa wizyta podziałałaby kojąco. Myślę, że po pańskiej wizycie lepiej by mu się spało”.

Ale w przypadku Anny może trzeba będzie w końcu wygonić te wszystkie tłumy z pokoju, przepędzić rozgadane towarzystwo, uparte w swym czuwaniu i wyrazach miłości.

Reuben obrócił się na plecy. Ręce opadły mu na boki. Z gardła wydobyło się charczące kaszlnięcie. Kate wycofała się za drzwi. Nie chciała, żeby przyłapał ją w niezręcznej sytuacji. Nie chciała, by się zorientował, że patrzyła, jak spał. Ale nie mogła oderwać od niego wzroku. Miło było popatrzeć na sen zdrowego człowieka, a dawno jej się to nie zdarzyło. I do tego mężczyzny! To też było miłe. Tak jak widok jego rosłego, wyciągniętego w zdrowej pozycji ciała, jego niezmaconego, dobrego snu. Niezmacony – to było właściwe słowo. Jego oddech wydawał się niezmacony. Muskularne ramiona były rozrzucone swobodnie na boki. Nic wysilonego. Nawet niskie chrapanie brzmiało jak chrapanie kogoś zdrowego. Zdumiewające. Czemu miałyby nie chcieć patrzeć? Patrzeć na jego bezbronność. Naturalnie, co noc zaglądała do swojego synka, ale to co innego. Przyjemnie było patrzeć na śpiącego mężczyznę – dostrzegała w tym coś intymnego.

Któregoś ranka, kiedy Kate była z nią w pokoju, Anna ni stąd, ni zowąd zaczęła się skarżyć, że nie pamięta cytatu z książki, który wplotła w swoją

przysięgę małżeńską. Robiła się coraz bardziej pobudzona, zafiksowała się na tym, że nie może przypomnieć sobie nawet tytułu książki.

– Jest o muszlach. Ale nie tak naprawdę. – Zdenerwowana zmarszczyła czoło.

A później wygięła wargi, jakby miała to na końcu języka, i powiedziała:

– Dar od czegoś.

Teraz Kate ma tę książkę. Jest pewna, że to właśnie ta, o którą Annie chodziło. Przyniosła ją w plecaku razem z nowym zaopatrzeniem. Była z wizytą u jednego ze swoich pacjentów, który miał na imię Tom. Pokazała mu, jak samodzielnie obsługiwać pompę, a potem Tom poprosił, żeby przyniosła mu z półki drugi tom *Diuny*. Parę tygodni wcześniej oświadczył, że ma nadzieję przeczytać ponownie wszystkie książki ze swojej biblioteczki. „Chociaż Pynchon mógłby mnie przedwcześnie wpędzić do grobu”, stwierdził, zmieniając jednak zdanie. Kiedy przeglądała zawartość prowizorycznego regału ze sklejki i cegieł, zwróciła uwagę na wąski niebieski grzbiet i proste wielkie litery tytułu: *Dar od morza*.

– Pieprzyć pożyczanie. Weź ją sobie – powiedział Tom swoim szorstkim tonem. – Nie pamiętam już, która z dziewczyn zostawiła mi po sobie tego gniota.

Ale zanim Kate wyszła, powiedział:

– Właściwie, jeśli kopnie w kalendarz pierwsza, to wezmę tę durną książkę z powrotem.

Pielęgniarka nie mogła się doczekać, kiedy przekaże książkę Annie. Po położeniu synka do łóżka przeczytała kawałek. Niebieska książeczka dobrze leżała jej w dłoni. I te rysunki, wykonane prostą kreską. W ogóle była piękna. Chociaż Kate przysnęła i obudziła się przy włączonej lampce z książką obok siebie. Starła się odgadnąć, który fragment Anna zacytowała w przysiędze małżeńskiej. Co powiedziała do Reubena. Było z czego wybierać. Cała książka nadawała się do cytowania. Jeśli miało się takie życie. Książka zakładała, że każde małżeństwo może przetrwać.

Właściwie to czytanie jej było bolesne. Wszystkie owe refleksje, cały czas poświęcany na pielęgnowanie życia. Ta ucieczka od życia, którego Kate sama nigdy nie zaznała. Właściwie nie była pewna, czy ktokolwiek go zaznał.

Co takiego tamta chciała powiedzieć Reubenowi na ślubnym kobiercu? Kate trudno było wyobrazić sobie Annę młodą. A już zupełnie nie była w stanie wyobrazić sobie jej zdrowej. Kiedy myślała o ślubie, potrafiła wytworzyć sobie obraz Reubena jako dwudziestoparolatka – te same kręcone włosy, tylko gęstsze, bez siwizny – ale stał on obok postaci, która wyglądała jak sękaty badyl – obok postaci starej, umierającej kobiety.

No i proszę, znowu to samo. Czowała, że pod tym względem nie sprawdza się w swojej pracy. Nigdy nie umiała dostrzec w twarzy umierającej młodej osoby.

Nawet tych pacjentów, którzy wycofali się w pełni do bezpiecznego świata swego dzieciństwa: bełkotali do swoich matek, rozmawiali z młodszymi siostrami przy rodzinnych stołach, nieistniejących już od sześćdziesięciu lat – widziała tylko ich skurczone, krucho, umierające ciała, słyszała dziecięce gaworzenie, któremu towarzyszył ślinotok i smród, a także śliskie bezzębne dźwięki w ostatnich dniach.

To było okropne, ten brak współodczuwania, podczas gdy jej praca zasadała się na empatii. Ale patrząc, jak ci ludzie umierają, nie umiała cofnąć wskazówek zegara i przywołać ich dawniejszego obrazu – w zdrowiu i pełni życia. Nawet zdjęcia, na które nieuchronnie natykała się przy łóżkach – te rzadki poprzednich wcieleń w eleganckich strojach lub podczas spływu kajakiem wśród wzburzonych fal – wydawały się nieprawdziwe. Kate potajemnie uznawała tę nieumiejętność za swoją wadę. Chociaż to akurat nikogo jeszcze nie zabiło.

Może powinna zostawić Annie zaopatrzenie i książkę z liścikiem. Na szafce nocnej. Nie, to zbyt upiorne; Reuben zorientowałby się, że Kate była w pokoju i widziała go śpiącego w szpitalnym łóżku. Stała tuż obok niego, by zostawić fiolki z lekarstwami. Nawet gdyby zostawiła je na kuchennym blacie, Reuben domyśliłby się, że była w domu.

Może gdyby się obudził i znalazł książkę, dowiedział się, że Anna pragnęła przypomnieć sobie słowa, które kiedyś do niego wypowiedziała, uznałby to za akt dobroci. A może zupełnie by mu się to nie spodobało. Reubena trudno było rozgryźć. Wydawał się taki spięty, w ciągłym wirze zajęć, zawsze miał jakąś pracę do wykonania, a w kieszeni nosił kartkę z nagryzonym zestawem pytań. „A może coś na smutek?” – odezwał się kiedyś i Kate dopiero po chwili załapała, że miał na myśli smutek Anny, nie swój. Wyglądała się wtedy, oparła mu dłonie na barkach i spytała: „Reuben, czy ktokolwiek w tym domu daje ci wsparcie?”. Nawet nie sam gest, nie dłonie na jego barkach, lecz jej ton zabrzmiał nieprofesjonalnie. Co właściwie mu oferowała? Na szczęście odpowiedział wtedy: „Wyglądam na faceta, któremu potrzeba wsparcia?”.

Reuben drgnął i dźwignął się, jakby zamierzał ruszyć do drzwi. Kate wstrzymała oddech, przypuszczając, że śpiący zaraz otworzy oczy. On jednak tylko stęknął przeciągle, wciąż pogrążony we śnie, i znów się skulił niczym embrion.

Kate wyszła z pokoju. Ruszyła korytarzem, mijając ścianę rodzinnych zdjęć w oprawkach. Bez względu na to, gdzie Anna teraz była, miała w domu wszystko, czego mogłaby do jutra potrzebować. Kate nie wyobrażała sobie, kto mógłby dokądkolwiek zabrać jej podopieczną, ale wiedziała, że z tym towarzystwem wszystko jest możliwe.

Zamierzała tu wrócić. Wykroić sobie czas na Annę w ramach reszty wizyt. Ale obiecała synowi, że pogra z nim w bejsbol, pomoże roznosić rękawicę łapacza. Po rzutach zamierzała go nauczyć, jak zmiękczyć rękawicę olejem, podgrzewając ją dwanaście minut w piekarniku.

Książka będzie musiała poczekać do rana. Wtedy wygoni wszystkich z pokoju i nawet przekona upartą Annę do oddychania tlenem. I poczyta jej na głos. Zostanie trochę dłużej. Poczekaj, aż Anna przypomni sobie ten cytat, poprosi, żeby jej go przeczytała, zachęci do wypowiedzenia go na głos. Przyjrzy się dobrze twarzy Anny, kiedy ta będzie recytowała słowa przysięgi. Przekona się, czy dostrzeże coś w jej twarzy, dowie się, jak wygląda nadzieja u kobiety, która wierzyła, że miłość może przetrwać.

NASTĘPNY PRZYSTANEK

– Następny przystanek: Machu Picchu – oświadczyła Molly, zaparkowawszy blisko stołu piknikowego.

Ming prędko wzięła się do pracy, wyciągnęła z otwartego bagażnika torby i wiklinowy kosz.

– Dzięki uprzejmości naszego szefa kuchni, Sebastiana – powiedziała, kłaniając się nisko.

Rzeczywiście Sebastian zaopatrzył je we wszystko prócz osła, który wtaszczyłby kosz na górski szczyt. Ming nie zamierzała jeszcze składać broni. Właśnie zbliżał się moment, by podjąć z Anną sprawę dalszego leczenia. Może ze spa przesadziły. Ale Anna sama chciała wyrwać się dokądś. Chciała zrobić sobie wakacje. To coś znaczyło.

Ming zamaszczym ruchem rozpostarła obrus w czerwoną kratę, aż wzbil się w powietrze i opadł na blat stołu. W koszu Sebastian starannie upakował metalowe pojemniki – empanady, frittate ze szpinakiem, plastry pomidorów i melona, miękki kozi ser, a także grzanki nacierane czosnkiem.

Podczas gdy Ming przygotowywała ucztę – aż po taki szczegół, jak płócienne serwetki, które ułożyła w wachlarze na każdym z metalowych talerzy z niebieską emalią – Helen ruszyła wzdłuż brzegu, zbierając suche gałęzie i patyki na podpałkę w palenisku obok stołu. Kiedy ogień buchnął wysokim płomieniem, a następnie się uspokoił, Helen i Caroline chwyciły się za łokcie i splotły ręce w siedzisko, a Molly powoli uniosła Annę z tylnej kanapy, poprawiając koc, który okrywał jej barki.

– Dobrze sobie radzisz? – Nawet zadając to pytanie, Helen nie potrafiłaby wyjaśnić, co by to mogło znaczyć. Ale mimo wszystko czyż nie było lepiej? Może nie doszło do zwrotu o sto osiemdziesiąt stopni, który zdaniem Ming wciąż mógł nastąpić. Jednak czy część tej magii, na jaką miała nadzieję, się nie ziściła? Anna wstała przecież z łóżka i namówiła je na przejażdżkę. Zabrała je na wycieczkę, swą kolejną przygodę, aż po spotkanie z – Panie miej ją w swojej opiece – Mindy, która rozplakała się, podczas gdy tamta radziła jej, żeby dała sobie naciąć krocze i podać wszystkie leki, które zaoferują lekarze, gdy zaczniesz rodzić.

Molly cały czas jedną ręką obejmowała Annę w pasie, a drugą

podtrzymywała jej kark, gdy wszystkie zbliżały się krok za krokiem do stołu piknikowego. Posadziły przyjaciółkę na ławie, a gdy Anna się zachwiała, kolebiąc się niepewnie na boki, Molly ostrożnie przysiadła na ławie tuż za nią.

– Trzymam cię i nie puszcę – zapewniła ją półgłosem. Zdawała sobie sprawę, że nie będzie miała okazji znaleźć się bardziej sam na sam z Anną niż teraz. – Muszę ci coś powiedzieć. – Nim jednak zaczęła opisywać rozmowę w gabinecie dyrektora i ten wstrząsający ułamek sekundy, kiedy spostrzegła na cynamonowej skórze córki tatuaż, usłyszała urywane rżenie Anny. Każdy jej wdech zdawał się wymagać wysiłku. Molly starała się oddychać równo wraz z nią. Anna powiedziałaby: „Nie dramatyzuj, to tylko głupia dziara”. Molly poprawiła koc na barkach przyjaciółki. „Wcale jej nie tracisz. Jesteś świetną mamą”, stwierdziłaby Anna, odwracając głowę, by spojrzeć na nią pełnym przekonania, pewnym siebie wzrokiem. Na razie, siedząc z policzkiem wtulonym w jej plecy, kiedy słyszała wysiłek przy każdym oddechu Anny, Molly czuła, że musi jej wystarczyć sama świadomość tego, co tamta mogłaby powiedzieć.

– Smacznego, drogie panie, to jedzenie z gwiazdką Michelina – zaszczebiotała Ming. – Na co masz ochotę, Anno?

– Tylko popatrzę. Zapachy potraw nadal są przyjemne.

– No dobra, czy wszystkie jesteście wreszcie gotowe na sensację tygodnia? – Caroline pochyliła się do przodu, teatralnym gestem opierając ręce na stole. Czekala, aż Ming nałoży Molly jedzenie, a Helen skończy poprawiać pogrzebaczem drewno w ognisku i na powrót usiądzie.

Otulało je łagodne wiosenne światło, unoszące się nad jeziorem niczym aureola. Ćwierkały strzyżyki, rechotały żaby, rozlegał się stukot dzieciaków – powietrze było gęstą tkaniną dźwięków.

– Bez dwóch zdań, mam najlepszą anegdotę tygodnia – oświadczyła Caroline, a pozostałe czekały, aż zacznie snuć najnowszą opowieść ze swojego życia. Zawsze robiły to razem: rozmawiały i słuchały. A każde wakacje, bez względu na to, jak egzotyczne, ostatecznie sprowadzały się właśnie do tego: do rozmów pomagających uchwycić sens życia, do potrzeby powiedzenia na głos „To się stało”. Do rozmów dla samej przyjemności gawędzenia i wesołego nastroju. Do wspólnego poznawania zdumiewających kolei losu.

– Zaczęło się w ostatni czwartek – oznajmiła Caroline – od telefonu na koszt rozmówcy od Jacqueline Bouvier.

TERMIN

– Może będę potrzebowała waszej pomocy. – Anna opadła znowu w ramiona Molly.

– Spoko. Czego ci trzeba? – Molly pozostała przy Annie, podczas gdy Ming pakowała resztki jedzenia, a Helen zalewała wodą pozostałości dopalającego się

ogniska. Światło nad jeziorem przybrało złocisty odcień; nadeszła ta magiczna pora, gdy brzozy i sosny na brzegach zdają się jarzyć, a wszystkie barwy są nasycone i żywe.

– Wyznaczyłam sobie termin – Anna mówiła oficjalnym tonem. – Jeżeli do tego czasu nie będzie po wszystkim, to chcę przyjąć lek, który załatwi sprawę. Czy Serena może mi pomóc?

Caroline znieruchomiała, trzymając w rękach skórki melona, które właśnie wyrzucała do pojemnika na śmieci.

– To nielegalne. – Ming zatrzasnęła wieko wiklinowego kosza.

Skoro przegapiła moment, żeby wyperswadować Annie opiekę hospicyjną, zamierzała trzymać się litery prawa.

– Wiem, Ming – odparła Anna. – Nie chcę angażować w to Reubena ze względu na dzieci. Pytam, czy wy cztery pomożecie mi, jeśli będę tego potrzebowała.

– Serena nie może – oświadczyła oficjalnym tonem Ming. – Nie może. Ja też nie mogę. Jestem prawnikiem. – Spojrzała na Helen, która wciąż dogaszała ognisko, odwrócona do wszystkich tyłem. Mokre drewno syczało, siwy dym kłębił się i wił.

– Zapytam Serenę. – Molly wiedziała, że jej partnerka odmówi. I to stanowczo. Ale знаła innych lekarzy, kolegów z Fenway Community Health, którzy wierzyli w sens wspomaganie odejścia i podjęli już takie ryzyko. – Dobrze, Anno, pomogę ci w razie potrzeby.

Molly była zadowolona, że zgodziła się pierwsza.

– Czego tylko ci trzeba. – Plecy Caroline zeszywniały aż po kark. – To naprawdę trudne. – Każdy miesiąc jej opiekuńczego ciała był nastawiony na ratowanie.

– Wiem, że proszę o bardzo dużo – powiedziała Anna. – Ale niepewność, czy to nastąpi za dwa dni czy za trzy miesiące, jest idiotyczna. To ciągle żegnanie się ze wszystkimi staje się nudne.

– Helen? – Głos Ming zadrżał od płaczu. Zostały już tylko one dwie.

– Jak sobie życzysz – odrzekła cicho tamta. Teraz zrozumiała. Nie będą musiały potajemnie pomagać Annie. To była kwestia dni, nie tygodni. Anna po prostu potrzebowała poczucia, że nie jest sama. To jej pomoże.

Helen podeszła do Ming i wzięła ją w ramiona. Wtuliła twarz w miękkie włosy przyjaciółki.

– Jak sobie życzysz, Anno – powtórzyła.

FART

Jarrett jechał Bull Hill Road, kiedy spostrzegł młodego skunksa. Dziwny widok w dzień. Było to wszakże możliwe, widział już kilka skunksów za dnia. Ale

młode? To akurat było niezwykle. Może to jednak nie skunks. Z oddali nie widział białych pasów futra. Może więc norka? Kuna? Nie, ten zwierzak był zbyt kudłaty. Jego futro wcale nie lśniło. Jarrett zwolnił. Pewnie to tylko jakieś głupie kocisko. Stało na środku drogi jak wryte. Usłyszał samochód nadjeżdżający z przeciwnika. Ludzie traktowali Bull Hill jako skrót. Jeździli tędy za szybko. Nastolatki lubiły wzbijać chmury kurzu na zakrętach, jakby to była gra wideo. Co roku jakiś bałwan wypadał z drogi.

Jarrett nacisnął klakson, żeby ostrzec kierowcę. Ostrzec skunksa. Tak naprawdę nie miał na to czasu. Na żadną akcję ratunkową. Już był spóźniony, a nie mógł się spóźnić po odbiór syna. Głównie dlatego, że Daniela zrobiłaby mu piekło. Dwa spóźnienia po odbiór dzieciaków ze szkoły, a Daniela już wymyślała mu od złych ojców i gamoni, jakby w ogóle wiedziała, co to znaczy. Przecież żaden z niego gamoń. Pakę półciężarówki miał wypakowaną drewnem do ich domu. Do domu zbudowanego własnymi rękami. Do domu, za który spłacał co miesiąc hipotekę, płacił rachunki za prąd i wszystko inne. Do domu, który ona nazwała domem swoich marzeń. Do tego samego domu marzeń, z którego teraz chyba chciała go wykopać. Czuł, że ostatnimi czasy traktowała wszystko jak egzamin, a on zawsze oblewał. Każdy kubek pozostawiony na blacie. Grudka błota na dywanie. A to był tylko wierzchołek góry lodowej. Jarrett miał wrażenie, jakby nagle pojawiła się licząca dziesięć stron lista problemów. Albo gorzej, jest lista, lecz jemu nie wolno zobaczyć, co się na niej znajduje. Miał ochotę rzucić: „Daj spokój, Danielo, mamy razem coś dobrego”. Ale ostatnio nie umiał powiedzieć nawet czegoś tak prostego i tego nie spieprzyć. Dobra, nie był najbardziej rozmownym facetem pod słońcem, a już na pewno nie jakimś tam poetą. Jasne, pod pewnymi względami mógłby się poprawić. Ale nikt nie jest doskonały, prawda? Jeśli Daniela chce, żeby więcej zajmował się domem, to spróbuje. Oświadczyła, że ma po uszy dbania o to, żeby wszystkich nakarmić. Okay, on też może spróbować, ale nie obieca, że od razu osiągnie kulinarne mistrzostwo. Na pewno nie potrafiłby upichcić takich smakołyków, jakie Daniela przygotowywała, jakby to była kaszka z mleczkiem. Czyżby się pomylił, sądząc, że gotowanie sprawia jej przyjemność? Sam przyznawał się bez bicia, że na razie umiałby zrobić na obiad śniadanie: jaja na bekonie, tosty i kartofle. Ale to jeszcze nie znaczyło, że należy mu się tylko kop w dupę, prawda? A Daniela nie umiała trzymać języka za zębami. Czy nie widziała, że dzieciaki się denerwują?

Wczoraj, kiedy Jarrett podjechał pod gazon przed szkołą, Owen wskoczył do szoferki i od razu powiedział:

– Spoko, tato, dopiero co wyszedłem z budy. Powiem mamie, że to moja wina. Pomagałem pani Brown oczyścić klatki królików.

Biedny dzieciak wyglądał na niezłe spietranego.

Wtem na Bull Hill z ostrego zakrętu przed Jarrettem wyjechał samochód.

Pędził za szybko – rozmyta smuga czerwieni – i wyglądało na to, że nie zdąży wyhamować przed zwierzęciem na drodze. Jarrett widział, że prowadzi kobieta. Czy wpadnie na jego pas i uderzy prosto w jego ciężarówkę? Czy też zjedzie ostro w prawo, gdzie na poboczu rosły gęsto sosny wejmutki? Żaden z tych scenariuszy nie wróżył nic dobrego. Jarrett cały czas trzymał dłoń przyciśniętą do klaksonu. Zobaczył, jak samochód hamuje, a kobieta za kierownicą mocno marszczy twarz. Zwierzę się skuliło. Wtedy spostrzegł, że to pies. Nie skunks. Mały pies.

– Nie skręcaj w drzewo! – zawołał. Okna samochodu były zamknięte. Potem auto śmignęło obok, lśniąca czerwona wstążka ruchu, i z piskiem opon zatrzymało się za jego półciężarówką.

Jarrett wyskoczył z szoferki. Dyszał, jakby przebiegł sprintem sto metrów. Serce dudniło mu w piersi, wilgotne powietrze wypełniło mu płuca tak, że zaczął kaszleć. W trzech długich krokach dobiegł do zwierzęcia i chwycił je w dłonie. Przytrzymał oburącz. Czuł pod palcami szalone łomotanie psiego serca. Zeus Anny. Miniaturowa namiastka psa, którą Anna zabierała na próby, a reszta kapeli robiła jej z tego powodu wymówki. Co ten pies tu robił? Co najmniej pięć kilometrów od domu.

– Nic ci nie jest, głupolu.

Chwycił go tak, jakby to była piłka do rugby. Miał nadzieję, że w tym bezpiecznym uścisku zwierzę szybko się uspokoi.

Jarrett podszedł do czerwonego auta. Kobieta wyglądała znajomo. Oprawki okularów z niebieskiego plastiku, cienkie włosy związane w dwa kucyki, jakby była małą dziewczynką. Ale nie wiedział, jak się nazywała. Była stąd. Ze spółdzielni żywnościowej? Ze szkoły? Nie wiedział skąd, ale na pewno znał ją skądś w okolicy. Zapukał w szybę. Kobieta kurczowo ścisnęła kierownicę. Przygarbiona gapiała się na Jarretta, jakby bała się puścić kierownicę choćby na ułamek sekundy. Skinął ręką, żeby opuściła szybę.

– Dobrze sobie pani poradziła – powiedział, kiedy do połowy otworzyła okno. – Nic pani nie jest?

– Jezu.

– Poradziła sobie pani jak kierowca rajdowy. Jest pani profesjonalistką? – Starał się nadać swoim słowom lekki ton.

– Jestem weganką. – Popatrzyła na niego błagalnie. Okulary miała przekrzywione. Palce wciąż zaciskała na kierownicy.

To oznaczało kłopoty. Za dużo kłopotów.

– Weganką. Ciekawe. To dlatego jeździ pani szybciej? – Chciał ją rozśmieszyć. Rozładować koszmarnie napięcie. Dopilnować, żeby była w stanie jechać dalej.

Musiał się streszczać. Naprawdę powinien pędzić do szkoły. W uchwycie na kubki czekał mleczny shake dla Owena. Wyładują drewno, Jarrett ugotuje kolację.

Może nawet namówi Owena do pomocy. Powie, że dzisiaj chłopaki gotują dla dziewczyn.

– Proszę się nie martwić – powiedział. – Zajmę się tym psem. – Rozluźnił chwyt i pogłaskał Zeusa. Pokazał kobiecie, że zwierzakowi nic się nie stało. – Nic mu nie jest – zapewnił. – Nawet kłak mu ze łba nie spadł.

Kobieta popatrzyła na niego zmrużonymi oczami, niebieskie oprawki jeszcze bardziej przekrzywiły się na jej nosie.

– Pies ma traumę. – Oczy jej się zaszklily.

Jarrett miał ochotę dolać oliwy do ognia, dopasować idiotyzm do idiotyzmu. Powiedzieć, że nie brzydzi się padliny przydrożnej i jada wszystko, co znajdzie: czy to wiewiórkę, czy psa.

– Pies ma traumę – powtórzyła. Była bliska płaczu, okulary zaraz miały jej zaparować. Powinien ją uspokoić, wsłuchać się w jej wrażliwość na los zwierząt. Musiał jechać jak najszybciej do szkoły.

– No, ale miał cholerny fart. Naprawdę świetnie sobie pani poradziła.

– Psy wiedzą, kiedy ktoś bliski umiera. Reagują.

Wtedy jakby go walnęło. Nagle skapował, o co jej chodzi.

Zamknij się. Chciał, żeby natychmiast stuliła dziób. To cholerne małe miasteczko. Wszyscy wszystkich znają, interesują się życiem innych. Uważają, że mają do tego prawo. Do swoich uczuć. I własnego zdania na każdy temat. Niech ta nierozważnie jeżdżąca weganka we flanelowej kurtce zamknie się, zanim powie coś tak głupiego, że Jarrett wybuchnie. A on chciał wybuchnąć. Chciał ją podpuścić. Przez cały dzień chodził podminowany, byłoby super, gdyby wreszcie mógł osiągnąć punkt zapłonu. Przestać się przejmować wszystkimi sprawami, które jakoś mu nie wychodziły. Olać bycie dobrym obywatelem, dobrym mężem. Poczulby się straszliwie wspaniale, gdyby mógł wywiercić parę dodatkowych otworów w wegańskim ciele tej durnej paniusi.

Tylko że potem byłoby dziesięć razy gorzej.

– Ma pani cholerny fart. – Jarrett uśmiechnął się wbrew sobie.

Podsunał wyżej psa spoczywającego w zgięciu ramienia i ruszył z powrotem do półciężarówki.

– Ej, głupolu, siedź tu i nie uciekaj.

Posadził zwierzaka na fotelu pasażera. Pies podreptał w kółko na siedzisku i położył się, jakby szoferka była jego domem.

– Okay, głupolu, jedziemy po Owena. – Jarrett już sobie wyobrażał, jak twarz syna rozjaśnia radosne zaskoczenie. Czekoladowy shake i pies. Czy może być coś lepszego? Coś prostego. A coś prostego to coś dobrego.

– Jadę, już jadę – zaśpiewał na głos, a potem powtórzył, zawodząc jak rasowy bluesman. – Jadę, już jadę z psem Zeusem, Zeuseem. I radość wielka rozsadza mi duszę...

To było dobre. Nie ma to jak blues. I śpiewanie. Niejeden przetrwał już dzięki nim znacznie gorsze rzeczy.

Może spóźni się kilka minut, ale zaraz dotrze do szkoły. Już widział w wyobraźni promienny uśmiech syna. Chłopak zwariuje ze szczęścia, jak wsiądzie do ciężarówki taty i zobaczy Zeusa.

TAJEMNICA

Reuben ocknął się, słysząc wibracje i dzwonek swojego telefonu. Jak długo spał? Nadchodził zmierzch, przez okna wpadało słabe szare światło. Coś mu się śniło. Nie mógł sobie do końca przypomnieć, o co chodziło w tym śnie. Ale tam też słyszał dzwonek. Do drzwi?

A teraz znowu dzwonił telefon. Reuben obrócił się i sięgnął po komórkę w kieszeni dzinsów. Przez chwilę zastanawiał się, czy nie odczekać, aż uruchomi się poczta głosowa. Ale to był Julian. Obiecał dzieciom, że telefony od nich zawsze będzie odbierał. Chociaż tyle mógł zrobić. Reuben nie mógł powiedzieć nic nowego poza tym, że mamy nie ma w domu. Bóg raczy wiedzieć, gdzie jest. I Bóg raczy wiedzieć, jak się stąd wydostała. Od dwóch dni ledwo była w stanie utrzymać się na nogach. A od przedwczoraj w ogóle się nie odzywała. Ale co tam! Najwyraźniej jej przyjaciółki, rzekomo najlepsze na świecie, uznały, że to doskonały pomysł, żeby ją dokądś porwać. Kto wie, gdzie teraz są. I kiedy wrócą. Nie dostał odpowiedzi na esemes, który wysłał. O ile w ogóle go wysłał. Może tylko pomyślał, żeby napisać do Helen: „Gdzie się, do cholery, podziewacie?”, tuż zanim zamknął oczy.

– Hej, chłopie. – Reuben ucieszył się, że syn nie widzi go siedzącego na szpitalnym łóżku.

Julian milczał tak długo, że Reuben odsunął telefon od ucha, spoglądając na ekran, żeby sprawdzić, czy połączenie się nie zerwało.

– Co tam, kochany?

– Muszę ci coś powiedzieć. – Głos syna tak bardzo przypominał jego własny.

Zawsze tak było: jeszcze jako dziecko Julian miał melodykę głosu Reubena, wibrujący śmiech, to opadającą, to wznoszącą się nerwowo intonację i lekkie zająknienia od czasu do czasu. Dzięki temu Reuben, mimo że już wiele razy się pomylił, czuł, że umie odczytać każdy emocjonalny niuans w głosie syna. Teraz był to supeł niespokojnej powagi. Ale też coś równie głębokiego. Coś innego niż niepokój pytania: „Tato, jak mama?”. Albo pytań, którymi Julian dorośle starał się zachować proporcje: „Jak się czujesz, tato?”.

– Dobrze, słucham. – Reuben wyciągnął nogę spod kołdry. Było mu gorąco, z podniesionymi bocznymi poręczami czuł się jak w klatce, ale nie chciał przerywać rozmowy, żeby je opuścić.

– Powiedziałem coś mamie. Tajemnicę. Tobie nie.

Reuben chciał go powstrzymać. Zapewnić: „Nie ma sprawy, w porządku”. Ale poczuł też – jak ostatni dupek – tę zadawnioną zazdrość, ukłucie wściekłości, kiedy Anna wiedziała o dzieciach coś, czego on nie wiedział. Zawsze tak było. „Prawo matki” – mówiła z władczym uśmiechem. „Czy to fair?” – pytał, a ona ledwie raczyła wzruszyć ramionami. „Tu nie chodzi o bycie fair. Chodzi o to, że ja je urodziłam”.

– Nie musisz nic mówić, Julian. Nie muszę wiedzieć.

– Straciliśmy je, tato.

Reuben rozejrzał się po pokoju w poszukiwaniu punktu, na którym mógłby skupić wzrok. Szare rozproszone światło odbierało rzeczom wyraźne kontury.

– Spodziewaliśmy się dziecka. Powiedziałem o tym mamie.

– Och, Julian, tak mi przykro.

Musiał wstać. Odczuwał to jako nagłą i pilną potrzebę. Musiał wydostać się z tego łóżka, ale boczne poręcze chyba się zablokowały. Albo po prostu trudno je było opuścić, kiedy się leżało.

– Straciliśmy je. I nie chcę o tym mówić mamie.

Reuben ukląkł na materacu, a potem się wygramolił, przekładając najpierw jedną, następnie drugą nogę przez barierkę. Metalowy stelaż chwiał się i drgał od jego niepewnych, pozbawionych płynności ruchów. Wyciągnął nogę, która utknęła między drążkami poręczy, i podszedł do okna. Podwórze wymagało zagrabienia. Hortensję trzeba było przyciąć. Uznał, że później powinien się tym zająć. A co ze starym domkiem na drzewie? Pół drabiny było spróchniałe.

Syn opowiadał, jak pojechali do lekarza. Julian używał wszystkich tych nowych słów: ultrasonograf, bicie serca płodu, łyżeczkowanie.

– Doktor mówi, że możemy się starać o następne.

– Wszystko będzie dobrze – zapewnił go Reuben, choć wiedział, że nie w tym rzecz.

Nigdy nie myślał o swoim synu jako o ojcu. A jeśli tak, to tylko abstrakcyjnie, w odległej, nieokreślonej przyszłości. Przyszłości, która jeszcze nie nadeszła. Teraz jednak zobaczył szczupłą postać syna, tę niesforną czuprynę kręconych włosów schyloną nad noworodkiem. Reuben znał już ten widok. Obraz z oprawionej fotografii, na której sam trzyma Harper i Andy’ego, niecałą godzinę po ich urodzeniu, zgrabne zawiniątko z noworodkiem na każdym ramieniu, a głowę schyla nisko, witając dzieci na świecie.

– Nie wiem, jak rozmawiać z mamą.

– Owszem, wiesz. Ona uwielbia, jak do niej mówisz.

– Więc to w porządku? Okłamać mamusię?

No i proszę, „mamusia”, słowo, którego jego najstarszy syn oduczył się na siłę, kiedy miał dziesięć lat.

– To nie kłamstwo – odparł Reuben.

Otwierał na chybił trafił kartki z życzeniami, które leżały na parapecie. „Do zobaczenia wkrótce”. Zabawne liściki pełne nadziei. Tak wiele kartek przysłali dawni uczniowie Anny. Z całego kraju. Wieści naprawdę się rozeszły. Nawet ci zupełnie dorośli pisali: „Droga Pani S”. Dziękowali jej za to, że pokochali matkę. Przysyłali swoje zdjęcia na szczytach gór. Otworzył kolejną kartkę, a tam wszystko zaczernione drobnym pismem aż po cienką ramkę z serduszek. Czemu ktoś napisał aż tyle? Czemu uznał, że Anna zechce to wszystko przeczytać?

Reuben wyrównał dwa stosiki kopert, których Anna nawet nie otworzyła.

PRZEPRASZAM

Przed odjazdem z parkingu nad jeziorem włączają telefony komórkowe. To jak eksplozja dźwięku: szaleńcze, rozgorączkowane brzęczenie i pikanie napływających esemesów i wiadomości, ekrany zapychają się od komunikatów pełnych narastającej rozpacz. I pretensji.

– Mamy kłopoty – oświadcza Helen.

– Zawsze się przejmujesz, że wpadniesz w kłopoty – mówi Molly, a pozostałe wzdychają na potwierdzenie, przypominając sobie wszystkie te przeprosiny z ust porządnickiej Helen, jakie się uzbierały przez czterdzieści lat.

– Wszyscy czekają na nas w domu. Odchodzą od zmysłów, dobrze, że jeszcze nie wezwali Gwardii Narodowej.

– Super. Jakbyśmy znowu byli w jedenastej klasie! – zauważa Ming. – Mam nadzieję, że dostaniemy szlaban.

– Śmieć się, śmieć. Chcesz, żebym ci przeczytała esemesy od Reubena?

– Kiedy już wpadniemy w kłopoty i dostaniemy szlaban, poproszę was wszystkie o rozmowę. Potrzebuję pomocy – oświadczyła Molly. Odebrała esemesy od Tessy, aż trzy.

– Rzucamy ci wyzwanie: nie wolno ci nikogo przeprosić. – Caroline droczy się z Helen. – Nie wolno ci robić przepraszających min ani nawet śmiesznie przeprosinami.

– Czego się boisz? – Anna wsuwa dłoń w rękę Helen.

– Powinnyśmy były zostawić chociaż liścik.

Anna splata palce z jej palcami, jeden po drugim.

– Czego tak naprawdę się boisz?

– Świata bez ciebie – chlapanęła Helen, zanim zdążyła się powstrzymać.

W samochodzie robi się cicho, nawet silnik milknie.

– I że będę w stanie w nim żyć. – Helen chce się odwrócić, by popatrzeć prosto na Annę, ale nie może. Zamiast tego spogląda w okno. Są tylko resztki światła. Wszystkie barwy dnia zostały prawie całkiem zabrane.

Na fotelu z przodu rozlega się żalony jęk Ming.

Dłoń Anny jest zimna w dotyku. Helen nakrywa ją drugą ręką i opanowuje impuls, żeby ją ścisnąć.

– Będzie dobry, nawet twój żal – odpowiada Anna.

Droga, skoszone zbocza pagórków, rząd drzew, prostokąt i kwadrat stodoły – wszystko o tej porze jest kształtem o łagodnych konturach, bez wyraźnej kreski, a mimo bardzo stonowanej, przygaszonej palety barw tu i ówdzie przez gęstniejący mrok przedziera się odrobina czerwieni, niebieskiego i zieleni.

Świat wciąż z nią będzie utrzymany prawie w czerni.

To drugi powód, dla którego Helen nie może spojrzeć na Annę. Bo ona wie. Bez względu na to, jak dobroduszną, porządną, dbającą o innych i wiecznie przepaszającą osobą jest Helen, potrafi być również bezwzględna. Helen zawsze żartowała, że artyści są kanibalami. Zbieraczami złomu, którzy spokojnie przyglądają się proporcjom i całej kompozycji katastrofy. I Anna wie, że Helen już się tym zajmuje, robiąc ze swojego żalu ekspedycję Donnera³. Już w tej wspaniałej fakturze, w sztruksie ciemności. Zbocze pagórka niczym ciemna fałda ziemi. Prosta geometria stodoły. Samochód na drodze, reflektory wycinające z mroku kawałek trasy z przodu, kontury głów w aucie.

– Boisz się? – pyta Helen.

To pytanie, którego nigdy nie zadała; pytanie, którego przez cały ten czas leczenia i powrotów do zdrowia wszystkie Stare Znajome unikały jak ognia. Zawarły w tej sprawie milczące porozumienie. Odpowiedź była aż nazbyt oczywista, kryła się w każdym z konkretnych zmartwień danej chwili. Kiedy guz nie chciał się zmniejszać. Kiedy nie było odpowiedniego dawcy albo gdy organizm odrzucał przeszczep. Albo wtedy, gdy doszło do zakażenia gronkowcem, sepsy, zapalenia płuc, do niewydolności serca. Przy każdej komplikacji w leczeniu, każdym wstrząsającym nawrocie choroby, nawet w ciągu tych miesięcy, gdy Anna zdawała się tryskać zdrowiem, owa milcząca odpowiedź zawsze czaiła się gdzieś w pobliżu – niczym wzgardzony kochanek albo młodociany fundamentalista islamski, który gra sobie na nintendo, czekając na rozkaz wszczęcia dżihadu. Ta milcząca odpowiedź stała cicho w kącie podczas balu, gdy Anna zgadzała się na każdy taniec w swoim karneciku zdrowia. Tak, wybiorę się na szczyt Mount Washington, tak, pojedę do Amagansett, tak, będę siedzieć w pierwszym rzędzie i klaskać na uroczystościach ukończenia szkoły nie tylko własnych dzieci, ale także córki Ming, Lily. Odpowiedź kryła się w każdym „tak”, w każdej szansie, by żyć pełnią życia.

– Boisz się? – powtarza Helen.

I teraz bardziej niż czegokolwiek potrzebuje od Anny tej odpowiedzi. Ming przekrzywia głowę, a Molly spogląda we wsteczne lustro. Helen widzi, że żadna z nich naprawdę nie wie. Były tak bardzo przejęte własnym strachem, że żadna nie ośmieliła się jej zapytać.

Helen jednak zna odpowiedź. Zna ją, odkąd przyjechała dwa tygodnie temu i zaczęła błagać Annę o zrezygnowanie z opieki hospicyjnej. Znała ją również nad jeziorem, kiedy zgodziła się pomóc Annie, jeśli przyjaciółka o to poprosi. Przez wszystkie te lata Helen czuła, że jej zadanie polega na tym, by trzymać przyjaciółkę z dala od strachu i jak najbliżej owego „tak”. Ale Anna się nie boi. Znowu robi coś przed Helen. Zawsze tak było. Z chłopakami. Z narkotykami. Z małżeństwem. Z dziećmi. Nawet z ciążą, którą przerwała. Zawsze Anna była pierwsza. A teraz to.

Anna zaczyna coś mamrotać. Czy to tylko jej oddech? Zasnęła? Czy właśnie to każda z nich słyszała przez cały dzień, szept Anny, bladą namiastkę mowy o częstotliwości poza ich zasięgiem? Helen wyteża słuch, jednak nawet siedząc tuż obok, nie rozumie ani słowa.

– Przepraszam. – Helen delikatnie zaciska palce splecione z jej dłonią. – Nie umiem się w tym znaleźć.

MAGICZNA DZIEWIĄTKA

W dziewiątce tkwi tyle magii! Muszę opowiedzieć ci o Danii i sztuczce z dziewiątką.

Och, liczbą dziewięć olśniesz wszystkich. Dziewiątka naprawdę ma w sobie magię.

Proszę, na początek zadanie łatwe i proste:

Wybierz jakąś liczbę i pomnóż ją przez dziewięć. Dodaj cyfry wyniku i *voilà*, masz liczbę dziewięć. Na pewno rozumiesz, ale pozwól, że ci zademonstruję: 356 razy 9 – równa się 3204. Trzy plus 2 plus 4. Równa się 9.

Albo jeszcze jedna sztuczka: wybierz jakąkolwiek liczbę – 345 – wymieszaj cyfry – 534. Odejmij mniejszą liczbę od większej – 534 odjąć 345 – dodaj cyfry wyniku – 18 – i co masz? Dziewięć, Najdroższe Moje, znowu dziewięć!

A teraz ty spróbuj.

HEJ

Helen z Anną na rękach wchodzi bokiem w kuchenne drzwi. Uprzedziła pozostałe, ale żadna nie jest do końca przygotowana na obecność tylu ludzi ani na mocny zapach pizzy i kartonowych pudełek. I na tę gęstą atmosferkę. Wyraźnie zostały już osądzone, skazane i wysłane na szafot.

– Hej! Wygląda na to, że ominęła nas niezła impreza!

Helen wkracza śmiało, z przytupem. Głupkowato podnosi głos w wykrzyknicach. Poprzysięgła sobie, że to ona wyjdzie z tego wyzwania zwycięsko, zachowa się inaczej, niż spodziewają się przyjaciółki.

– Hej! Hej! – Ming potulnie ją naśladuje.

Molly i Caroline wtrącają swoje „hej”, ze skrucłą przeciągając samogłoskę

„e”.

Helen czuje się tak, jakby wszystkie bębny automatu do gry zatrzymały się po kolei, pokazując takie same obrazki, a po chwili słycać brzęk sypiących się monet: Wygrana! Nie może się już doczekać, kiedy zacnie papugować ich żalose „heeeeej”. „Beczałyście jak stado baranów” – będzie się naśmiewała.

Mimo wszystko z bólem patrzy na Reubena i Laylę, Connie i Johna. Przygniatający ciężar ich zmartwienia. A w kącie Jarrett płaczkliwie gra jakąś melodię na gitarze Anny. Do tego jeszcze kilka innych przyjaciółek z Doliny, które Helen dość często tu spotykała, lecz nigdy nie była w stanie zapamiętać ich imion. Jedna z nich to również Anna. A.G.

Niech wszystkie mają na imię Anna. Anna ptaszek i Anna króliczek.

Wszyscy mają przerażone miny i usta wygięte w rozżalony kształt obwarzanków.

– Anna jest zmęczona po naszych przygodach. Idę ją umyć i położyć do łóżka.

Helen schyla głowę, uciekając od pełnych potępienia spojrzeń, i z uśmiechem obraca się do przyjaciółek. Niech te trzy odpowiedzą na pytania i stawia czoło wyrokowi. Przysięgły, że nie zdradzą niczego z ich wakacji.

Uśmiecha się do Anny, skulonej w jej ramionach. Ta wciąż mamrocze, ale nawet jeśli odpłynęła do jakiejś innej rzeczywistości, Helen rozumie, że jednak dostrzega wszystko, co się tu dzieje. Wiedziała, że Helen przyjmie wyzwanie – to w końcu konsekwencja, a nie przeciwieństwo bycia porządną dziewczyną. To akurat Anna wie najlepiej ze wszystkich obecnych.

WEŹCIE COŚ NA DROGĘ

Wyczuwa kształt domu. Nawet z zamkniętymi oczami. Tyle ukochanych osób jest w tej kuchni. Całe to bogactwo. Bogactwo ukochanych osób i bogactwo domu. Z zamkniętymi oczami omiata wzrokiem wszystkie bibeloty w salonie. Jej błyskotki. Nie wiedzą, że jest tuż przed nimi. Ukochani przyjaciele, ukochane przedmioty – tak uporczywie jej się narzucają. Wszystko takie uporczywe. A ona, tak uwielbiająca imprezy, nie może być na tej jednej. Powinno tu być mnóstwo siatek. Jest tyle rzeczy do włożenia do tych siatek. Weźcie to ze sobą. Proszę. Weźcie to sobie na drogę, myśli, przed wyjściem.

PRYWATNOŚĆ

Helen pomaga Annie usiąść na sedesie i opuścić bawełniane legginsy. Potem staje u jej boku.

– To może potrwać – przeprasza Anna, opierając się o nią.

– Mogę czekać całą noc. – Helen całuje ją w czubek głowy. – To były wspaniałe wakacje.

– Tak?

Annie unoszą się powieki, ale oczy pozostają zamknięte.

A potem perlisterkanie, ciche kapanie siuszków.

Na jej wargach pojawia się uśmiech.

– To wciąż takie przyjemne uczucie.

Helen podaje jej kawałek papieru toaletowego.

– Nie wyobrażam sobie.

– Zawsze byłaś w tym dobra, Helen. W wyobrażaniu sobie różnych rzeczy.

Anna podciera się lekko, a potem upuszcza papier do muszli.

NOCNA DAWKA

Anna wierci się, rzuca, cała jest koścista i kanciasta; nie może się wygodnie ułożyć. Helen zamyka okno, przykrywa lampkę chustką w nadziei, że przytłumione zielonkawe światło w czymś pomoże. Chciałaby, żeby przyszła tu Ming i reszta. Cały dzień pragnęła zostać z Anną sama, a teraz potrzebuje pozostałych.

– Jak mogę ci pomóc?

To pytanie nie ma sensu. Prawdopodobnie już pora podać Annie leki. Wystarczy włożyć jej tabletki pod język, tak jak wcześniej robiła to na oczach Helen pielęgniarka. Ale nie jest pewna ile i czego. Nie wyjdzie, nie poprosi o pomoc – zwłaszcza Reubena.

– Twoja mama. – Anna potrząsa nadgarstkami. Jej palce kłują powietrze i się odsuwają, jakby pokazywała coś przed sobą.

– Moja mama? Tak?

Helen podkłada jej poduszkę pod nogę. Ale Anna wierzga, wysuwa kolano spod kołdry, poduszka spada na podłogę, a po chwili noga częściowo chowa się w pościeli.

– Powiedz mi. O tym.

Helen nie jest pewna, o co chodzi, przecież przyjaciółka wszystko wie.

– Pamiętasz... wiedziała, że jestem na nią zła. Prześladowało mnie to przez lata. Ale kiedy sama zostałam mamą, zrozumiałam mijającą złość swoich nastoletnich dzieci. I zrozumiałam, że moja mama też to rozumiała. Kiedy Lucinda i Rusty tak się wściekali, przypominałam sobie, że mama miała do mnie cierpliwość, a była chora. Doprowadzała mnie kiedyś do pasji, mówiąc: „Chcesz, żebym pomogła ci spakować rzeczy?”. Teraz, kiedy się złoścę, powtarzam to sobie w myślach.

– Myślałam, że nigdy się z tego nie otrząsniesz. Byłaś za młoda.

Helen widzi, z jakim trudem przyjaciółka wymawia każde słowo, z jakim wysiłkiem formułuje zdanie.

– Ale miałaś i masz dobre życie – zauważa Anna.

– Poradziłam sobie. – Helen była w tym samym wieku co teraz Andy

i Harper.

– Moi też sobie poradzą?

Helen kładzie się na łóżku. Wsuwa się trochę pod Annę, żeby ta miała dodatkową wyściółkę. Czuje na ciele ostre kanty jej kręków.

– Poradzą sobie znakomicie, Anno. Już sobie radzą.

Uchylają się drzwi. Helen macha ręką do pozostałych, żeby weszły. Ming i Caroline siadają w fotelach. Molly pochyla się nad stołem, przygotowuje nocne dawki leków.

– Naprawdę?

– Przecież wiesz. Mają cię w sobie.

– Powtarzaj mi to, nawet jak już umrę.

BOSKI PODZIAŁ

Suma wiersza dziewiątego i dziesiątego równa się liczbie z wiersza siódmego pomnożonej przez jedenastkę. Witaj, Fibonaccie, poznaj Najdroższe Moje. I do tego zawsze 1,61. Iloraz liczby z wiersza dziesiątego podzielonej przez liczbę z wiersza dziewiątego. Witaj, Euklidesie. Anna dodaje skokowo, zawsze dążąc do złotego podziału.

3 Wyprawa Donnera – nawiązanie do faktu z historii osadnictwa w Stanach Zjednoczonych: zimą 1846/1847 roku grupa osadników zmierzających do Kalifornii pod wodzą George'a Donnera utknęła w górach Sierra Nevada. Ponad połowa członków wyprawy zmarła z głodu i wycieńczenia, a część tych, którzy przeżyli, dopuściła się kanibalizmu, zjadając zwłoki swoich towarzyszy (przyp. tłum).

NADAL KWIECIEŃ

DZIEŃ PATRIOTÓW

Gdzie on się podział? Czy ktoś dostał jakąś wiadomość od Michaela? Ludzie dzwoniли do Anny do domu. To miało sens. Na okrągło ktoś przy niej był. Ale jej telewizor stał wyłączony, nieużywany – równie dobrze można by wyjąć wtyczkę z gniazdka. Ciągłe to samo pytanie. Jedno i niezmiennie. Czy pojechał do Bostonu? Wszyscy wiedzieli, że trenował. Zrobił z tego dostatecznie duże halo. Kiedy ludzie pytali, czy to na cześć siostry, mówił bez ogródek „nie”. Więcej niż bez ogródek, wręcz bezczelnie, jakby byli durniami, że zadają takie pytanie. „Biegam dla siebie, piękne dzięki za troskę”. Brzmiało to samolubnie, dokładnie tak, jak zamierzał. Bo to było samolubne. Dla siebie co rano wkładał strój do biegania, trenował interwałowo i biegał fartleki tylko po to, żeby odprężyć umysł, skupić się na czystym wysiłku fizycznym. Po długim biegu, bez względu na to, jak bardzo czuł się zmordowany, zawsze fundował sobie ten ostatni zastrzyk adrenaliny. Nie ma nic lepszego. To życie pełną piersią. „Istnieje takie ryzyko”, powiedział kiedyś, wręczając swój telefon żonie Felicity.

Oddawał jej swoją komórkę, żeby móc pobiegać poza czasem. Zrobić sobie przerwę od czuwania, ciągłej gotowości godzina po godzinie. Codziennie. „Muszę złapać perspektywę”, stwierdził. Pogodził się z myślą, że to się może stać, kiedy akurat nie będzie z nim kontaktu. Wszyscy potrzebowali odrobiny oddechu. To było nie do zniesienia: organizowanie swojego życia tak, żeby w każdej chwili można było rzucić wszystko, kiedy nadejdzie ta ostatnia wiadomość o Annie. Teraz obstawiony antenami telewizor w salonie był włączony, ale ściszony tak, żeby Anna nie słyszała. Jak dużo jeszcze mogła usłyszeć w tym stanie? Mimo wszystko. Z zasypką na skórze, obracana z boku na bok, z poduszką podłożoną pod plecy. A potem nagle, nie wiadomo skąd, siadała zupełnie przytomna. „Nie jestem do końca pewny”, mówi dziennikarz na miejscu. Chaotyczna układanka relacji z pierwszej chwili. Nagrania szarpanego sprintu to w jedną stronę, to w przeciwną. Strzępy już znanych informacji, powtarzane na okrągło. Ponad dwadzieścia pięć tysięcy biegaczy. Najstarszy maraton. Nagranie z kamery filmującej z ręki. Padające ciało. Światło przedzierające się przez kredowy pył. Gęsta kurtyna krzyków. Są ranni. Bariereki ochronne przewracane, porozsuwane na bok. „Zrobić przejście!”. „Miejsce dla sanitariuszy”. „Dajcie przejść”. „Dajcie ich wynieść”. „Nic mu nie będzie” – mówią przy każdym telefonie. „To Michael – zauważa ktoś. – Na pewno nic mu nie jest”.

W PARZE

Felicity patrzy na telefony – swój i Michaela – na stole.

ORIENTACJA

W namiocie Gatorade brzmiało to tak, jakby trybuny się zawałyły. To się zdarzało dosyć często. Wypadek z udziałem kibiców – miało to nawet swoją oficjalną nieoficjalną nazwę. Wypadek z udziałem kibiców. Jakiś otyły wujaszek albo dzieciak zagrzewający mamę do walki zawsze trafiał na okoliczny oddział ratunkowy. Przyczyny były różne, od przegrzania organizmu po złamane kończyny.

– Albo to jakiś bałwan z racami – powiedziała do Michaela kobieta, która się nim zajmowała. – Proszę oddychać.

Delikatnymi ruchami masowała mu sponiewierane ścięgno Achillesa w lewej nodze. Michael miał wrażenie, jakby kruszyła beton, ale zdawał sobie sprawę, że to absolutnie konieczne. Jedzenie, masaże. Nie posiadał się ze szczęścia, że zdobył karnety do namiotu VIP-ów Gatorade. Mimo że masażystka była raczej babcią niż tancerką brzucha, dotyk jej dłoni czynił cuda. Opowie o tym masażu Felicity w taki sposób, że będzie mrużyła oczy z zazdrości. „Leżałeś na brzuchu w tych swoich przykrótkich spodenkach i czułeś jej dłonie na całym ciele?” – spyta rozdrażnionym tonem, kręcąc głową. Świetna sprawa. Zresztą miał prawo czuć się dumny i poklepać się z satysfakcją po ramieniu. Poprawił swój rekord o dwie minuty. Pokonał partnera w bieganii z przewagą dwudziestu minut. Biedny Jack spuchł na czternastej mili, ale się nie poddał i dokuśtykał do mety. Teraz obaj raczyli się królewskim masażem w namiocie Gatorade.

Za drugim razem...

– Co do...?

Michael poderwał się do siadu. To nie był żaden zemdlony grubas ani domino przewracających się pojemników na śmieci. I nie fajerwerki. Spuścił nogi z kozetki. Niby wstał, jednak nie mógł się ruszyć, jakby go przymurowano. W powietrzu unosił się ostry, gryzący zapach.

Jack był już na nogach, podskakiwał, pokazując palcami ekrany telewizorów poustawianych w całym namiocie. O tutaj, tuż obok na zewnątrz, bieganina i krzyki, dwóch mężczyzn kuca. „Potrzebujemy kogoś!”.

– Powinienem... – Michael chce powiedzieć: „pomóc, pójść tam i pomóc”. Jest lekarzem. Ale nie może wykrztusić słowa. Nie może się ruszyć. Pokazuje kciukiem własną pierś. – Powinienem...

Ledwo może oddychać.

Jack jest cały spięty.

– Daj spokój, człowieku, spadamy stąd! – Stawia Michaela na nogi.

Widoczny na ekranie dym w namiocie staje się gryzącym chemicznym

pyłem. Chwilę później są już na zewnątrz. Jack wprowadza ich obu w morze poruszających się ciał, pleców okrytych płachtami folii, tłumy prącego naprzód, potem w lewo. Jack nie puszcza go, wspierając się na nim przy każdym kroku. Michael pogubił się i nie pamięta, ile razy już skręcili. Jack gada bez przerwy, jak gdyby to pozwalało mu zachować orientację. Gadał o pierdołach, rzeczach bez znaczenia. Ale to ma znaczenie. To się liczy.

WIADOMOŚĆ

Michael był już w domu, bezpieczny. Mimo to interesowali się, śledzili liczby i rozwój sytuacji. Po drodze do Anny słuchali serwisów informacyjnych. W domu nastawiali radio.

Cały czas byli czujni.

W alejce sklepowej, na fotelu dentystycznym, kiedy będą nalewać sobie soku pomarańczowego do szklanki – gdzie wtedy będą?

W domu, czerwone światło, potem zielone, prowadzili normalne życie. A przynajmniej próbowali. Zawsze trzeba coś jeszcze załatwić, umówić wizyty, zarobić na chleb. Czekali aż do wieczora i wtedy dzwonili. Jak z nią? Jak się czuje Anna? Przyznawali: „Nie wiem jak ty, ale ja ledwo mam swoje życie”.

W KOŃCU

Reuben zdjął stopy ze szczebelków szpitalnego łóżka. Cieszył się z tego spokoju i ciszy. Z oczyszczającego porannego światła, które wpadało przez okno. Z książki, którą rozpoznał i wziął z szafki nocnej.

– Idźcie, idźcie – powiedział przed paroma minutami całej reszcie. – Nie możemy tłoczyć się przy niej i czekać cały dzień.

Potem poodsuwał rząd różnych krzeseł ustawionych przy łóżku niczym przestrzenny kolaż. Jedyne dźwięki, jakie słyszeć w sypialni, to wodniste bulgotanie towarzyszące każdemu oddechowi Anny. Reuben dopilnował, żeby było jej jak najwygodniej. Podniósł wzrok znad książki, kiedy oddech stał się płytszy, zatrzymał się, a potem przyspieszył z ciężkim sapnięciem otwartych ust. Patrzył, jak Anna śpi. Wyglądała tak samo jak przez wszystkie poranki, gdy ją obserwował.

– To tylko ja. Tylko my dwoje – odezwał się ściszym głosem.

20 KWIETNIA

Do sali przez wysokie okna wpada kremowe powietrze charakterystyczne dla kwietnia w Nowej Anglii. Helen spogląda na twarze wszystkich, dla których Anna jest ich Anną. Moją Anną dla każdej z osób w ławach na parterze i na wypełnionych ludźmi balkonach – całym kalejdoskopem różnych Ann. Tą rozwijającą się w czasie, widzianą ze szczególnej perspektywy postacią, którą była dla każdego z tu obecnych.

I zarazem nie była, oczywiście, żadną z tych Ann.

Helen wita wszystkich i wyjaśnia, jak będzie wyglądało dzisiejsze popołudnie.

– Tak wielu z was prosiło mnie o udzielenie głosu – mówi łagodnym tonem.
– Ale Anna kazała mi obiecać, że ta uroczystość będzie krótka. A wszyscy wiemy, że Annie się nie odmawia.

Właściwie wolałaby raczej oświadczyć: „Anna kazała mi przysiąc, że nie będzie się to ciągnąć tak długo, aż wszyscy umrzemy z nudów”.

– Na początek – kontynuuje – ważna jest świadomość, że bez względu na to, co każda i każdy z nas myśli o tym, kim byliśmy dla Anny, choćbyśmy byli kimś najbardziej wyjątkowym, nie ulega żadnej wątpliwości, że tych troje stanowiło jej istotę, byli... a właściwie są, dla Anny ważni ponad wszystko i wszystkich: to światło jej życia, jej wciąż żarzące się iskry.

Helen odsuwa się na bok, żeby zrobić miejsce dla Juliana, Harper i Andy’ego.

Następni w kolejności, bracia Anny, Michael i Robert, wstają razem, obejmując się nawzajem w pasie.

– Nasza starsza siostra – zaczyna Robert, a Michael osuwa się, jego chude ciało biegacza zwija się w supeł. Robert podciąga go do góry i poklepuje tak długo, aż Michael jest w stanie znowu stać prosto, po czym mówi dalej swoim łagodnym, czystym głosem: – Kiedy razem z bratem byliśmy małymi łepkami, nasza starsza siostra dopuściła nas do swojego klubu. Dała nam posmakować dziewczęńskiej magii. Dzięki temu jesteśmy lepszymi ludźmi. To dar naszej siostry. Dzięki niej każdy z nas stawał się lepszą wersją samego siebie.

Michael zaczyna tak:

– Widziałem przez ten tydzień niewiarygodne rzeczy.

Przez chwilę dochodzi do siebie, ale nie mówi o zamachu bombowym, o obrazach pokazywanych non stop przez ostatnich pięć dni. Nie wspomina o tym,

że właśnie wczoraj jednego z braci odpowiedzialnych za eksplozję znaleziono ukrytego w łodzi. Zamiast tego głęboko i z humorem Michael wylicza wyrażenia i gesty, które zaobserwował w tym tygodniu u swoich dzieci, bratanic i bratanków, siostrzeńców i siostrzenicy, u wszystkich zebranych tu przyjaciół, u dawnych uczniów Anny – wszystkie cudowne cechy rozpoznawcze swojej siostry.

– Dawała siebie każdemu z nas – kończy i mocniej tuli się do brata. – To naprawdę wielka pociecha, że tak wiele z niej widzę w każdym z was.

Helen wzywa teraz członkinie z piątkowego kółka rękodzieła, a te, trzymając się pod ramiona, obwieszane błyskotkami i kolorowymi szalami, zaczynają się kołysać. Pobrzmiewa inkantacja. Pieśń ciągnie się i ciągnie. Mówi o nadziei i deszczu, i miłości, i odpływach. I dalej, wers za wersem. O wietrze i oceanie.

Layla klęła się na wszystkie świętości, że to ulubiona inkantacja Anny. Serio? Naprawdę lubiłaś tę pieśń? – myśli Helen, gdy wtem dociera do niej ten nowy paraliżujący fakt: nie będzie żadnego *post mortem*, nie będzie komentować z Anną niczego na boku, nie będzie mogła później omówić z nią tej uroczystości.

Szybko odnajduje wzrokiem Asę, który siedzi wyprostowany na samym brzegu ostatniej ławki. Helen wie, że jego umysł cały czas pracuje, bezceremonialnie dowcipkuje sobie z Anną, rozśmiesza ją. Asa wierzy, że w tej sali nie ma miejsca na smutne przemówienia. Na jego twarzy widać delikatny uśmiech, który – jak Helen wie – jest też dla niej. Spokojnie, wszystko idzie zgodnie z planem. Ale przede wszystkim Asa żartuje w myślach, żeby dusza Anny dobrze się bawiła.

Potem Helen wywołuje Reubena, oficjalnego męża nie męża, który trzy dni temu, w pokoju przed laty dzielonym z Anną, siedział przy niej samotnie i trzymał ją za rękę jeszcze długo po tej ostatniej chwili.

Helen prosi dawcę komórek macierzystych, aby się podniósł. Ten waha się, a potem wstaje, wciąż trzymając za rękę siedzącą obok żonę. Helen spostrzegła ich przed rozpoczęciem ceremonii, gdy wszyscy tłoczyli się, żeby uścisnąć mu dłoń. Facet z kozią bródką przytulił go na niedźwiadka. Kiedy Helen się z nimi przywitała, dawca poprosił, by wskazała mu, gdzie siedzą dzieci Anny. Czuł, że musi je przeprosić. Nie było niezgodności tkanek, przeszczep nie został odrzucony. A mimo to zebrali się dzisiaj tutaj.

„Muszę przeprosić”.

Helen wie, że powinna powiedzieć coś miłego. Czy nie na tym między innymi polega zadanie, które postawiła przed nią Anna? Co by szkodziło, gdyby powiedziała: „Dzięki panu przeżyliśmy wszyscy te dodatkowe lata”? Ale zamiast tego wskazuje tylko dzieci Anny, siedzące razem w pierwszej ławce.

Przez chwilę patrzy z radością na skrępowanie dawcy, podczas gdy cała sala bije mu gromkie brawo. Potem oklaski milkną, a ją samą przepełnia ogromna wdzięczność. Helen opisuje historię jego korespondencji z Anną, zabawne

pseudonimy stworzone w pierwszym roku, kiedy szpital wymagał, aby dawca i biorca pozostawali dla siebie anonimowi.

– Oczywiście – mówi Helen, przewracając oczami – ponieważ Anna taka już była, tuż po upływie wymaganego roku wyprawiła mu wielkie przyjęcie z podziękowaniem za to, że ocalił jej życie, i podobnie jak wszyscy, którzy się tu zebraliśmy, ostatecznie się z nią zaprzyjaźnił.

Teraz Helen opowiada o tym, jak poznała Annę na szkolnym boisku i o wszystkich rannych zwierzętach, które wyleczyła i nazwała „Anna”.

Kiedy przez salę przebiega chóralne „Oooo”, Helen naśladuje burkliwe oświadczenie jej ojca, że była to tylko fantazja, że córka miała najwyżej parę wypchanych zwierzątek, które trzeba było pozszywać, a wtedy cała sala wybucha śmiechem.

Tego właśnie życzyła sobie Anna. To właśnie kazała Helen obiecać. „Nie pozwól, żeby było nudno”.

Spogląda na Ming, Caroline i Molly. Z aprobatą kiwają głowami, podziwiając ją, że się nie rozkleiła. Ale Helen widzi w tym geście, że przedyskutowały między sobą coś jeszcze. Że coś uzgodniły. Nie! – chce krzyknąć. Nie ma mowy, nie zamierzam robić tego nigdy więcej. Nie zrobię tego ani dla ciebie, ani dla ciebie, ani dla ciebie. Nie opowiem wszystkich naszych historii. O tym, jak w ósmej klasie próbowałyśmy wykpić się od zapłacenia rachunku w restauracji, ani o popołudniach, kiedy rozbijałyśmy się po okolicy samochodem Molly, ani o tym, jak Caroline pokazała nam dziurę w ogrodzeniu i przedarłyśmy się przez winorośl i krzaki, aby objąć we władanie Farmę.

Zrobiłam to dla swojej matki, a teraz, tutaj, dla Anny. I dość.

Ale to nieważne. To nie dość. Patrząc na twarze zgromadzonych w sali, rozumie, że tak właśnie musi być. Jesteśmy tutaj, a potem nas nie ma. Przez chwilę jesteśmy opowieścią.

Helen znowu spogląda na Ase. Myliła się, zrobi to jeszcze raz. A on robi to dla niej. I z tą świadomością, nie wiedząc kiedy, razem przejdą przez życie jako para.

Wreszcie Helen kiwa głową do zespołu. Muzycy z surową powagą podchodzą do instrumentów.

– Witajcie, nazywamy się Zagubieni Zeusi – mówi Jarrett i czeka, aż fala śmiechu w uznaniu dla nowej nazwy przetoczy się przez salę. – To oryginalna piosenka naszej Anny, która była naprawdę oryginalna.

I kapela daje czadu.

2015

1

IMPREZA

– Patrz, patrz, Amalie. – Reuben podnosi dziecko i trzyma je w ramionach.

Obraca się dookoła, żeby mała spostrzegła tort w kwiatki, a na nim dwie zapalone świece – jedną na szczęście. Lecz zamiast tego dziewczynka unosi głowę i uśmiecha się do dziadka.

Ten zalew miłości, który Reuben teraz czuje! Ten krzepiąco znajomy ciężar dziecka w ramionach.

– Zdmuchnijmy świece, moja Amalie. – Reuben pociera brodą o miękkie jak puch kędiory wnuczki. – A teraz pomyśl swoje pierwsze życzenie.

HISTORIA SZTUKI

Helen odsuwa się o krok od dużego płótna. Przez całe przedpołudnie same kłopoty. Malowała z uporem, mazała farbami tak długo, aż z pigmentów uszło życie. Bazgroły na bazgrołach, kolor bez głębi. Kompozycja przyciężka, przekombinowana, statyczna, martwa.

Nie potrafi wrócić do tego, co widziała tamtego wieczoru.

Ale co właściwie widziała? Spogląda na ścianę pooblepianą wstępnymi szkicami. Coś w nich tkwi. W tych rysunkach jest jakaś płynność, ciała i zewnętrzne kształty wspólnie tworzą zamkniętą całość. Energię, która pozwala określić poszczególne postaci. I ukazać zażyłą więź.

Ale na płótnie widać dystans. Wręcz wyobcowanie.

Helen wie, że nie warto malować na siłę. Wie, że odejście od płótna to czasem najważniejszy moment całego dnia pracy.

Mogłaby pójść na spacer.

Albo zadzwonić do Asy, poprosić, żeby poszli razem na wczesny seans do kina. Zaproponować, żeby spotkali się w jej domu, w łóżku.

Odkłada pędzel, zostawia go na szklanej palecie, wciąż w farbie.

Potem wychodzi ze studia. Przeskakuje po dwa stopnie naraz. Na górę, osiem kondygnacji, i znowu na parter. Potem jeszcze raz na górę. Ciśnie. Robi powtórkę. Potem następną. Aż wreszcie staje ponownie przed drzwiami do pracowni, zgięta wpół i zasapana.

I widzi, że tam, przy rogu stodoły, zrobiła smugę. Wcześniej nie zwróciła na nią uwagi. Ślad jest wyraźny, ma swoją wagę. Jakimś trafem nie zamalowała go, mimo że poprzednio tak starannie usiłowała wszystko poprawić. Helen mruży oczy. Nie jest pewna, jakim kształtem próbuje się stać ta smuga. Tak zwykle pracuje, choć unika mówienia o tym w wywiadach. Brzmiałoby nieprofesjonalnie. Ale stara się pozwolić, by pierwsze pociągnięcia pędzla same podpowiadały jej swoją przyszłą formę. Helen uważa, że te pierwsze pociągnięcia pędzlem może najlepiej byłoby wykonywać z zawiązanymi oczami – żeby to głęboka pamięć kierowała pędzlem, bez natychmiastowej krytyki ze strony intelektu. Bez autocenzury. Przynajmniej na samym początku. Te oznaczenia pamięci. To, czego nie zauważyła poprzednio albo co zdawało się wtedy nieważne, często okazuje się źródłem niespodzianki. Głębokiej niespodzianki. Czegoś do odkrycia.

Przyciska kciuk do płótna, do śladu. Wyczuwa jakiś kształt, mięsisty, lecz delikatny. Jest tuż przy prostej geometrii stodoły. Czy zarejestrowała to w swoich

szkicach? Nie, na szkicach niczego takiego nie ma, jednak mimo wszystko Helen czuje, że coś jest na rzeczy.

Stara się cofnąć do tamtego wieczoru. Ostatniego wieczoru, kiedy były wszystkie razem. Molly za kierownicą, po prawej stronie pole, stodoła. Obietnica pomocy, gdyby zaszła konieczność. Ciche rozmowy w samochodzie. Za oknem był ciemny wzgórek ziemi uprawnej, a w środku, tuż obok, Anna. Jak często Helen myśli każdego dnia: Muszę powiedzieć to Annie. Albo odruchowo wybiera jej numer telefonu. A potem szok, raz po raz. Bo Anny nie ma. Gruhoczące zderzenie z rzeczywistością. Całymi miesiącami ciągle była śmiertelnie zmęczona, ledwo mogła utrzymać pędzel w dłoni. Dopadła ją żaloba jak grypa. Budziła się zrana potem i zdyszana, potrzebowała Asy, żaru jego ciała nad sobą, żeby zerznął ją tak, że przestanie myśleć i wróci do życia. Potem nastąpiła zmiana, znowu zaczęła malować. Ale wciąż łapała się na tym, że zapomina. Codziennie. Będzie jej się to zdarzać aż do końca albo pewnego dnia jednak się nie przydarzy – i czy to nie będzie jeszcze gorsze? Że już nigdy nie pomyśli: Zadzwoń do Anny.

Anna trzymała ją za rękę.

W samochodzie, tak, czuła rękę Anny między swoimi dłońmi.

Zadała Annie pytanie. Zapytała, czy się boi. Czekala na jej odpowiedź, wyglądając przez okno, bo bała się, co przyjaciółka odpowie. I wtedy zobaczyła konia.

Konia – tam.

To właśnie to. To, co starała się zobaczyć.

W ciemności koń wydawał się jabłkowity jak księżyc. A niżej jaśniejszy źrebiak, który zadzierał łeb, by napić się mleka. Cierpliwa klacz stoi przy stodole. Źrebię wyciąga szyję, jego smukły łeb jest zwrócony ku matce.

Helen ściska mocniej dłoń przyjaciółki. „Patrz, Anno” – ale minęły już stodołę i klacz ze źrebięciem, a droga biegnie teraz między świerkami.

Helen ma pędzel w dłoni.

– Patrz, Anno. – Mówi to na głos w swojej pracowni. A potem powtarza: – Patrz, Anno – i macza pędzel w farbie.

PASÓWKA BIAŁOGARDŁA

Za każdym razem, wchodząc do tego gmachu, Ming czuje, jakby coś ciągnęło ją w lewo, ku windom na oddział neurochirurgii dziecięcej. Jakie to dziwne, że gabinet jej lekarza znajduje się w tym samym szpitalu, w którym przed tyloma laty operowano Lily. A teraz, wychodząc ze szpitala przez obrotowe drzwi, macha do przysadzistej strażniczki, pewna, że to ta sama, która pracowała tu dawniej.

Ming idzie Second Avenue. Zanim dotrze do loftu Helen i Asy, zanim wpadnie w wir rozmów – potrzebuje czasu tylko dla siebie. Okolica właściwie

się nie zmieniła, wciąż ma się wrażenie, jakby była to nie tyle dzielnica mieszkalna, ile raczej noclegownia dla personelu szpitalnego. Ta sama kwaciarnia. A w jednej z przecznic salon kosmetyczny U Lily. Ming przystaje przed witryną. Kobiety w środku kłaniają się i machają, żeby weszła. Łkanie ściska jej gardło. Co powiedziała Anna tamtego dnia? „To tylko maleńka część historii”. Lily za rok skończy college. Anna od dwóch lat nie żyje. Nowa historia. Ming kłania się i też im macha.

„Nie jest ze mną dobrze” – ćwiczy. Nie, to brzmi zbyt lekko. „Jestem chora”. – Zbyt dramatycznie. Przyjaciółki wiedzą, że przyjechała do miasta na wizytę lekarską, ale w rozmowie przez telefon była bardzo oględna: „Umówiłam się przy okazji, bo i tak miałyśmy się spotkać”. Teraz rozumie małomówność Anny, jeśli chodzi o wizyty u lekarza. O zmęczenie, ucisk w klatce piersiowej. O wszystko, co niepokoi.

Ming już nienawidzi zainteresowania, o które nawet nie prosiła. Dziś wieczorem chce, aby w centrum uwagi była Caroline. Dziś wieczorem, na kolacji u Helen i Asy, będzie to „po”, którego tamta potrzebuje.

Jezu! Niekiedy wydaje się, że do tego wszystko się teraz sprowadza: do pytania, czyż żal i nieszczęście tym razem znajdą się w centrum uwagi.

Kiedy w zeszłym tygodniu zadzwoniła Helen, Ming była na werandzie w swojej kancelarii. Dwadzieścia minut ze stopami opartymi o poręcz barierki. To nie medytacja, chociaż tak właśnie żartobliwie to określa, gdy prosi sekretarkę, aby przyjmowała wiadomości. Ming słucha wtedy ptaków. Zamyka oczy. Wiele jest takich dni, gdy nie może trzymać zaciśniętych powiek. Zidentyfikowała charakterystyczne głosy ptaków, ale nigdy nie skonfrontowała swojej wiedzy z żadną książką. Nie obchodzi jej to. Trzciniak, kacyk, sikora brunatna – przypisuje im nazwy, jak popadnie. Lubi fakturę, natężenie dźwięku, którego źródło znajduje się w koronie drzewa naprzeciwko werandy, promieniując na zewnątrz. Niekiedy słyszy w sobie całe kilometry ptasich treli. Stara się je wdychać, jakby ów dźwięk mógł ją wypełnić. To nie to samo co zastrzyki, które zalecają lekarze, ale Ming jest na tyle sceptyczna wobec medycyny, by wierzyć, że wdychanie ptasich ćwierków może jej pomóc. Przyszło jej nawet do głowy, żeby napisać list do przyjaciółek Anny z Doliny. Chce je przeprosić za sceptyczną prawniczą bezceremonialność, z jaką je zbyła, kiedy zaproponowały palenie ziół.

Na te dwadzieścia minut Ming specjalnie wyłącza dzwonek komórki. Ale kiedy w ubiegłym tygodniu poczuła wibracje telefonu, zerknęła na ekran i zobaczyła imię Helen, odebrała.

- Caroline prosiła, żebym zadzwoniła. – Helen mówi bardzo ostrożnie.
- Nie. Co? – Ming słyszy trzy krótkie ptasie trele.
- To to, co myślisz, ale nie to, co myślisz.

Ming automatycznie myśli o samobójstwie siostry Caroline. Do tej pory

podjęła już tak wiele prób, za którymiś razem w końcu jej się udało.

– To chyba dobrze.

– Wygląda na to, że kierowca stracił panowanie nad ciężarówką. Elise świetnie sobie radziła. Z tą nową pracą i w ogóle. Caroline nie chce nas na pogrzebie. Ale będzie nas potrzebowała potem.

Znowu te trzy trele. Pasówka białogardła.

*

Ming przechodzi obok bramy Gramercy Park. Nie powiedziałam im do tej pory, więc mogę się z tym wstrzymać jeszcze na jakiś czas, myśli. Ale po dzisiejszej wizycie nie jest pewna, co ten „jakiś czas” znaczy. Lekarz wyraził się jasno: nie sposób ustalić określonego czasu rozwoju choroby ani nawet przewidzieć charakteru poszczególnych stadiów.

– To SM. – Ming ćwiczy swoje wyznanie, przesuwając palcami po kolejnych prętach metalowego ogrodzenia parku.

Matka z dwójką dzieci wyprzedza ją prędko. Kobieta uśmiecha się, pośpieszając maluchy. Lekki skurcz brody i Ming już rozumie, że tamta usłyszała ją mówiącą na głos.

Jest jej żal. Przede wszystkim żal samej siebie, zmian, które się dokonują, i tego, że nagle przestała rozumieć własne ciało. To krzepkie, solidne ciało, które dotąd funkcjonowało bez zarzutu – do czasu. Zdradziło ją coś, co raz powiedziała Anna. Krok jej się zmienił, czuje odrętwienie w lewym boku. Nie codziennie. Ale ta nierównowaga, to spowolnienie. Zawsze była krzepka, a teraz zupełnie nie rozumie własnego ciała. Co jest objawem, a co nie? Jest zmęczona, ale czy jej obecne zmęczenie różni się od zwyczajnego? No i pogorszenie widzenia, które pojawia się na krótko i znika, i ucisk poniżej żeber, i ten dziwny ból jak impuls elektryczny, który ni stąd, ni zowąd przeszywa jej ramię. Ming czuje się tak, jakby badała się stetoskopem, ale nie miała pojęcia, co oznacza to, co słyszy w swoim ciele.

Dzisiaj lekarz na wszystko miał gotową nazwę, jakby to była jakaś pociecha.

Dziwnie pocieszające jest coś innego. Ming czuje się teraz bliżej Anny niż przez ostatnie dwa lata. Jakby weszła do pokoju, w którym tamta mieszkała, a do którego ona, Ming, nigdy wcześniej nie zaglądała. Teraz rozpoznaje i rozumie to, czego wcześniej w pełni nie dostrzegała. Była tak bardzo skupiona na tym, że Anna dobrze się czuła i żyła pełnią życia podczas remisji. Ale teraz Ming pojmuje, że Anna cały czas wiodła podwójne życie. To sekretne było życiem z chorobą. I jak każde ukryte życie, było całym światem – z własnym umeblowaniem, tapetami i drzwiami. Z własnymi prywatnymi rozmowami. Każdy dobry dzień, każdy normalny dzień był zakłócony podejrzeniem, że może znowu być chora. Każdy przypadkowy ból stanowił potencjalny objaw nawrotu choroby.

Przez te ostatnie dwa lata najbardziej brakowało jej tego, jak sama czuła się z Anną. Tego, że z Anną śmiała się więcej niż z kimkolwiek innym. Niż z Sebastianem. Niż z resztą przyjaciółek. Z Anną była najmniej przewidywalną wersją samej siebie. Z Anną na zawsze pozostała nastolatka, tą nieodpowiedzialną, beztruską dziewczyną z dawnych lat. Ostrożna, praktyczna Ming przy Annie zawsze była Ming żądną przygód.

Gdy zbliża się do Union Park Square, zaczyna chwiać się na nogach. Nie będzie w stanie dotrzeć do Helen o własnych siłach. Wezwie taksówkę. Ale nie może sobie przypomnieć dokładnego adresu, mimo że wiele razy odwiedzała ten loft, odkąd Helen i Asa go kupili. Czy to zaburzenia pamięci, o których wspomniał lekarz, czy też zwykłe zapominanie starzejącego się mózgu?

Ming powoli przemierza Union Square, idzie między namiotami rolników. Bez przekonania rozgląda się w poszukiwaniu czegoś, co mogłaby przynieść Helen w prezencie, ale przede wszystkim musi zwolnić, odpocząć. Dziś o niczym nie powie przyjaciółkom. Dzisiejszy wieczór jest dla Caroline. Zresztą, szczerze mówiąc, żałoba Caroline niesie pewną ulgę. Ming rozpoznaje sprzedawcę z Hudson, gdzie sama mieszka. Nigdy nie chciało jej się wpaść do jego gospodarstwa. Ale widzi tu taką różnorodność zieleniny, rzodkwie japońskie, główki czosnku – sama ich obfitość wydaje się niesamowita, jego plony są tak piękne. Ming ma ochotę na wszystko. Tu wystawa lokalnie warzonych cydrów, a dalej stoisko z serami Amiszów, każdy wystawiony pod siateczkową osłoną. Ming przystaje przy kwiaciarczy z podkreślonymi wąsami. „Dzień dobry szanownej pani”. Te wąsy, ten wymyślny akcent. Tak wspomniały ekscentryzm, życie. Mężczyzna ma róże herbaciane, wiadra groszku pachnącego. Ceny jak z kosmosu, absurdalnie wysokie. Ming pochyla się nad różowo-fioletowymi kwiatami groszku i bierze wdech. Nagle potyka się o własne nogi i upada, na szczęście kwiaciarczy łapie ją w porę.

– Przepraszam – mówi i z niechęcią myśli o tym, jak bardzo stanie się zależna od innych.

– Nie, to ja jestem szczęściarzem – odpowiada z ukłonem sprzedawca.

Ming prosi o dwa bukiety. Kwiaciarczy daje jej trzy.

PRZESZKLONE DRZWI

Tessa stoi w drzwiach, trzymając w rękach ostatnie z kartonowych pudeł. Przygląda się otwartym przeszklonym drzwiom do swojej sypialni. Przeszklone drzwi i maleńki balkon! Na Brooklynie! Nie może uwierzyć, jak fajny pokój jej się trafił, a do tego takie fajne współlokatorki, a także fajna kuchnia z półką słoików używanych jako kubki i jeszcze te niesamowite praktyki, na które się dostała. Ale jazda. Opowiedziała swoim mamom, że cała reszta praktykantów to studenci ostatniego roku, a jeden nawet jest po studiach. Ale podczas rozmowy o pracę

zachwycili się jej umiejętnościami programowania. Tessa ma pewność, że nadaje się do tej roboty.

Życie jest niesamowite. Życie jest tak fantastycznie mega niesamowite.

Ale jazda.

A do tego na tej samej ulicy znajduje się tajska knajpa, sklepik z falafelami i kawiarnia z bezglutenowymi muffinkami.

Na ulicy, na której mieszka, na Brooklynie, w Nowym Jorku!

Niesamowite.

Pewnie powinna powiedzieć mamom, żeby nie rozpakowywały jej torby. A przynajmniej dały sobie spokój ze ścieleniem jej łóżka. Zawsze tak dużo chcą za nią robić. Tak szczerze, czasem bywa to męczące. No bo, halo, nie mam już pięciu lat. Ale właściwie sprawiają wrażenie tak szczęśliwych, że dostają głupawki, kiedy rozpościerają prześcieradło na materacu. Więc jak wkładanie poduszek w kwiciaste poszewki daje im taką frajdę, to czemu miałyby im bronić?

– Nie spóźnicie się?

– Zadzwoiłam do Helen. Wiedzą, że się spóźnimy. Wszystkie przeżyły wyprowadzkę dzieciaków.

Molly cyka zdjęcie Tessie trzymającej pudło. Potem macha ręką, żeby Tessa i Serena stanęły w przeszklonych drzwiach do następnej fotki.

– Wszyscy wybaczą nam spóźnienie, jeśli pokażę dowód.

Tessa odkłada pudło i obejmuje Serenę. Pozują do zdjęcia. T-shirt Tessy podjeżdża do góry, ukazując nieskazitelną skórę na brzuchu.

– Poradzisz sobie? – pyta Molly, chociaż podczas jazdy obiecała sobie, że nie będzie zadawała głupich pytań i że się nie rozklei. – Umiesz o siebie zadbać?

Ale to nie Tessa doprowadziła Molly do łez. To Anna. Której nie będzie u Helen i która nie zobaczy tych zdjęć. Której nie zwróci uwagi na uroczy uśmiech Tessy. I nie będzie się droczyć z Molly, mówiąc: „A pamiętasz ten straszliwy napad paniki, jakiego dostałaś na widok tatuażu, narysowanego niezmywalnym flamastrem?”. Której nigdy nie potrzebowała dowodu na to, że Tessa wyjdzie na ludzi.

– Maaamo. – Tessa z udanym zniecierpliwieniem przeciąga samogłoskę. Nie ma to jak odrobina udawanej irytacji. – Nie, tego lata umrę z głodu, bo nie umiem się wykarmić, i prawdopodobnie zgubię się w metrze i może wstąpię do sekty, która regularnie składa ofiary z młodych kobiet i kociąt, aha, i sorry, zapomniałam powiedzieć, że moi szefowie są obaj uzależnieni od metamfetaminy i wszyscy pracownicy mają obowiązek brać.

Serena dwa razy całuje Tessę w skroń. A Molly pstryka im zdjęcie.

– Już się zbieramy, kochanie. Daj nam jeszcze tylko pięć minut.

BZY

– Jest jeszcze jedna rzecz, którą chcę wam powiedzieć – oświadcza Caroline. Na razie powiedziała tylko Danny’emu.

„Jesteś zestresowana, kotku” – stwierdził, gdy następnego ranka opowiedziała mu, co się stało, a kiedy odwarknęła: „Nie jestem żadnym kotkiem”, zdawało się to tylko potwierdzać jego słowa.

Wiedziała, co widziała. I nawet Danny przyznał, że obudził się i usłyszał śpiew, na dwa głosy.

– Tamtej nocy, po tym, jak Danny położył się spać, wyszłam na dwór. Bez powodu, tylko dlatego, że było na tyle ciepło, że można było posiedzieć na patio, a właściwie tylko tego będzie mi brakowało po sprzedaży domu. Tego patio, kiedy kwitną bzy. Zwłaszcza nocą, ten nocny zapach, tego będzie mi żal. Usłyszałam kroki. Uznałam, że to Danny wyszedł, żeby mnie przytulić i zamęczać następnym milionem pytań, czemu nie śpię. Odwróciłam się, gotowa na niego warknąć, ale to była Anna. „Pomyślałam, że powinnam wpaść”, powiedziała.

To było takie dziwne – ciągnie Caroline. – To po prostu była Anna. W swoich kowbojskich butach, tych czerwonych. Stukały o kamienie i zdałam sobie sprawę, że te buciska zawsze wydawały takie odgłosy. I jej głos. Był zupełnie jak głos Anny, nawet z tą chrypką w końcówkach pewnych słów. Nie umiem powiedzieć, czy kiedykolwiek wcześniej zwróciłam na to świadomie uwagę, ale wiecie, o co mi chodzi? To była Anna, taka jak przedtem. Po prostu ona – w brązowych legginsach, koszulce i swoich czerwonych butach.

„O, Anna”, powiedziałam i zaczęłam mówić, jak pięknie wygląda, ale mi przerwała. „Możemy pośpiewać?”

Caroline obserwuje twarze przyjaciółek, kiedy mówi, jak we dwie zaczęły śpiewać to samo co zwykle, piosenki, które ćwiczyły na dwa głosy jeszcze w szkole średniej. *Heart of Gold*, *Natural Woman* i oczywiście *Blue* Joni Mitchell.

– Za każdym razem, kiedy pytałam, jak to się dzieje i dlaczego, Anna kręciła głową. Więc przestałam pytać. I w pewnym momencie... właściwie dość szybko... zaczęło mi się wydawać zupełnie normalne, że śpiewam z Anną *Big Yellow Taxi*. Właściwie bardziej normalne niż to, że nie żyje, co ani razu przez te dwa lata nie wydało mi się normalne czy nawet możliwe. Śpiewaliśmy wspólnie dosyć długo. Nie tylko *Blue*, byliśmy jak szafa grająca z przebojami z lat siedemdziesiątych. Nawet piosenki, których żadna z nas nie śpiewała od wielu lat. Logginsa i Messinę. Crosby’ego, Stillsa, Nasha i Younga. Śmiałyśmy się, bo nie mogłyśmy uwierzyć, że nie sypiemy się w tekstach, nawet w *Suite: Judy Blue Eyes*. Tak dobrze się bawiłyśmy. Nasze piosenki brzmiały raczej okropnie. Ale miałyśmy w nosie, że fałszujemy, próbując zestroić głosy. Darłyśmy się na całe gardło, pochylając się do siebie, jakbyśmy śpiewały do jednego mikrofonu. I to też zwróciło moją uwagę: pachniała tym swoim kokosowym balsamem do ciała. Pamiętacie, jak dostała na jego punkcie hopla? *Skin Trip*. „Carrie”, mówi nagle. Pamiętacie, jak nazywała

mnie Carrie. Żadna z was tego nie robi. „Carrie, zajmę się nią. Będzie jej super”. A potem sobie poszła. Zeszła po stopniach z patio na trawnik. Nie wiedziałam, co robić. Iść za nią? Chciałam ją zatrzymać. Powiedziałam: „Czekaj, Anno. O kim mówisz?”. Stała na skraju naszego dziedzińca, tam, gdzie dzieci lubiły się chować w krzakach. Odwróciła się i spojrzała na mnie. Z taką dobrocią. Nawet w ciemności widziałam, jak na mnie patrzyła. Z taką dobrocią. „Och, Carrie”, powiedziała. „Zaraz się dowiesz”. I właśnie wtedy w domu zadzwonił telefon. Popatrzyłam na nią pytająco: Co jest grane? „Uwierzysz, kiedy usłyszysz, co mają ci do powiedzenia”, odpowiedziała.

Potem Caroline powtarza to, co już im wszystkim mówiła w tych pierwszych dniach po tragedii. Jak Danny ją wołał. Jak wbiegła do domu. Co policjanci powiedzieli o wypadku. Elise poniosła śmierć natychmiast. Nie cierpiała, mówili.

– Czekałam, żeby wam to opowiedzieć, kiedy będziemy wszystkie razem. Anna ze mną była. Przyszła, żeby mi pomóc z Elise. Więc teraz, bardzo proszę, możecie mi powiedzieć, że zwariowałam. Ale tak właśnie było.

– Ja też chcę, żeby mi się to przyśniło. – Helen chowa twarz w dłoniach. – Proszę, opowiedz nam ten sen jeszcze raz.

SIERPIEŃ, ROZGWIAZDY

Potem, oczywiście, dom. Nadeszła pora na dom. Reuben zadzwonił i wszystkie się stawiły. Czy w ogóle przyszło mu do głowy, że mogło być inaczej? Nie tylko Ming i Molly, i Caroline, i Helen, ale także Connie i Layla. Tylnymi drzwiami wchodziły kolejne przyjaciółki z Doliny.

– Zrobimy z tego imprezę – powiedziała Helen, kiedy zadzwonił. – Zawsze tak jest.

Teraz Reuben stoi na werandzie z ręką opartą o stos plastikowych pojemników z etykietami. Wewnątrz panuje hałas. Tak jak wtedy, w marcu i kwietniu dwa lata temu. Wszystkie te kobiety. W całym domu. Pokoje rozbrzmiewają rozmowami. Te wszystkie rozmowy. One nigdy nie przestają gadać. O dzieciach, o tym, kto co robi. Raz mówi jedna, raz druga. Pytania osób, które wiedzą, o co się nawzajem pytać. Odpowiedzi z milczącym założeniem, że wszyscy znają historię w tle.

Fajna sprawa, te wszystkie rozmowy. Reuben wie, że to pomaga.

Mimo wszystko cieszy się, że stoi na zewnątrz i słucha z boku. Może przez chwilę popodziwiać całą robotę, którą wykonał w ciągu ostatnich czterech tygodni. Nowa poręcz jest gładka i solidna, gdy się o nią opiera.

Ruina? Potencjalna katastrofa budowlana? Jakim słowem określić coś gorszego niż rudera? Zresztą mniejsza o nazwy. Jeśli w tej straszliwej dekonstrukcji ten dom w ogóle ma się sprzedać czy choćby zostać, jak się okazuje, wynajęty, trzeba było dokonać mnóstwa napraw. Już dwa lata temu potrzebował remontu. A to naprawdę szokujące, jak szybko zaczyna się sypać niezamieszkanym dom. I wcale nie było tak, że Reuben po prostu zamknął drzwi na klucz i na dwa lata oddał dom we władanie myszom, żeby się skupić na odzyskiwaniu własnego życia. Samo zajmowanie się ogrzewaniem wymaga sporo czasu. By nie wspomnieć o pieniądzach. A co dopiero mówić o pękniętej rurze w lutym, przerdzewiałej kanalizacji, o zepsutej lodówce. I jeszcze dach. I zalana piwnica w marcu, a potem smród grzyba aż do sierpnia. Tego właśnie dzieci nie rozumieją. Muzeum dzieciństwa, tego, zdaje się, by chciały. Nieważne, że są już dorosłe, mają mieszkania, pracę, miłości i poważnie wkraczają w dorosłość. Reuben jest taki dumny z tego, jak cała trójka poradziła sobie ze stratą mamy. A teraz pojawiła się jeszcze wnuczka. „No właśnie – mówią, przeciwstawiając jego pragmatyzmowi sentymentalność – chcielibyśmy tu wracać na wakacje i święta ze wszystkimi swoimi dziećmi”.

Ale kobiety zgadzają się z Reubenem. Okazało się, że dzieci zadzwoniły do Connie i Helen. „Wyraziłam współczucie i zrozumienie. Do pewnego momentu – powiedziała mu Helen. – A potem zaproponowałam, żeby przez rok płacili wszystkie rachunki, a wtedy zobaczą, jak długo liczyć się będą tylko uczucia”.

Skoro dzieci nie mogą poradzić sobie z domem, to Reuben wie, że tym bardziej nie zaakceptowałyby kobiety, z którą spotyka się od trzech miesięcy. Po raz pierwszy od dawna czuje, że zaczyna mu się układać, że wszystko jest możliwe. Uroczą. To pierwsze słowo, które przychodzi mu na myśl, gdy widzi, jak ukochana stoi na bosaka w jego kuchni. Uroczą. Kiedy obraca się na bok i widzi, jak wybranka się budzi. Ale nie może jeszcze przedstawić jej dzieciom. Jeszcze nie teraz. Zresztą to w porządku, a nawet nieopozbawione uroku, mieć swoje tajemnice.

Wszystko po kolei. Niech najpierw przywykną do myśli o wynajmie domu.

Najemcy mają mieszkać od pierwszego września, ale wynegocjowano umowę najmu z możliwością wykupu. Przynajmniej Reuben ma taką nadzieję.

*

„Poznajesz?” – ma ochotę zawołać Layla do Helen, gdy owija w folię bąbelkową kawałek wyrzuconego przez ocean drewna, skarb, który Anna znalazła na plaży podczas letnich wakacji z Helen na wyspie Nantucket. Layla wyraźnie pamięta ów poranek – czy to już dwadzieścia lat minęło? – kiedy podczas porannego marszu, na początku ich przyjaźni, Anna z rozbijającą szczerością oświadczyła nagle: „Przed urodzeniem dzieci, kiedy jeszcze byłam na studiach, zaszłam w ciążę. Reuben i ja już chodziliśmy ze sobą. To on był ojcem. Nigdy mu o tym nie powiedziałam. Nigdy. Właściwie to okłamałam go, że Helen jest w ciąży, a ja idę z nią do kliniki. A później, po aborcji, zemdlałam”. Anna opowiedziała, jak ocknęła się i zobaczyła nad sobą przerażoną twarz przyjaciółki. „Ja zemdlałam, a Helen właśnie przed chwilą wpadła na mojego tatę, kiedy podejmowała gotówkę z banku. Potem tego samego dnia, po podróży samochodem, autobusem i Bóg wie czym jeszcze, jadłyśmy smażone małże w tawernie przy przeprawie promowej w Nantucket. Nieoczyszczone, tylko z wnętrznościami. Z całym kleistym wnętrzem. Nazwałyśmy je dziewięciomiesięcznymi małżami. Reuben nigdy się nie dowiedział i nie dowie”.

Layla była zszokowana tym wyznaniem. Pamięta rześki, wytrawny zapach igliwia towarzyszący im podczas marszu i pamięta tajemnicę, którą w zamian powierzyła Annie.

Teraz, zamiast zawołać do Helen, Layla układa zapakowany kawałek drewna w na wpół wypełnionym plastikowym pudle z napisem „SALON”. Anna byłaby zadowolona, że wszystkie tu jesteśmy, myśli Layla. Kolejna impreza w jej domu.

Bierze do rąk ceramiczną miskę. Przed owinięciem w folię podnosi ją do światła. Różowawa jak muszla porcelana jest tak cienka, że prześwitująca.

– Hej, to ja jej ją dałam. Chyba na urodziny – mówi Caroline.

– Nie, moja droga. Dałaś ją mnie. Na trzydzieste piąte urodziny – woła Molly z miejsca, gdzie siedzi na podłodze i pakuje do pudeł książki. – Anna przekonała mnie, żebym jej ją oddała.

Caroline wybucha śmiechem.

– Cała ona.

Nagle wszystkie włączają się do rozmowy. Każda ma jakąś historię. O naszyjniku. O ręcznie malowanych talerzykach, które Connie właśnie pakuje, a które najpierw należały do Ming.

– Moje najlepiej dopasowane dzinsy – wspomina Connie. – Anna o mało nie rozebrała mnie z nich w restauracji.

*

– To był prawie przypadek. – Reuben słyszy głos Layli. Spojrzał zza drzwi i widzi ją w głębi otwartego pokoju: stoi przy komodzie i pakuje talerze w gazety.

– Jedne zajęcia. Planowałam hospitować tylko jedno. A teraz jestem na studiach doktoranckich. Kto by pomyślał?

Reuben kiwa głową do Layli. Nie wiedział, że zabrała się do robienia doktoratu. Ale czemu miałby wiedzieć? Oprócz telefonu w tym tygodniu, gdy jej powiedział, że tamte przyjadą, by pomóc mu w pakowaniu rzeczy i przygotowaniu domu do wynajęcia, Reuben od ponad roku nie rozmawiał z Laylą ani na nią nie wpadł w żadnym z miejsc w Dolinie, gdzie zwykle spędzał czas. Po tygodniu, kiedy przypadkiem trafili razem do łóżka.

– Tu chodzi tylko o Annę – oświadczyła Layla tamtego wieczoru rok temu, choć brzmiało to trochę jak pytanie. Ona i Reuben leżeli z głowami w nogach łóżka z wysokimi szczytami. – Jak ją znam, pewnie wszystko to zorganizowała i teraz przygląda nam się z góry.

– Wierz mi, Laylo, ona nigdy nie była aż tak wspaniałomyślna. – Reuben śmieje się cicho.

Oboje przyznali, że prawdopodobnie nie ma w tym nic niezwykłego, pewnie nawet to, co się stało, ma jakąś oficjalną nazwę. Ale nieważne, czy było to przewidywalne, czy nie – ani Layla, ani Reuben zupełnie się nie spodziewali, że po tym popołudniu i wieczorze, które spędzili u Reubena w łóżku, a także później, kiedy zadzwonił nazajutrz wieczorem – tylko żeby sprawdzić, czy Layla nie czuje się dziwnie – i podjechał do jej domu, nawet nie zdążyli wejść na piętro do sypialni, a już zaczęli się do siebie dobierać. Znowu była w tym gorączka. Namiętne. Nienasycone. Bzykanie.

– Na pewno piszą o tym w jakiejś książce o żałobie.

– W rozdziale pod tytułem „Gorący seks i żałoba”.

Reuben siedział przy stole z surowego klonowego drewna i patrzył, jak

Layla krząta się po kuchni. Wychylił swój kieliszek wina. Oboje umierali z głodu. Czy kiedykolwiek wcześniej zwrócił uwagę na lekki łuk, w jaki wygina się jej kark? Siedzieć przy stole i patrzeć na kobietę poruszającą się świadomie po kuchni. Siekającą czosnek. Zrywającą listki ziół w doniczkach, które stały pod oknem. Przystanąła na chwilę, odgarniając włosy z twarzy, i wprawnie zwinęła je w kok, wsuwając końcówki pod spód, żeby utrzymał się bez spinki. Cały czas odwracała się, by na niego spojrzeć. Kręciła głową. Albo się śmiała.

– Przystań tak mi się przyglądać – powiedziała. Nie wyobrażał sobie niczego piękniejszego niż pięćdziesięciosześcioletnia kobieta w bieliźnie i T-shircie, krzątająca się po kuchni.

Machnęła ku niemu garścią suchego spaghetti.

– Reuben, to zły pomysł – stwierdziła, po czym włożyła makaron do garnka.

– Właściwie trudno nazwać to pomysłem.

– Nie zamierzam nigdy o tym powiedzieć. Nikomu.

– Czyli że możemy to jeszcze parę razy powtórzyć? – Zachichotał.

Właściwie nie był do końca pewien, czy chce powtórki, ale czuł się tak bez troski. Kiedy ostatnio było mu tak lekko na sercu? Dlaczego miałby tego nie chcieć? Przyjemności. Czystej endorfinowej rozkoszy? Oczywiście własnej. Ale też poczuć jej rozkosz. Sprawić jej przyjemność – ostro i stanowczo – zamiast otaczać opiekuńczą delikatnością.

– Musisz przyznać, Laylo, że czujemy się dobrze. To uzdrawiające.

– Nie wyjeżdżaj mi tu z Marvinem Gayem. Było, co było, i tyle.

Wymieszała makaron z sosem i postawiła miskę na stole między nimi. Dołała wina do kieliszków. Jedli zachłannie z jednej miski, nawijając na widelce spaghetti aż do ostatniej nitki.

No a teraz, w zeszłym tygodniu, kiedy Reuben zadzwonił do Layli, żeby powiedzieć o pakowaniu rzeczy, zapytał ją:

– U ciebie wszystko w porządku?

Odpowiedziała, że właściwie bardzo dobrze jej się układa. I oczywiście słyszała już o pakowaniu od Connie. Obiecała, że wpadnie i pomoże.

– Chętnie się z tobą spotkam. Nie chciałam kończyć naszej przyjaźni, Reuben. Po prostu pomyślałam, że obojgu nam przyda się odrobina dystansu.

– Upływ czasu mi nie przeszkadza, Laylo. Wszystko wymaga czasu.

– Widziałam zdjęcia twojej przepięknej wnuczki. I słyszałam inne pikantne ploteczki na twój temat.

– Nie ufaj plotkom z Doliny, to niebezpieczne. – Roześmiał się, niczego nie dementując.

– Tak czy inaczej, możesz mi wierzyć, że cieszę się ze szczęścia. Z twojego szczęścia. Z każdego rodzaju szczęścia.

*

Ming odpoczywa na niebieskiej kanapie, a obok siedzi Molly i zagaduje przyjaciółkę. Uznały, że tylko tak nakłonią Ming do zrobienia sobie przerwy. Ming zaczęła chodzić o lasce. Choć upiera się, że to tylko dlatego, żeby Sebastian się o nią nie martwił. Ale wiedzą o jej upadkach. Kiedy przyjechała, sprawiała wrażenie bardzo wyczerpanej. Mimo to nie sposób namówić jej do zwolnienia tempa.

Molly unosi głowę.

– Uwielbiała ten idiotyczny żyrandol – mówi. – Nigdy tego nie rozumiałam.

Obie patrzą, jak światło z łukowych okien błyszczy w setkach kryształów. Kurz mieni się w słońcu niczym brokat.

– Uwielbiała to wszystko tak bardzo – dodaje cicho Molly. – A potem uznała, że ma już dość i może się poddać.

– Ja nie jestem jeszcze gotowa, żeby się poddać – odpowiada Ming. – Jakbyś się zastanawiała.

*

Ktoś szlocha w pokoju obok. Można się było tego spodziewać. Ale mimo wszystko. Weź się, kobito, w garść. Jak zaczną się gremialne płacze, to już niczego nie dziają. A może tak się zdarzyć. Wszystkie uważają, starając się ocenić, jak dużo mogą o tym mówić, do jakiego stopnia mogą przyznać, jakie to dziwne, że jej tu nie ma.

Zwłaszcza że wszystko tutaj jest przesiąknięte Anną. Każda z nich trzyma w rękach rzecz, która do niej należała.

Spójrzcie tylko na ławę, na której stoją idealnie dobrane drobiazgi. Misa z kobaltowego szkła wypełniona rozgwiazdami. Szkatułka z kościaną inkrustacją. Trzy ramki z tombaku, w każdej zdjęcie uśmiechniętego dziecka bez przednich zębów.

Potem znowu któraś gdzieś płacze. Słoiki zostały owinięte w gazety. Czy pióra kardynałów powinno się zachować, czy wysypać w ogrodzie? Tyle trzeba jeszcze zrobić.

*

Caroline i Helen zdejmują zdjęcia z lodówki. Idzie im powoli nie tyle dlatego, że drzwiczki lodówki przykrywa gęsty kolaż fotografii, pocztówek, kartek z życzeniami urodzinowymi ponakładanych warstwami jedne na drugie, ile dlatego, że obie przez cały czas przerywają sobie nawzajem. Tyle tu rzeczy do obejrzenia, do skomentowania. Każda klasa podstawówki i drużyna piłki nożnej. Troje dzieci w latach niemowlęcych, z puszką na głowie. Potem plerezki i pióra, wszystkie koszarne fryzury. Aparaty na zębach. Skoki na koniu, mityngi

pływackie, Anna i jej bracia na szczycie Mount Washington. Wesela kuzynów. Ślub najstarszego syna Anny.

– Którego lata to było? – Pochylone przyglądają się Annie i Reubenowi z trójką dzieci w przebraniach na paradzie homarów.

– Przyjrzyj się uważniej, przypomnisz sobie. No. To ten domek na cyplu. Wakacje, kiedy oboje bliźnięta złamały ręce.

Są też inne dzieci, całe plemię. Rusty i Lily przebrani za Freda i Ginger. Stroje piratów z balu „Halloween w lipcu”. Życzenia świąteczne od trójki Caroline w kaskach i kapokach, z wiosłami w rękach i przerożeniem w oczach podczas spływu rzecznej. Tessa i Shana w kostiumach Małej Syrenki. Morze pocztówek z otwarć kolejnych wystaw Helen.

– Była moja archiwistką. – Helen się śmieje.

– Miałaś szczęście – stwierdza Caroline.

Odklejają zdjęcia. Odrywają nadmiar skocza. Uważają, żeby niczego nie podrzeć. Wkładają wszystko do szarej koperty.

Badania archeologiczne życia ich wszystkich. Pod kierownictwem Anny.

Pod zdjęciem całej rodziny z wesela kuzyna jest fotka z polaroidu, stary znajomy kwadrat.

– Patrz, to z Fox Road – zauważa Caroline.

Kawałek ścieżki brukowanej łupkami i trzy betonowe schodki przed frontowymi drzwiami starego domu rodzinnego Anny, neoelżbietańskiej willi przy Fox Road, natychmiast go poznają.

Na małym obrazku są wszystkie – Caroline, Molly, Ming, Helen i Anna – na trawniku przed domem. Na pierwszym planie zraszacz i łuk wody. Dziewczyny są do góry nogami, bo właśnie stanęły na rękach. Wszystkie mają na sobie góry od kostiumów kąpielowych i dzinsowe szorty z postrzępionymi nogawkami, jakby zaplanowały te stroje.

– Oczywiście, że się umówiliśmy. – Helen pochyła się bliżej i przesuwając palcem po białym brzegu fotki. – Pamiętam, jak odcinałam nogawki od swoich dzinsów.

To lato po szóstej klasie. Ostatnie dni sierpnia przed rozpoczęciem roku szkolnego. Wszystkie bardzo się martwią. Kto będzie wychowawcą ich klasy? Boją się algebry w siódmej klasie i nauczyciela, który ma sto lat i podobno od osiemdziesięciu nie postawił ani jednej oceny bardzo dobrej.

Dziewczyny przez kilka dni ćwiczyły stawanie na rękach. Stare Znajome. To właśnie tego lata wymyśliły tę nazwę.

To Anna wpadła na pomysł stania na rękach. Muszą uwiecznić tę chwilę. Wszystkie muszą się nauczyć tej sztuki. Anna i Helen chodzą na gimnastykę artystyczną, a Ming trenuje skoki do wody, umie stawać na rękach i robić salta do tyłu. Tylko Molly i Caroline muszą się nauczyć, ale Anna mówi, że to łatwizna.

Na początku zamierzały rozchylić szeroko nogi. Będą się stykały stopami jak wycinane z papieru lalki. Te dzinsowe szorty i góry kostiumów kąpielowych, a także włosy uczesane z przedziałkiem i zaplecione w warkocze – to też element całej sceny.

Pod wieczór po pierwszym dniu ćwiczeń zmodyfikowały plan i teraz po prostu chcą wszystkie utrzymać się, stojąc na rękach, na tyle długo, żeby brat Anny mógł pstryknąć zdjęcie.

– Jestem najbardziej żalosna.

– Nie, spójrz na...

Stoją do góry nogami i nie widać żadnej z ich twarzy, ale Caroline i Helen rozpoznają każdą z nich, ich młode dziewczęce ciała. Caroline zdaje się chwiać, ma długie nogi, najgrubsze w kolanach. Obok niej Molly, przechylona, nierówno rozłożyła ciężar ciała na obie ręce. Nie może się do końca wyprostować, jej ciało już zaczęło się zaokrągląć. Ming ma figurę chłopca, jest prosta jak strzała i zawzięta, gotowa tak stać godzinami. Grzbiet Anny gnie się jak u zawodowej gimnastyczki, czubki stóp wznosi ku górze, jedną nogą dotyka stopy Helen. Stopa Helen też odchyła się w stronę Anny, podczas gdy drugą zgięła w dziwacznej pozie, tak jak zapowiedziała.

Helen pamięta, że umówiły się z Anną, że zetkną się stopami, właśnie gdy zraszacz obleje je wodą. I tak zrobiły.

– Anna i ja wciąż marzyliśmy, że wystąpimy na olimpiadzie.

– Potrzebowałam dwóch dni ciężkich ćwiczeń. – Caroline opiera się o Helen.

– Czułam się jak kompletna niedojda.

– Bo nią byłaś. – Helen wtula twarz w jej szyję. – Ale spójrz, udało ci się.

– Rzeczywiście mi się udało.

Zabawne, jak po tych wszystkich latach Caroline wreszcie jest z siebie dumna. Ze swoich młodzieńczych wysiłków, choćby niezdarnych. Ale także dumna z nich wszystkich. Ze wszystkiego, co każda z nich mogłaby teraz powiedzieć dzieciom, którymi były. Z tego, że mogą im podszeptać, że nie ma się czym martwić. Patykowate ciało Molly nie zdradziło jej wcale bardziej niż gwałtownie wypełniające się kształty. Te same szorty, kostiumy kąpielowe, nawet włosy zaplecione w identyczne francuskie warkocze, a mimo to każda z nich jest w pełni osobną, zmieniającą się istotą. A tuż za grubymi brzegami polaroidu są ulice ich rodzinnego miasteczka i siostra Caroline, Elise, wciąż szczęśliwa i pełna zapału uczennica dziesiątej klasy, trenująca przed jesiennym sezonem cheerleaderka.

– Wszystkim nam się udało.

– Ming! Molly! Chodźcie tu.

– Jesteśmy zajęte – protestuje Molly.

Nie może wprost uwierzyć, że pozostałe już zapomniały, jak obiecywały

Sebastianowi, że nie pozwolą Ming się przemęczać. Nie dotarło do nich, że samo chodzenie stanowi dla niej trudność? Zapomniały, że jej pole wzrokowe się zmniejsza – zwiężający się z przodu korytarz, tak to określa Ming.

– Nie, obie musicie zobaczyć, co znalazłyśmy – mówi Helen.

– Co? – Ming już dźwiga się z kanapy, z laską ustawioną tak, by przejąć i utrzymać ciężar jej spastycznego kroku. Molly wystawia rękę, bez dotykania asekurowując przyjaciółkę, gdyby ta się potknęła lub przewróciła.

Obie idą ostrożnie zygzakiem przez labirynt pudeł w słonecznym salonie Anny, kierując się w stronę otwartej kuchni.

Helen ściska dłoń Caroline, a Caroline odwzajemnia jej się tym samym.

– Tak, tak, widzę.

W tej chwili wydaje się, że to dobre – w okularach dwuogniskowych i z soczewkami progresywnymi – być współczującymi oczami dla siebie nawzajem, być świadkiem dla tej drugiej; wydaje się to bardzo dobre. Wystarczyło poczekać dostatecznie długo, a Stare Znajome rzeczywiście się zestarzały, mogłaby im powiedzieć Anna, chociaż ten moment i nadszedł już, i minął. Ale chodzi nie tylko o bycie świadkiem nieuchronnego zniedołężnienia. Albo tego, co potem. A kto wie, czy to właśnie nie Anna szturcha teraz Helen: „Heli, to materiał na nowy obraz. Dom zabałaganiony”. Letnie słońce oblewa blaskiem twarze przyjaciółek w mniejszych grupkach zajętych pakowaniem. Ming idzie królewskim krokiem przez to pobożowisko z Molly, swoją damą dworu, obie chichoczą nieśmiało z jakiegoś dowcipu. Prywatny dowcip, czy to nie jest najbardziej interesujące? Albo to, jak pozostałe, które próbują go usłyszeć, czują się podniesione na duchu, połączone nicią śmiechu. I popołudniowe słońce zmiatające złocisty kurz ze zniszczonej podłogi bierze górę – choćby tylko na chwilę – nad żalem czy zatroskaniem, kiedy tak patrzą, jak Ming radzi sobie o lasce.

– Co jest aż tak ważne? – Ming wyciąga rękę po zdjęcie, które podaje jej Helen.

– To my. Przed wszystkim.

PODZIĘKOWANIA

Zawsze i przede wszystkim dziękuję Nancy Rockland-Miller, która wierciła mi dziurę w brzuchu, żebym napisała książkę, będącą pochwałą przyjaźni; mam nadzieję, że moja powieść przynajmniej po części spełnia jej oczekiwania.

Obecna powieść nie byłaby w ogóle wyobrażalna, gdyby nie obfite dary przyjaźni, które w tak znacznym stopniu ukształtowały moje życie i widzenie świata – temu pięknemu, różnobarwnemu, rozległemu plemieniu przyjaciółek jestem dłużna tyle, że nie da się tego wyrazić słowami.

Ogromna wdzięczność i miłość należy się Billowi Cleggowi za to, że jest moim drogim przyjacielem, wspaniałym czytelnikiem i niezwykłym agentem literackim od tylu już lat. Głębokie ukłony dla Carole DeSanti za rygor redakcyjny, wspaniałomyślność i błyskotliwość. Gromkie podziękowania dla zespołów w Clegg Agency i Viking Penguin za wszystkie wysiłki na rzecz tej książki. Jestem wdzięczna Maureen Sugden, mojej superbystrej i starannej redaktorce, i Chrisowi Russellowi: każde z nich uchroniło mnie przed licznymi niefortunnościami.

Wielkie dzięki dla Fran Antell, Tracey Rogers, Sonyi del Peral, Martine Vermeulen, Marii Basescu, Marie Howe, Honor Moore, Dani Shapiro, Melindy Lockman-Fine i Emmy Herdman, które poświęciły swoją uwagę, mądrość i entuzjizm różnym wersjom tej powieści. Doktor Bob Weisman, Robert Chodo Campbell oraz Zen Center for Contemplative Care pomogli mi pełniej zrozumieć zagadnienia medyczne i kwestie związane z opieką terminalną. Dziękuję Suzanne Gardiner: jej kartki przeprowadziły mnie z mroku, przez większy mrok aż do piosenki. Rocklandom i Rocklandom-Millerom dziękuję za miejsce, które macie dla mnie w swojej rodzinie od tylu lat. Codziennie czuję wdzięczność za życie pełne lektur; dziękuję wszystkim poetom i pisarzom, których twórczość jest dla mnie zarówno pokrzepieniem, jak i zachętą, by iść dalej i pisać bardziej prawdziwie. Jak zawsze dziękuję rodzinie – ojcu, Claudii i Jessice – za niewzruszoną wiarę i kompas życiowy; doceniam zawsze i za każdym razem sugestie (literackie i wszelkie inne) moich synów – Jonaha i Gabriela – oraz to, jak wciąż na nowo znajdują drogę do mojego serca i umysłu. I dziękuję też nowemu pokoleniu – Zane’owi, Wynn i Darze – które bez żadnego dziedzicznego zobowiązania jednak mnie znosi.

Aha, Brusie Van Dusen. Codziennie, dosłownie każdego dnia jestem zachwycona. I czuję, że to coś więcej niż szczęśliwy traf.

Jestem głęboko wdzięczna Guggenheim Foundation, Hedgebrook, Camp Otterbrook i Sarah Lawrence College za cenne wsparcie, pomoc i czas.

I wreszcie: moja powieść jest dziełem wyobraźni, która oczywiście czerpie

obficie z całego potoku życia, znajomych miejsc, ludzi i zdarzeń. Jestem wdzięczna za wyrozumiałość każdemu, kto rozpoznał tu swoją linię szczęki lub echo czegoś, co kiedyś powiedział.

